

Opozycja po Marszu | Zagubione pokolenie Z | Jolanta Kwaśniewska o wyborach
Szpitale głodzą | Norweskie interesy Obajtka | Andrzej Chyra gorzko o Kościele

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY
1

TYGODNIK, nr 25 (3418), 14.06–20.06.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



Kampania się sypie

Obietnice przestają działać.
Zaskakująca seria porażek PiS.



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ILUSTRACJA JULIA SKIEPKO

Letnie łamanie głowy!



Zagadki logiczne, liczbowe, słowne i wiedzowe
– każdy znajdzie coś dla siebie!

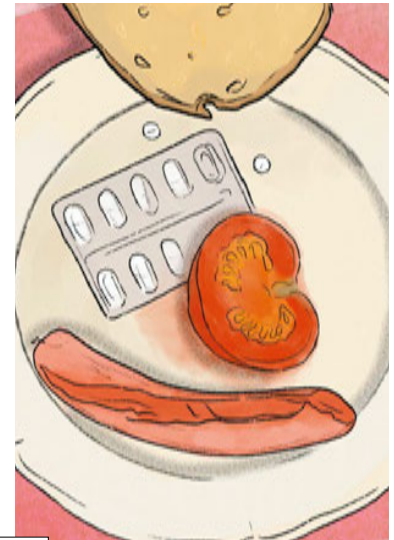
Za tydzień w kioskach oraz na sklep.polityka.pl



18 Młodzi przebodźcowani



21 Jolanta Kwaśniewska: lekcje odrobione?



24 Głodujący pacjenci

Tematy tygodnia

- 12 Wojciech Szacki
Dlaczego PiS-owi nie idzie
- 15 Rafał Kalukin
Opozycja po marszu
- 18 Marta Mazuś
Pokolenie Z: kim są i jak zagłosują



Polityka

- 21 ROZMOWA POLITYKI
Jolanta Kwaśniewska o tym, czy z PiS da się wygrać i jak to zrobić

Społeczeństwo

- 24 Paweł Walewski
Szpitala głodzą
- 27 Zbigniew Borek
Jak osa zniszczyła karierę oficera



- 30 Rozmowa z aktorką
Izabelą Dąbrowską o rodzinnym Podlasiu, filmach, teatrze i roli pani Basi w „Uchu prezesa”
- 32 NA WŁASNE OCZY Krzysztof Potaczała
Dzikie zwierzęta wkraczają do miast

Rynek

- 36 Mieszko Czarnecki, Anna Dąbrowska
Norweskie interesy Obajtka
- 40 Cezary Kowanda
Kombinacje z promocjami

Świat

- 46 Ziemowit Szczerek
SERBIA
Między Rosją a Zachodem
- 49 Rozmowa z **Sergiuszem Najarem** o tym, jakim kłopotem są nasze niby otwarte granice
- 52 Filip Gańczak
NIEMCY **Boris Pistorius: dlaczego jest dziś najpopularniejszym niemieckim politykiem**
- 54 Roman Husarski
KOREA POŁUDNIOWA **Kimchi: kwestia smaku i tożsamości**



Nauka/projektpulsar.pl

- 56 Prof. **Frans de Waal** o podziale na płcie i różnicach w tożsamości płciowej, które w przyrodzie są powszechne



- 59 Tadeusz Michrowski
Wiedza rdzenna: kto ma prawo czerpać z niej zyski
- 62 Andrzej Hołdys
Co kryje się pod skorupą ziemską

Historia

- 64 Tomasz Targański
Zapory: śmiertelność broń wojenna

- 67 Prof. **Miloš Režnik**, szef Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie, o napadzie posła Brauna i dialogu z Polakami

Kultura

- 74 Rozmowa z aktorem **Andrzem Chyrą** o Kościele, polskich wyborach i nowym serialu „Sortownia”
- 78 Piotr Sarzyński **Nan Goldin: jak znana fotografka walczyła z korporacją farmaceutyczną**
- 82 **Jan Emil Młynarski** o nowej płycie i burzliwych latach 90.
- 85 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 86 KAWIARNIA LITERACKA
Julia Fiedorczyk

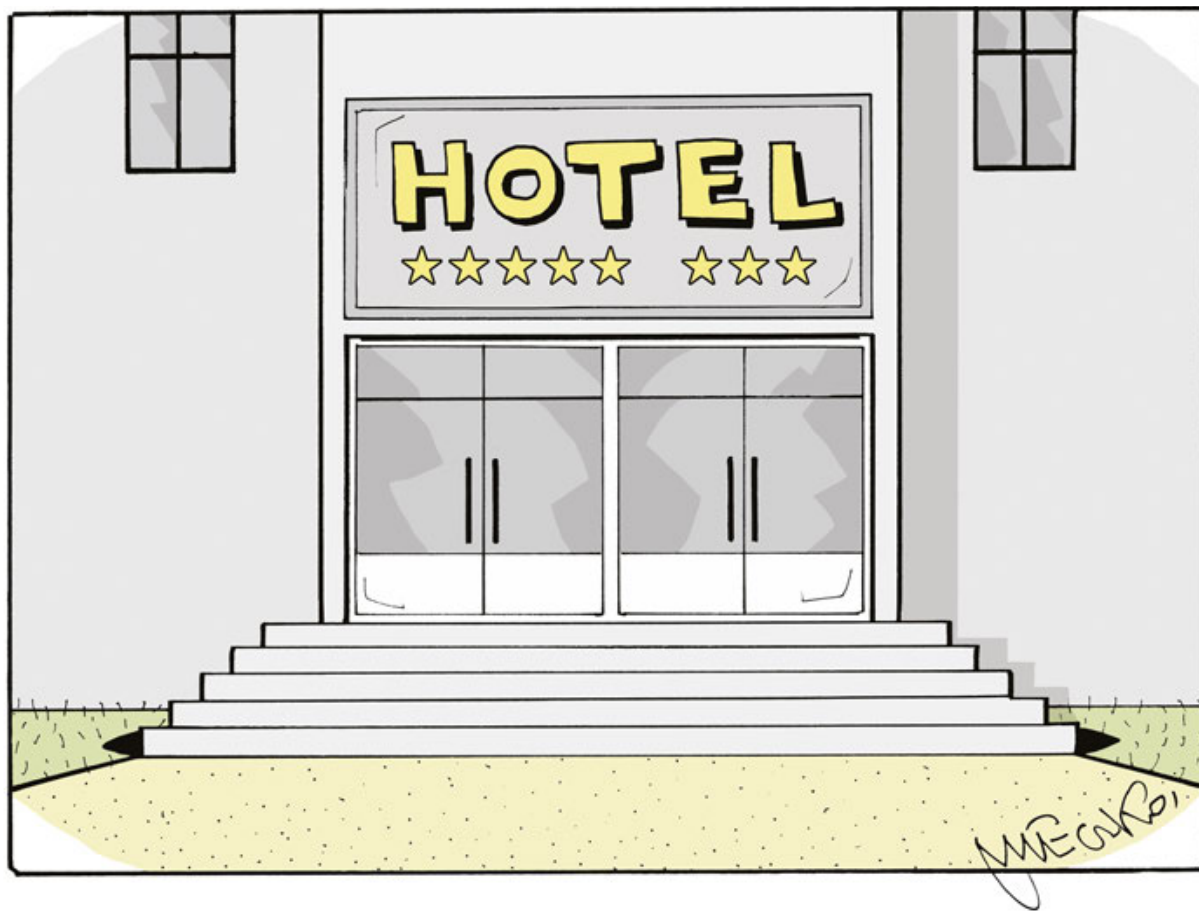


Ludzie i style

- 92–97 • **Poluzowana moda**
• **Dzierganie wciąga**
• **Czytające okulary**
• **Czym jest samara**
• **Seks polityczny** • **Praktyka kendo** • **Placuszki na piknik**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy
• **7** Ludzie i wydarzenia • **70** Afisz
• **87** Wicha • **88** Chutnik i Plebanek
• **89** Koziołek • **91** Do i od redakcji
• **98** Polityka i obyczaj



www.mleczeko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Polska smutna i Polska wesoła

Powiem szczerze: to, że TVN zrezygnował z relacjonowania ważnych imprez: Ogólnopolskiej Parady Kół Gospodyń Wiejskich w Opcznie i festiwalu Polska od Kuchni w Łomży, a zamiast tego cały dzień transmitował odbywający się w ich cieniu wielki marsz opozycji, uważam za skandal.

Zgadzam się z redaktorami TVP, że próba odwrócenia uwagi Polaków od tych wydarzeń to cios w obiektywne dziennikarstwo i prawdę, która jest niestety taka, że w Łomży i Opcznie było widać autentyczną chęć zabawy i masę samozadowolenia, podczas gdy marsz w Warszawie okazał się wydarzeniem smutnym i niepokojącym. Posła Kukiza szczególnie zaniepokoiły słowa uczestników o tym, że chcą, aby „coś się zmieniło”, co tylko demaskuje ich zacierzwienie i nienawiść, gdyż zdaniem wspierającego partię rządzącą Kukiza tak jak jest, jest dobrze, a zmiany mogą tylko wszystko zepsuć.

Marsz był też niestety wydarzeniem nudnym; uczestnicy całymi godzinami szli i szli, nienawistnie wymachując flagami Polski i UE. Dlatego nie dziwię się, że TVP skupiła się na wydarzeniach z Łomży i Opczna, gdzie uczestnicy

śpiewali, tańczyli i nikt się niczym nie niepokoił, bo było co jeść i czym popić, można było również zobaczyć z bliska wicepremiera Sasina.

Na szczęście próba przykrycia wesołych wydarzeń w Opcznie i Łomży smutnym marszem opozycji się nie udała. Te wydarzenia to dowód, że w trudnych chwilach, w obliczu nadciągających zagrożeń, Polacy potrafią wesprzeć władzę gotowaniem, tańcowaniem i spontaniczną konsumpcją. A TVP szeroko to relacjonując, dała przykład dziennikarstwa odważnego, będącego służbą wymagającą od dziennikarzy gotowości do bycia wszędzie tam, gdzie władza potrzebuje, żeby byli.

Redaktor Wąż z TVP słusznie zarzucił stacji TVN, że ujawniła na swoich paskach dokładną godzinę rozpoczęcia marszu, co nie ma nic wspólnego z uczciwym, obiektywnym dziennikarstwem. TVP w trosce o obiektywizm i zachowanie wysokich standardów nie tylko nie podała informacji o godzinie rozpoczęcia marszu, ale także go nie pokazała. Zgadzam się z Wężem (Wężem?), że podawanie dokładnych i sprawdzonych informacji urąga standardom obowiązującym w TVP, i uważam, że TVN – jeśli nie mógł powstrzymać się przed poinformowaniem o godzinie rozpoczęcia marszu – w trosce o prawdę i obiektywizm powinien był podać godzinę nieprawdziwą albo przynajmniej mocno niedokładną.



Klasyczne safari w Tanzanii

Przeżyj ekscytujące safari, a po nim chwile relaksu mieszkając w najnowszym campie Albatros Travel Honeyguide Tarangire w Parku Narodowym Tarangire.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Kilimandżaro. Dz. 2 Wizyta na plantacji kawy i przejazd do obozu Honeyguide Tarangire. Dz. 3 Safari w Parku Narodowym Tarangire. Dz. 4 Wioska Mto wa Mbu i wizyta masajskiej wioski Lesimingori. Dz. 5 Całodniowe safari w parku Tarangire z piknikiem. Dz. 6 Safari w Kraterze Ngorongoro wpisanym na listę UNESCO (dodatkowo płatne) lub safari w parku Tarangire. Dz. 7 Honeyguide Tarangire Camp – Arusza. Wylot do Polski. Dz. 8 Przelot do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 21/01 2024 | **18.998,-**



**WYKŁAD
ONLINE**



Rejs po rzece Douro do Porto

22/06/23 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie www.albatros.pl

Przywitaj Bali

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Denpasar. Dz. 2 Przelot na Bali i przejazd do Candi Dasa. Dz. 3 Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz patac wodny Tirta Gangga. Dz. 4 Candi Dasa – Munduk. Dz. 5 Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. Dz. 6 Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. Dz. 7 Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. Dz. 8 Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). Dz. 9 Ubud – Sanur. Świątynia Tanah Lot. Dz. 10-13 Wypoczynek w Sanur. Dz. 14-15 Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przelot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 19/07, 04/09 2023 | od **9.998,-**

Izrael z Jordanią w 8 dni

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. Dz. 2 Jezioro Galilejskie. Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Nazaret. Dz. 3 Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. Przejazd do Jordanii. Jerash – „rzymskie miasto”. Dz. 4 Petra wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Amman. Dz. 5 Przejazd przez most Allenby do Izraela. Jerycho - Góra Kuszenia. Dz. 6 Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana płaczu”, Wzgórze Świątynne, Droga krzyżowa - Via Dolorosa, Bazylika Grobu Świętego, Wieczernik. Dz. 7 Betlejem – Kościół Narodzenia Pańskiego. Kąpiel w Morzu Martwym. Masada. Dz. 8 Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 16/11 2023 | **9.498,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL22

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Świątełko nadziei



Łukasz Lipiński

W całym kraju odbywają się protesty przeciw kolejnej absurdalnej i tragicznej śmierci – 33-letniej Doroty Lalik w szpitalu w Nowym Targu. Kobiety, której nie uratowano, bo medycy bali się usunięcia płodu, który nie miał szans na przeżycie. „Jak skończyć z piekłem kobiet?” – pytał przed stu laty Tadeusz Boy-Żeleński i to pytanie znów stało się przerażająco aktualne. Kobiecie nakazano leżenie przez trzy dni z nogami do góry, bo to miało pomóc w przywróceniu wód płodowych, a szpital nie usuwa ciąży, bo nosi imię Jana Pawła II. „Położyć na trzy dni w szpitalnym łóżku kobietę, w organizmie której rozwija się sepsa, to jak postawić ją pod ścianą z podniesionymi rękami, podczas gdy wokół świszczą kule. Prawdopodobieństwo, że przeżyje, jest podobne” – pisała w internetowej POLITYCE Martyna Bunda.

Pani Dorota to kolejna kobieta, która zmarła w takich okolicznościach, po m.in. Izabeli z Pszczyny i Agnieszce z Częstochowy i wielu innych, o których się nie dowiemy. Ich śmierć jest efektem paktu obozu władzy z fundamentalistycznymi ruchami antyaborcyjnymi, którym wypłacił się za polityczne poparcie m.in. za pomocą antyaborcyjnego wyroku Trybunału Konstytucyjnego. To nakreśliło atmosferę strachu przed prokuratorem, w której płód jest – wbrew prawu – ważniejszy od życia jego matki. Hasło protestów „Ani jednej więcej!” powinno się stać zobowiązaniem dla polityków w trwającej już nieoficjalnie kampanii wyborczej (m.in. o złożości kobiet pod rządami PiS opowiada Jolanta Kwaśniewska na s. 21).

W tej kampanii po marszu 4 czerwca po raz pierwszy inicjatywę przejęła opozycja. Widać to było w internecie, a zwłaszcza w mediach społecznościowych, gdzie królowały filmiki, zdjęcia i posty tysięcy uczestników demonstracji. Sztab PiS tym razem kompletnie zawiódł: haniebny spot z Auschwitz był kompromitacją, a próby przebic się z przekazem o rzekomym „marszu nienawiści” rozchodziły się dużo słabiej niż spontaniczne, głównie radosne i pozytywne wpisy uczestników marszu. Wielu przedstawicielom PiS puszczały nerwy, na czele z Mateuszem Morawieckim, który w Stalowej Woli groził politykom KO, że zostaną „obici kijami”, co ociera się o bezpośrednio nawoływanie do przemocy. Nerwowość widać w kolejnych działaniach PiS, który nie ma pomysłu na tę kampanię. Odpowiedzią ma być więc „więcej tego samego”: polaryzowania wyborców wokół budzących emocje tematów oraz transferów socjalnych, czyli kupowania głosów dla partii za publiczne pieniądze (o reakcji PiS na marsz 4 czerwca pisze Wojciech Szacki na s. 12).

Emocje ma wzbudzić rzekoma „przymusowa relokacja migrantów”, do której ma nas rzekomo zmuszać Bruksela. To czyste Radio Erewan, jak w dowcipach z ZSRR: ani przymusowa, ani relokacja, ani migrantów. Ministrowie spraw wewnętrznych Unii doszli w zeszłym tygodniu do porozumienia (przy sprzeciwie Polski i Węgier), co obciąża i uchodźcami, czyli osobami szukającymi ochrony przed prześladowaniami, a nie migrantami ekonomicznymi, co próbuje nam wmówić PiS. Przeciwnie: porozumienie ułatwia wydalanie z Europy migrantów, którzy się pod osoby prześladowane podszycują. Zakłada też mechanizm solidarnościowy: napływ azylantów koncentruje

się w kilku krajach, inne mogą albo przejąć opiekę nad proporcjonalną częścią uchodźców, albo dopłacić do wspólnego funduszu – uwaga! – 20 tys. euro do jednej osoby (przypomnijmy: rząd PiS przewalił na unijne kary 550 mln euro i nie jest w stanie dobrać się do 58 mld z KPO). A finansowane z tych pieniędzy ośrodki mają być ulokowane w uznawanych za bezpieczne krajach pozaunijnych, takich jak Tunezja, co nie różni się specjalnie od pomysłu Beaty Szydło „pomagania na miejscu”. Teraz projekt będzie dyskutowany m.in. w Parlamencie Europejskim z udziałem polskich posłów, więc o żadnym dyktacie nie ma mowy. Ale ten, kto pamięta konferencję ministrów Kamińskiego i Błaszczaka z obrzydliwym zdjęciem „migrantów-zoofilów”, wie, że PiS w propagandzie nie cofnie się przed niczym.

Jeśli chodzi o transfery, to PiS nie ma na to pieniędzy, ale co szkodzi błyskawicznie znowelizować budżet i zwiększyć deficyt o 24 mld zł, co właśnie ogłosił premier. Pieniądze mają pójść na pakiet świadczeń uzgodnionych z popierającą rząd Solidarnością. We wrześniu jednorazową premię (z okazji 250-lecia Komisji Edukacji Narodowej) dostaną np. nauczyciele, którzy bezskutecznie od lat dopominają się realnych podwyżek i waloryzacji. Może któryś to kupi i zagłosuje na PiS, nie zauważając, że jego regularna pensja niebezpiecznie osuwa się w okolice płacy minimalnej. Spora suma z nowelizacji zostanie zresztą w kieszeni władzy jako zaskórniaki na kolejne przedwyborcze prezenty, które zapewne szybko pożre inflacja, bo rządowe wydatki będą silnym impulsem do kolejnych wzrostów cen. W zapasie są jeszcze tzw. emerytury stażowe, od 55. roku życia dla kobiet i 60. dla mężczyzn, o których Jarosław Kaczyński niedawno mówił, że nie da się ich wprowadzić, bo są za kosztowne. Ale czego się nie zrobi, żeby wygrać...

Z drugiej strony jest opozycja, zwłaszcza KO, której marsz 4 czerwca niespodziewanie dał do ręki „złoty róg” nadziei, entuzjazmu i impetu. Z sondaży wynika, że wyborcy zaczynają wierzyć, iż opozycja jest w stanie przejąć władzę. Marsze nie wygrywają wyborów, to truizm, do głosowania jeszcze cztery miesiące. Co więcej, sondaże mogą się ustawić tak, że sama KO będzie za słaba, żeby wyrwać PiS władzę, a potencjalni koalicjanci – Trzecia Droga i Lewica – za dużo stracą na rzecz KO, żeby znacząco wzmocnić blok opozycyjny (pisze o tym Rafał Kalukin na s. 15). Lecz opozycja zyskała inicjatywę wobec wyraźnie pogubionego obozu władzy. I mimo całej nierówności szans – budżetu państwa, który stał się budżetem kampanijnym PiS, pieniądze ze spółek Skarbu Państwa, propagandy TVP i innych mediów, całego aparatu państwa na usługach partii – po raz pierwszy od ośmiu lat wzbudziła realną nadzieję zwycięstwa. To kapitał nie do przecenienia, choć zawsze można go roztrwonić.

Jan Koza



© JAN KOZA

Na porodówkę z prawnikiem

Okoliczności tej śmierci nie pozostawiają wielu złudzeń. 33-letnia Dorota trafiła do szpitala im. Jana Pawła II w Nowym Targu z powodu przedwczesnego odpłynięcia wód płodowych. To był 20. tydzień ciąży. To miało być jej pierwsze dziecko. Potwierdzono bezwładzie, a następnie trzy doby Dorota spędziła z nogami w górze, bo „tak może wody wrócić”. Władze tego podhalańskiego szpitala już w 2005 r. ogłosiły, że nie będą wykonywać aborcji. I słowa dotrzymały: w ciągu ostatnich sześciu lat nie odbył się żaden zabieg. A dyrektor Marek Wierzba startował do sejmiku małopolskiego z listy Solidarnej Polski Ziobry.

Nikt nie poinformował rodziny 33-latkii o tym, że szanse na utrzymanie ciąży są mniej niż minimalne. „Podtrzymywano w nas nadzieję, że wszystko będzie dobrze, że (...) może urodzi się wcześniak w 35. tygodniu ciąży. Nikt nie dał nam wyboru ani szansy” – mówił mąż Doroty. W organizmie kobiety rozwijała się sepsa, czyli nieprawidłowa reakcja organizmu na toczące się zakażenie. Gdy trzeciej doby nad ranem w końcu płód obumarł, z Dorotą nie było już kontaktu. Personel czekał dwie godziny, aż wojewódzki konsultant do spraw ginekologii przez telefon uzna, że można już usunąć płód. Dwie godziny później Dorota nie żyła. Prokuratura poinformowała, że sekcja zwłok wskazuje na wstrząs septyczny jako przyczynę śmierci.

Nie zareagowano na sygnały świadczące o rozwijającym się stanie zapalnym, nie rozważano indukcji poronienia, żeby zapobiec sepsie, wezwano na konsultację anestezjologa dopiero, kiedy Dorota była w ciężkim wstrząsie – to zarzuty, które szpitalowi stawia rodzina kobiety, składając wniosek do prokuratury o narażeniu na niebezpieczeństwo utraty życia i zdrowia. Postawa wyczekująca pod koniec drugiego trymestru ciąży to zawsze ryzykowanie życia kobiety – mówią badania, pokazują to też kolejne historie z Polski i innych krajów z surowym prawem antyaborcyjnym. Według badania z American Journal of Obstetrics & Gynecology



z października 2022 r. spośród 28 pacjentek w ciąży poniżej 22. tygodnia, u których wystąpił odpływ wód płodowych, tylko w jednym przypadku płód przeżył.

Ja byłam w podobnej sytuacji” – napisało wiele kobiet w reakcji na to, co stało się w Nowym Targu. „Ale cudem przeżyłam”. Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników w opublikowanym stanowisku skupia się głównie na „nagonce medialnej”. Długo milczała Naczelna Izba Lekarska, a zareagowała po słowach posłanki Katarzyny Kotuli („Prześcieńcie nas zabijać”) z żądaniem „zaprzestania szkalowania dobrego imienia lekarzy”. Prawniczki Federacji na Rzecz Kobiet i Planowania Rodziny przyznają: „Nasze telefony »płoną«”. W ciągu kilku dni zorganizowały sześć podobnych interwencji. Skończy się to tak: na porodówkę czy patologię ciąży tylko z kontaktem do prawniczki. I będzie to dowód wielkiej kapitulacji lekarzy, którzy w obawie przed władzą zapomnieli, że za ratowanie życia i zdrowia kobiety nie idzie się do więzienia. (AGSZCZ)

Tenis w cieniu wojny

To był dla **Igi Świątek** inny wielkoszlemowy finał niż trzy poprzednie, w których wygrywała bezdyskusyjnie. Zgodnie z przewidywaniami Karolina Muchova pokazała czeski tenis w jego najlepszym wydaniu: urozmaicony, inteligentny, z odpowiednio skrojonymi proporcjami subtelności i siły. Obawa, że Iga nie obroni tytułu, była chwilami uzasadniona. Zdecydowały tenisowe detale i jeden ludzki – czyli stalowe nerwy. W tym przypadku: szybka adaptacja Igi do nagłej zmiany ról – z uciekającej w goniącą.

Świątek ma w finałach Wielkiego Szlema imponujący bilans 4–0. W jej wieku (22 lata) tylko Serena Williams mogła się pochwalić takim osiągnięciem. Potwierdzenie dominacji Polki na paryskiej mączce i umocnienie się na pozycji liderki rankingu nastąpiło po trudnym półroczu, gdy triumfowała rzadko, i to w turniejach niższej rangi (Stuttgart i Doha). Ostatni przed paryskim szlemem sprawdzian w Rzymie skończył się poddaniem meczu z powodu kontuzji, a jej przewaga w rankingu topniała w oczach. Skończył się już w kobiecym tenisie podział



na Igę i nienadążającą za nią resztę. Grupa trzymająca władzę powiększyła się do trzech tenisistek (Świątek, Aryna Sabalenka i Jelena Rybakina), a paryska droga Muchovej, która w dramatycznym półfinale pokonała Sabalenkę, pokazuje, że i w drugim szeregu nie brak potencjału.

Ten stan rzeczy, kipiący emocjami i jakością, jest kobiecemu tenisowi – wciąż przegrywającemu z męskim choćby pod względem obecności kibiców na trybunach – potrzebny. A teraz rywalizacji na szczycie towarzyszy jeszcze tragiczny kontekst wojny

w Ukrainie. Wymowna postawa Igi, która na korcie eksponuje wstążkę w ukraińskich barwach, zderza się z unikami większości jej rywalek oraz dylematem, czy zezwolić na udział w turniejach tenisistów z Białorusi i Rosji. Organizatorzy French Open nie mieli cienia wątpliwości, że grać mogą, a ponadto zapewnili Sabalence komfort niestawiania się na konferencje prasowe, gdzie musiałaby zderzyć się z pytaniami, dlaczego chadzała na spotkania z Łukaszenką w czasach, gdy prześladował białoruską opozycję, i podpisywała listy z poparciem dla niego. Są tacy, którzy Sabalence współczują i twierdzą, że należy skupić się wyłącznie na sporcie. Ale filmów i zdjęć, na których uśmiechnięta pozuje u boku białoruskiego satrapy, nie da się „odzobaczyć”.

Tymczasem paryska publiczność zajęła czytelne stanowisko: gwizdząc na ukraińskie tenisistki, które demonstracyjnie odmawiały podawania ręki rywalkom z krajów agresorów. Za nieco ponad rok w Paryżu zaczynają się letnie igrzyska, a Międzynarodowy Komitet Olimpijski forsujący udział w nich sportowców z Rosji i Białorusi (pod pewnymi warunkami) dostał właśnie argument: wojna jest daleko, a widowiska będą blisko i to na nich należy się skupić. (MP)



Turów: odkrywka wyborcza

Błyskawiczna wizyta **Mateusza Morawieckiego** i **Jacka Sasina** w Turowie to nie tylko gospodarza reakcja na postanowienie sądu. To przede wszystkim troska o głos wyborczy – kopalnia w Turowie daje pracę i utrzymanie ok. 60 tys. ludzi. Stąd kampanijna retoryka: „Żaden sąd nie będzie nam dyktował – ani z Brukseli, ani z Warszawy – co to znaczy bezpieczeństwo energetyczne, co to znaczy bezpieczeństwo ludzi. (...) Wyrok sądu, który nie bierze pod uwagę stabilności systemu energetycznego, dostaw prądu do szpitali, żłobków, szkół, to jest bezprawie” – perorował Morawiecki.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie postanowienie o wstrzymaniu wydobycia w kopalni wydał na wniosek Zittau, czeskiego i niemieckiego oddziału Greenpeace, Fundacji Frank Bold i Stowarzyszenia EKO-UNIA, które jesienią 2022 r. zaskarżyły decyzję środowiskową minister klimatu Anny Moskwy, pozwalającą

na pracę odkrywki do 2044 r. Skarżący alarmowali, że nie uwzględniono ani zmian klimatycznych, ani oddziaływania odkrywki na społeczność po trzech stronach granicy. Kilka dni później Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska odwołała się od postanowienia WSA; także właściciel kopalni węgla brunatnego i elektrowni (Polska Grupa Energetyczna) zapowiada odwołanie. Sąd ma trzy miesiące na ocenienie, czy decyzja środowiskowa dla koncesji do 2044 r. została wydana zgodnie z prawem. Rzecznik prasowa WSA poinformowała, że postanowienie z 31 maja nie wstrzymuje pracy kopalni Turów – choć w uzasadnieniu decyzji sam sąd napisał: „Niniejsze rozstrzygnięcie winno skutkować natychmiastowym wstrzymaniem ewentualnej dalszej realizacji przedmiotowego przedsięwzięcia”.

Rok temu, w styczniu, ambasadorem Polski w Republice Czeskiej został były działacz Solidarności Polsko-Czechosłowackiej Mirosław Jasiński. Czesi wiązali z jego powołaniem ogromne nadzieje. W wywiadzie dla Deutsche Welle Jasiński powiedział: „Bądźmy uczciwi i przyznajmy, że powodem sporu była jednak arogancja pewnych ludzi. Przede wszystkim z dyrekcji kopalni. Potem jest dyrekcja PGE, a całe lata świetlne dalej ministerstwa i premier. Trzeba te szkody naprawić natychmiast, bo jeśli ktoś sobie kopie dół, to nie znaczy, że ludzie z sąsiedztwa mają zostać bez wody. Nie wierzę w to, żeby wielkiej kopalni nie było stać na zrobienie wodociągu dla kilkudziesięciu gospodarstw”.

Kilka dni po tym wywiadzie ambasador stracił stanowisko. Konfliktu nie rozwiązano do dzisiaj, ale teraz zyskał on nowy wymiar – wyborczy. To największy po Zagłębiu Miedziowym okręg na Dolnym Śląsku. W Zagłębiu od lat wygrywa prawica. Ścisłej – od czasu, kiedy SLD zaczął przebąkiwać o sprywatyzowaniu sreber rodowych, czyli KGHM. (KK)

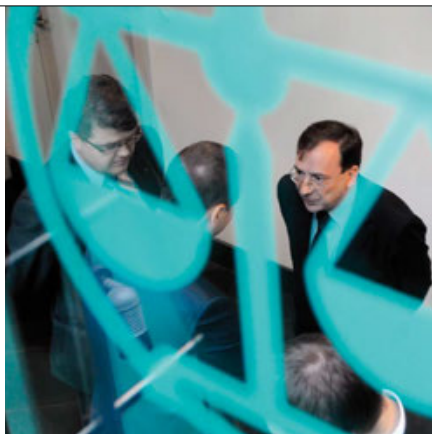
O konfliktach i nieporozumieniach na polskich granicach mówi Sergiusz Najar na s. 49.

Sąd kontra władza

Ułaskawienie nie będzie licencją na nieodpowiedzialność. Sąd Najwyższy popsuł władzę to narzędzie. I obronił swoją władzę sądenia. A sędziowie nie muszą się obawiać zemsty PiS, bo TSUE zakazał karania sędziów za orzekanie. A dopóki PiS zależeć będzie na pieniądzach z KPO, będzie respektował wyrok TSUE. Tak w skrócie wygląda krajobraz po zeszłotygodniowych wyrokach.

Wydawało się, że władza PiS wymyśliła sobie immunitet, który zapewni jej bezkarność za łamanie prawa. Tak ma działać prezydenckie „ułaskawienie przed skazaniem”. Trybunał niegdyś Konstytucyjny (TnK) poszedł dalej i ocenił, że ułaskawić prezydent może na każdym etapie – nawet na etapie postawienia zarzutów. Czyli może de facto zakazać ścigania konkretnych osób. To genialne w swojej prostocie narzędzie powstało nie z woli ustawodawcy, bo w prawie go nie ma. To władza, która nie zna granic, wymyśliła taki immunitet, i to na samym początku swoich rządów. Być może od razu założyła, że będzie łamać prawo, a chciała zapewnić bezkarność przynajmniej tym funkcjonariuszom, którzy nie odpowiadają przed Trybunałem Stanu?

Władzy udało się zmusić dwóch zbuntowanych członków TnK do udziału w wydaniu



wyroku de facto zakazującego Sądowi Najwyższemu orzekania w sprawie **Mariusza Kamińskiego** i **Macieja Wąsika**, których prezydent ułaskawił, nie czekając na prawomocne skazanie. Celem tego orzeczenia miało być uniemożliwienie SN rozpatrzenia odwołania pokrzywdzonych prowokacją CBA wobec Andrzeja Leppera w 2007 r. Trybunał Julii Przyłębskiej nie tylko zakazał osądzenia tej sprawy, ale w ogóle stosowania przez sądy uchwały siedmiu sędziów SN dotyczącej granic aktu prezydenckiej łaski. Czyli wszedł na teren zarezerwowany konstytucyjnie dla sądów. Troje sędziów Izby Karnej SN nie posłuchało zakazu i orzekło: sprawę Kamińskiego i Wąsika ma,

na wniosek pokrzywdzonych, rozpatrzyć sąd drugiej instancji, który wcześniej ją umorzył (sędzia Piotr Schab), powołując się na prezydenckie ułaskawienie.

Sędziowie SN: przewodniczący Andrzej Stępek, sprawozdawca Piotr Mirek i Małgorzata Gierszon, uznali, że nie wiążą ich wyroki TnK (w sumie trzy, w tym najnowszy, w ramach rzekomego sporu kompetencyjnego) wydane na kanwie ułaskawienia Kamińskiego i Wąsika, bo Trybunał nie ma władzy sądenia indywidualnych spraw, gdyż sądzi jedynie przepisy. I sędziowie zastosowali „zakazaną” przez Trybunał uchwałę siedmiuosobowego składu SN, w której stwierdza się, że ułaskawienie przed prawomocnym skazaniem jest konstytucyjnie niedopuszczalne, bo narusza prawo do sądu tak oskarżonego, jak i pokrzywdzonych. SN obronił się przed kolejnym najazdem władzy politycznej. Obronił też zasadę odpowiedzialności rządzących przed prawem.

A dzień wcześniej TSUE obronił sędziów. Po skardze Komisji Europejskiej ocenił tzw. ustawę kagańcową i uznał, że szykanowanie dyscyplinarne czy karne sędziów za orzekanie jest niedopuszczalne w świetle prawa Unii nakazującego władzy zapewnić każdemu prawo do niezależnego i bezstronnego sądu.

EWA SIEDLECKA

Co dał marsz

Adam Bodnar

Dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS,
rzecznik praw obywatelskich w latach 2015–21.

Marsz 4 czerwca to jedno z najważniejszych wydarzeń politycznych w historii Polski. Pół miliona obywateli wyszło na ulice w proteście przeciwko aktualnym rządom, z nadzieją na fundamentalne zmiany w kraju. Marsz zjednoczył opozycję oraz środowiska organizacji społecznych; reprezentowana była cała Polska i wszystkie pokolenia. Z pewnością dał nadzieję na wygranie wyborów przez opozycję demokratyczną. Ale jego znaczenie jest szersze.

Nieraz dyskutowaliśmy o zagrożeniach związanych z organizacją jesiennych wyborów parlamentarnych. Jest raczej pewne, że wybory będą nieuczciwe, choćby ze względu na zaangażowanie mediów publicznych po stronie obozu rządzącego. Ale pojawia się pytanie: czy mogą zostać też sfalszowane albo czy może być otwarcie zakwestionowany ich wynik? W ciągu ostatnich miesięcy w debacie publicznej pojawiały się różne scenariusze, których realizacja byłaby zagrożeniem dla procesu wyborczego.

Dla przykładu, istnieje możliwość wprowadzenia stanu wyjątkowego i przesunięcia wyborów w czasie – mechanizm został już wypróbowany podczas kryzysu na granicy polsko-białoruskiej. Nie można też wykluczyć nacisku na orzeczenie Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, które unieważniałoby wybory. Słowem, obóz władzy może na różne sposoby doprowadzić do wywrócenia

stolika i rozdania kart na nowo. Narzędzia do tego istnieją – podobnie jak ryzyko ich wykorzystania. Lex Tusk ma istotne znaczenie z punktu widzenia kampanii wyborczej, ale inne zagrożenia też było widać, jeszcze zanim ktokolwiek pomyślał o tej haniebnej ustawie.

Marsz jest jednak sygnałem, że jeżeli dojdzie do manipulacji wyborczych na dużą skalę, to opozycja jest w stanie głośno odpowiedzieć na ulicach. Nigdy po 1989 r. nie mieliśmy sytuacji, aby jakkolwiek siła polityczna pokazywała ludzką i obywatelską determinację w takim ogromie. Obóz władzy będzie pamiętał, że wydarzenia z 4 czerwca mogą się powtórzyć, a obywatele mogą być jeszcze bardziej wkurzeni – na rządzących czy na neosejdziów. Wszelkie fałszywe ruchy wyborcze będą teraz znajdowały się na radarze obywateli przywiązanych do zachowania demokracji w Polsce.

Myszę również, że gdyby nie marsz, to Komisja Europejska nie zdobyłaby się na szybkie działania w związku z lex Tusk. Warto sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach KE wcześniej podejmowała działania dotyczące praworządności. Było to zawsze następstwem protestów, listów ekspertów, stanowisk organizacji międzynarodowych, działań prawnych czy bohaterkiej postawy niektórych sędziów. KE może skutecznie działać, kiedy czuje, że w danym państwie ma znaczące polityczne i społeczne porparcie. I tak się stało również tym razem. Postępowanie przeciwnaruszeniowe zostało wszczęte – jak na standardy brukselskie – niezwykle szybko. Co więcej, po raz pierwszy pojawił się w nim zarzut naruszenia art. 10 Traktatu o UE, a mianowicie – zasady demokracji. Można przecież zwątpić, po co Unii państwo członkowskie, które nie przestrzega najbardziej podstawowych reguł gry, w którym obóz władzy oszukuje i dąży wszelkimi niedemokratycznymi środkami do utrzymania się przy władzy. Stąd właśnie szybkość i radykalizm działania KE.

W ciągu najbliższych miesięcy nieraz będziemy wracali do obrazów z marszu 4 czerwca. Widok pół miliona obywateli pod flagą polską i unijną będzie legitymizował różne działania na szczeblu międzynarodowym służące zachowaniu demokracji w Polsce. Mam nadzieję, że będzie także szczepionką wzmacniającą odporność i siłę reakcji polskich demokratów na haniebne oszustwa dokonywane przez obóz rządzący.

WARSZAWSKI DOM AUKCYJNY
ZAPRASZA NA WYSTAWY

BEKSIŃSKI



KRAKÓW, ŚW TOMASZA 26

1 - 30 CZERWCA 2023

CZYNNIE CODZIENNIE
11:00 - 18:00WORKS
ON
PAPER

MARC CHAGALL

1 - 30 CZERWCA 2023

WTOREK - SOBOTA
GODZ. 11:00 - 18:00WARSZAWA,
UL. WILCZA 69

WWW.WARSZAWSKIDOMAUKCYJNY.PL



Dwie kampanie Ukrainy

Zaczęło się. Po kilku dniach walk nie ma już żadnych wątpliwości, że Ukraina zaczęła kontrofensywę przeciwko rosyjskim okupantom. Rozkręca się powoli i nie znamy wielu szczegółów.

Padły oficjalne potwierdzenia i to zarówno od prezydenta Ukrainy, jak i Rosji. W akcji widać też przygotowywany dla kontrofensywy zachodni sprzęt. Natarcia idą na kilku odcinkach frontu w Donbasie i w Zaporozżu, przy czym największy wysiłek zbrojny w pierwszych dniach skupiony jest na kierunku południowym. Ukraińcy starają się przełamać rosyjską obronę tzw. lądowego korytarza na Krym, od zbiornika w wielkim zakolu Dniepru prawie po Donieck. Na szerokości ponad 150 km działania zaczepne zaczęły w trzech miejscach: na południe od Doniecka, pod Welyką Nowosyłką i pod Orechowem. Mapa sugeruje docelowe kierunki tych uderzeń: na Mariupol, Berdiańsk i Melitopol – przemysłowo-portowe miasta zabranego Ukrainie azowskiego wybrzeża. Ten ostatni rejon to najwęższe miejsce okupowanego „rękawa”, szerokości zaledwie 80 km. Przecięcie tego korytarza i dotarcie do morza byłoby logicznym celem ofensywy, podpowiadającym zresztą wcześniej przez licznych zachodnich ekspertów jako sposób na odcięcie Krymu i wzięcie Donbasu w kleszcze. Ukraina nie zrezygnowała z nękania Rosjan pod Bachmutem, najnowsze wieści mówią też o wznowieniu walk w obwodzie ługańskim.

Rzeczywiste zamiary ukraińskich dowódców pozostają tajemnicą, a działania operacyjne zasłania szczelna wojskowa cenzura. Na razie nie wiadomo, gdzie skupi się masa krytyczna kontrofensywy. Wieści z frontu są szczątkowe i przedostają się głównie poprzez rosyjskie kanały nieoficjalne – czasem przydatne, ale w żadnym razie nie obiektywne. Kontrofensywa nasiliła walkę informacyjną. Rosyjska propaganda rozpowszechnia obrazy zniszczonych zachodnich czołgów i wozów bojowych, często pokazując tę samą kolumnę z różnych ujęć, by zwiększyć wrażenie pogromu. Chodzi o to, by przekonać Zachód, iż Ukraina marnuje z trudem zgromadzony cenny sprzęt, który w dodatku nie okazał się żadną cudowną bronią. Poza wymiarem propagandowym zachodni analitycy dostrzegają jednak skuteczność rosyjskiej obrony: celność i różnorodność dronów uderzeniowych, wszechobecne zakłócanie elektroniczne, starannie przygotowane pozycje obrony przeciwpancernej.

Największa słabość Ukrainy to brak wsparcia powietrznego, co sprawia, że frontalny atak na umocnionych w terenie Rosjan jest bardziej kosztowny w sprzęcie i w ludziach, niż gdyby podobny manewr czołgów osłaniał lotniczy parasol. Ale nikt nie mówi, że będzie łatwo – przełamanie przygotowywanej przez wiele miesięcy obrony będzie operacją trudną i krwawą. Nacierających Ukraińców najpierw czeka przejście przez pola minowe, później stanowiska obrony przeciwpancernej i karabinów maszynowych, wreszcie przeciwczołgowe



rowy i zapory. Ostatnią linię obrony stanowią bunkry połączone wykopanymi wzdłuż linii frontu transejami – o ile Rosjanie nie ustąpią, walka będzie tu w bliskim kontakcie, oko w oko. Wszystko pod nieustannym ogniem artylerii, nadlatujących nisko bezzałogowców i krążącego wysoko lotnictwa bombowego, ze słabnącą w miarę postępów natarcia własną obroną powietrzną. Unieruchomionych Leopardów, spalonych Bradleyów i zniszczonych zachodnich radarów będzie coraz więcej, to nieuchronny koszt kampanii wyzwoleniczej.

Koszty trwającej od ponad tygodnia kampanii humanitarnej są również trudne do oszacowania. Konsekwencją wysadzenia tamy w Nowej Kachowce będzie trwała zmiana geografii ujścia Dniepru do Morza Czarnego. Na dziś to przede wszystkim ewakuacja mieszkańców zalanych terenów, poszukiwanie zaginionych, zabezpieczenie mienia, jeśli cokolwiek przetrwało. O ile po ukraińskiej stronie akcja przebiega sprawnie i z międzynarodową pomocą, o tyle los mieszkańców okupowanych przez Rosję terenów jest dramatyczny. Wciąż nie ma jasności, czy zerwanie zapory było celemowym działaniem rosyjskich wojsk, czy może nieudaną operacją ukraińskich sił specjalnych. Widać jednak, że naturalna przeszkoda utrudniająca atak od zachodu na Krym jest dziś znacznie szersza, a ukraińska armia, zamiast walczyć, musi pomagać w usuwaniu skutków katastrofy.

MARK ŚWIERCZYŃSKI

I matura, i chęć szczerą

Miniona środa i czwartek były – bez przesady – najważniejszymi dniami dla 12,9 mln młodych Chińczyków, którzy przystąpili do **gaokao**, centralnego egzaminu maturalnego, ustawiającego ich na całe życie. To ten test decyduje, na jakie studia się trafi (a blisko 30 proc. zdających z gorszymi wynikami nie dostanie się na żadne, przekreślając szansę na awans). Uczniowie zdają z chińskiego, matematyki i języka obcego (do wyboru: angielski, francuski, japoński i rosyjski) oraz dwóch przedmiotów dodatkowych. Egzamin mają formę testów i pisemnych rozprawek, tu akurat, jak można przewidzieć, premiowana jest zgodność z aktualnym przesłaniem przewodniczącego Xi i króluje konformizm. Do zdobycia jest 750 pkt, tylko nieco ponad 1 proc. zdających osiąga powyżej 600 pkt, a żeby trafić do trzech najbardziej prestiżowych pekińskich uniwersytetów, potrzeba grubo więcej.

Wydawałoby się, że *gaokao*, najtrudniejszy egzamin na świecie, jak chępli są miejscowe media, to pomnik chińskiej merytokracji: wszyscy w liczącym 1,4 mld ludzi kraju mają równe szanse. Ale to pozory: szkoły bardzo różnią się poziomem, a istotną rolę ogrywa też nierówny dostęp do korepetycji, które potrafią kosztować fortunę, a bez nich i setek godzin wkuwania nie ma



mowy o sukcesie. To właśnie w wielki rynek prywatnych korepetycji uderzył niedawno Xi. Chińska matura to także fenomen społeczno-obyczajowy, w te dni pod szkołami gromadzą się tłumy, zawieszają się hałaśliwe prace i budowy, specjalnie organizuje miejski ruch; mamy zakładając *qipao*, strój symbolizujący powodzenie, a maturzyści coś czerwonego na szczęście i karmieni są szczęśliwymi ryżowymi pierożkami *zongzi*. W tym roku wprowadzono powszechny system rozpoznawania twarzy, aby wyeliminować oszustów, zdających za kogoś, co dawniej było prawdziwą plagą. Media podkreślają przy okazji, że to najlepiej wyedukowane pokolenie Chińczyków. Może nawet prze-edukowane, jeśli to zestawić z realiami rynku pracy. Według oficjalnych danych NBS bezrobocie w miastach wśród 16–24-latków sięga 20,4 proc., a wielu, na przeczekanie, chwytają się byle jakich prac. Nic dziwnego, że Xi Jinping rzucił hasło, aby młodzi pomogli w ożywieniu wiejskiej gospodarki. Czytaj: porzucili aspiracje i nadzieje.

Płeć po grób

Projekt ustawy wspierany przez blisko 400 deputowanych wszystkich frakcji, który wpłynął właśnie do rosyjskiej Dumy, zakazuje zmiany płci – na drodze administracyjnej i medycznej. Powstał pod auspicjami jej przewodniczącego Wiaczesława Wołodina, co zapewnia mu szybką ścieżkę. Z kilku wersji wybrano najdalej idącą. A klimat temu sprzyja: w jednym z ubiegłorocznych wystąpień, piętnujących zgniliznę Zachodu, prezydent Putin określił transseksualizm jako „perwersję, która prowadzi do degradacji”. Równoległe z agresją w Ukrainie, i mocno wspierane przez Cerkiew, trwa przywracanie tradycyjnych wartości, w imię „walki o przyszłość naszego kraju i przyszłość ludzkości”, jak to ujął parlamentarzysta Siergiej Mironow.

Jedyny przewidziany w ustawie wyjątek to możliwość interwencji medycznej w przypadku wrodzonych wad rozwojowych u dzieci, za zgodą specjalnej federalnej komisji medycznej. Od 2018 r. istniała możliwość zmiany płci w dokumentach bez zabiegów medycznych, a tylko

na podstawie zaświadczeń medycznych o stwierdzonej transpłciowości. Wtedy takich przypadków było ok. 400 rocznie, rok temu już ponad 2,7 tys., i prawie tyle samo w tym, co deputowani zinterpretowali jako próbę uchylenia się od służby wojskowej. „Zaatakował nas zachodni przemysł transpłciowy – komentował wiceszef Dumy Piotr Tołstoj – musimy się bronić”. Teraz więc taka możliwość zostanie skasowana, jak i każda inna forma zmiany płci, trwające kuracje będą przerwane, a nie będzie już komu się o nie upomnieć czy choćby wspomnieć publicznie. To z kolei za sprawą znowelizowanej w grudniu ub.r. ustawy, która zabroniła „propagowania nietradycyjnych stosunków seksualnych, zmiany płci i pedofilii” w mediach, internecie, edukacji szkolnej i „dziełach kultury” oraz reklamie. Też w ramach porządków i również ze wsparciem Cerkwi. Nie ma prawdziwych zwycięstw w Ukrainie, to trzeba ludziom rzucić przynajmniej takie. W kuluarach Dumy słychać, że przydałby się kolejny zapis, kwalifikujący „radyczny feminizm” jako formę terroryzmu. I tu odpowiednia ustawa też pewnie szybko powstanie.

Prezydencje strachu: po Węgrach Polacy

Płac Prezydencki zaproponował zmiany ustawowe, które mają zapewnić prezydentowi RP kontrolę nad polityką europejską. Dotychczas była ona w gestii rządu i nowa propozycja jest odbierana jako próba zabezpieczenia przez Andrzeja Dudę wpływów w Brukseli na wypadek porażki PiS w październikowych wyborach. Bez względu jednak na ich wynik, wygląda na to, że Unię czekają ciężkie czasy, bo najpierw – w drugiej połowie 2024 r. – prezydencję w Radzie UE przejmują Węgry, a zaraz potem – w pierwszej połowie 2025 r. – Polska: albo rządzona niepodzielnie przez antyunijny PiS, albo pogrążona w chaosie sporów o politykę europejską między prezydentem Dudą i rządem wyłonionym z dzisiejszej opozycji.

Projekt prezydenckiej ustawy zakłada m.in., że prezydent miałby prawo weta w sprawie ważniejszych polskich nominatów do unijnych instytucji, w tym m.in. polskiego komisarza, sędziego i rzecznika Trybunału Sprawiedliwości UE. Dodatkowo rząd musiałby konsultować z prezydentem najważniejsze stanowiska w polityce unijnej i dokumenty, nad którymi pracuje Rada UE. Prezydent chciałby też reprezentować Polskę podczas szczytów Rady Europejskiej (teraz jeździ na nie premier), co część ekspertów uważa za sprzeczne z Konstytucją RP i wprost z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego, który w 2009 r. w sporze „o krzesło” w Radzie między premierem Donaldem Tuskiem i prezydentem Lechem Kaczyńskim rację przyznał temu pierwszemu.



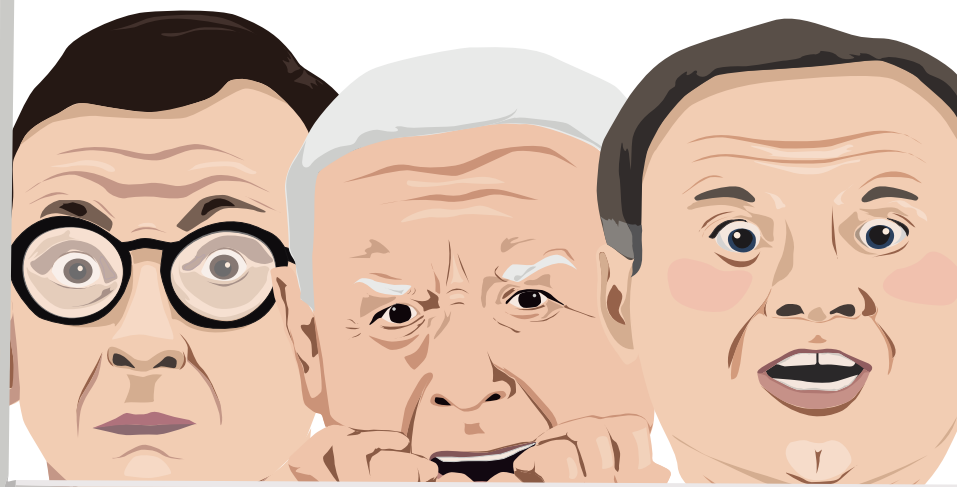
Tym razem kluczowy spór może dotyczyć wspomnianej prezydencji w Radzie UE. Traktatowo państwa członkowskie co pół roku przekazują sobie tę funkcję, która ma charakter neutralny i dotyczy głównie organizowania prac Rady (teraz sprawuje ją Szwecja). W skład Rady wchodzi ministrowie państw członkowskich stosownie do debatowanego zagadnienia. Wraz z PE pełni ona w Unii funkcję ustawodawczą – zatwierdza propozycje KE. Przy czym Rada dominuje tu nad europarlamentem, szczególnie w sprawach podatkowych. Stąd m.in. ostatnie obawy europosłów o zbliżającą się prezydencję Węgier, które pod wodzą **Viktora Orbána**, są na bakier z unijną praworządnością i – tak jak Polska – część funduszy mają zablokowane. A gdy Rada UE przetrwa już jakoś węgierską prezydencję, może ją jeszcze czekać prezydencja Dudowa.

ŁUKASZ WÓJCİK

Zacięło się

WOJCIECH SZACKI

Kampania PiS w ostatnich tygodniach przypomina ruiny i to nawet nie jakieś malownicze, tylko po prostu kupę gruzu. Partia rządząca – która ma największe zasoby finansowe, doświadczonych sztabowców i dokładne badania społeczeństwa – poniosła serię bolesnych wizerunkowych porażek.



ILUSTRACJA AGATA ROJEK

W

ygłąda to trochę tak, jakby PiS uznał, że opozycja jest słabiutka, że nie ma z kim przegrać, że wystarczy rutynowo postraszyć Donaldem Tuskiem i równie rutynowo dosypać wyborcom trochę pieniędzy – i jakoś to będzie, reelekcja przyjdzie sama.

UI, lex Tusk...

Przykłady błędów można mnożyć, od strategicznych po komunikacyjne. W połowie maja PiS zorganizował

w Warszawie wielką konwencję, którą z dumą nazwał ulem programowym. Przez dwa dni rządzący opowiadali jednak nie o przyszłości i programie, lecz o tym, jak wspaniale spisywali się przez ostatnie lata i w jak fatalnym stanie byłaby Polska, gdyby premierem był Tusk. To była konwencja – jak mawia Jarosław Kaczyński – tłustych kotów. Nikt już by o tym wydarzeniu nie pamiętał, gdyby prezes w przemowie zamykającej ul nie obiecał waloryzacji dodatku 500 plus, który od stycznia ma wzrosnąć do 800 zł.

W części opozycyjnego internetu na moment powiało grozą: „gamechanger”, „pozamiatane”, „PiS już wygrał”, ale panika trwała krótko. Tusk następnego dnia zręcznie odbił piłkę, proponując, żeby świadczenie podnieść już od połowy roku. Część liberalnych wyborców miała mu to nawet za złe, ale istotniejsze w tej potyczce było coś innego – PiS przegrał ją na poziomie komunikacyjnym, nie pociągnął tematu, który miał go nieść przez kilka tygodni, być może nawet do początku wakacji. 800 plus jako motyw kampanii zgąsło po kilkudziesięciu godzinach.

W obozie władzy pojawiają się wątpliwości, czy to był dobry czas na tę deklarację, a nawet czy była w ogóle sensowna. Sondaże również nie pokazały zwyżki.

– *To nasza najkosztowniejsza obietnica wyborcza, na drugi tak duży program nie mamy już pieniędzy. Wcześniej słyszałem, że mieliśmy z tym wyjść na konwencji w czerwcu, żeby się o tym mówiło przez całe wakacje – mówi polityk z koalicji rządzącej. A inny dodaje: – Takie programy już nie działają. Cały czas dajemy pieniądze tym samym ludziom, a teraz obiecujemy im jeszcze więcej kasy. Zapominamy, że większość Polaków żadnego 500 plus nie dostaje i takie obietnice tylko ich denerwują.*

PiS przegrywa też na razie batalię w sprawie komisji ds. badań rosyjskich wpływów w Polsce w latach 2007–22. Projekt ustawy bez większego szumu medialnego i bez wielkiego pośpiechu przeszedł przez parlament (na poziomie prac komisji długo blokowała go posłanka Suwerennej Polski Anna Maria Siarkowska), po czym widowiskowo wybuchł Kaczyńskiemu w rękach, gdy Andrzej Duda 29 maja ogłosił, że ustawę podpisie.

Prawnicy zaalarmowali, że przepisy ustanawiające komisję są oczywiście sprzeczne z konstytucją. Komisja dostaje większe uprawnienia niż komisja śledcza, może zakazać na 10 lat pełnienia funkcji publicznej związanej z dysponowaniem publicznymi pieniędzmi. Jej członków powołuje Sejm, w praktyce będą to osoby bliskie partii rządzącej lub prezydentowi, bo cała opozycja zapowiedziała bojkot tej osobliwej instytucji. Ustawa nie opisuje w szczególności zasad odwołania się od decyzji komisji, co narusza prawo do sprawiedliwego procesu. Sama definicja „wpływów rosyjskich” jest sformułowana nieprecyzyjnie, a członkowie komisji zostali zwolnieni z odpowiedzialności za swoje postępowanie.

Rzuca się w oczy także pośpiech ustawodawcy – pierwszy raport komisji ma powstać 17 września, w środku kampanii wyborczej. Dla przypomnienia: komisja śledcza ds. afery Rywina pracowała ponad rok, a badała tylko jedną konkretną sprawę.

Wydaje się oczywiste, że komisja ds. wpływów rosyjskich to nic innego niż narzędzie do polowania na Tuska, któremu PiS zarzuca resz z Rosją oraz doprowadzenie wraz z Władimirem Putinem do katastrofy smoleńskiej.

Skąd teza, że PiS nie wyszedł na tym najlepiej? Znów kłania się wycucie czasu, a ściślej jego brak. Duda podpisał ustawę na kilka dni przed wielkim marszem organizowanym 4 czerwca przez Tuska w Warszawie, choć miał na to czas do połowy miesiąca. Deklaracja prezydenta zmobilizowała wyborców opozycji, a udział w demonstracji PO zapowiedzieli Hołownia i Kosiniak-Kamysz, którzy wcześniej na marsz się nie wybierali. Oburzenie opinii publicznej oraz protesty Komisji Europejskiej i USA sprawiły, że Duda już kilka dni po podpisie pod ustawą złożył projekt jej nowelizacji. Prezydent chce, by komisja nie mogła zakazywać pełnienia funkcji publicznej, proponuje też ścieżkę odwoławczą do sądów powszechnych oraz postuluje, by w komisji nie mogli zasiadać posłowie.

Wnet pojawiły się żarty, że Duda to pierwszy prezydent w historii Polski, który zawetował własny podpis. PiS nie ma jasnego stanowiska w sprawie prezydenckiej nowelizacji, ale i tak powstało wrażenie, że obóz władzy się gubi. I że sztuczkami prawnymi chce przesądzić o tym, kto po wyborach może zostać premierem.

...i marsz opozycji

PiS z kretesem przegrał także trzecią dużą batalię ostatnich tygodni, czyli wspomniany marsz Platformy. Ulicami Warszawy przeszła prawdopodobnie największa demonstracja w historii III RP (szacunki mówią o ponad pół miliona uczestników), a PiS zdawał się być do tego wydarzenia kompletnie nieprzygotowany. Nie było żadnej kreatywnej odpowiedzi, bo za taką trudno uznać kpiny, że do stolicy przyjechali turyści chcący zwiedzić zoo, oraz krytykę, że demonstrujących było mało, padały wulgarnie hasła, a marsz nie przedstawił programu. Nie pomógł też skandaliczny spot, w którym tuż przed marszem sztab PiS użył zdjęć z obozu zagłady w Auschwitz, łącząc je z marszem Tuska (nieudolne tłumaczenie brzmiało, że była to odpowiedź na tweet Tomasza Lisa, który – jak potem wyjaśniał, mając na myśli celę więzienną – napisał, że „znajdzie się komora dla Dudy i Kaczora”).

W sztabie PiS brakuje pomysłów, energii i kreatywności. Królujecie sztampa. Szwankuje praca w internecie, w którym ewidentnie dominuje teraz opozycja. Reakcje na działania Tuska są spóźnione i rachityczne. Ale przede wszystkim sztabowcom zagubił się gdzieś kompas, który wskazywał kierunek drogi. Nie bardzo dziś wiadomo, co konkretnie proponują rządzący, żeby rządzić dalej. Wiceprezes PiS Antoni Macierewicz wzywa na Twitterze do likwidacji Komisji Europejskiej, a premier – wyglądający na bardzo zmęczonego – dowcipkuje sobie, żeby politycy Platformy na ewentualne spotkanie ze związkowcami założyli grube waciaki, bo zostaną pobici kijami. Prezydent w orędziu do narodu ni stąd, ni zowąd ogłasza projekt ustawy, dotyczący polskiej prezydencji w Unii... za półtora roku. Ustawa ma mu zagwarantować wpływ na obsadę stanowisk w Unii, co wygląda jak zabezpieczenie się na wypadek zwycięstwa opozycji. Nie ma też żadnej odpowiedzi na rozpychanie się Konfederacji.

Bije również po oczach rozmijanie się kampanii PiS z nastrojami społecznymi. Rządzący mówią o Polsce doganiającej państwa Zachodu, przyszłym regionalnym mocarstwie, którego sukces powoduje zazdrość innych krajów. Wystarczy zajrzeć do badań CBOS (instytucji podległej rządowi), żeby przekonać się, że Polacy widzą ten obraz nieco inaczej. W majowym sondażu 58 proc. ankietowanych uważało, że sprawy w Polsce idą w złym kierunku, a tylko 27 proc. było przeciwnego zdania. Zaledwie 23 proc. respondentów sądzi, że sytuacja gospodarcza jest dobra (44 proc. ►

► ocenia ją jako złą). W ciągu ostatnich trzech lat o ok. 20 pkt proc. spadł odsetek badanych, którzy oceniają, że im i ich rodzinom żyje się dobrze.

A z pochodzącego z tego samego miesiąca sondażu CBOS o zaufaniu do polityków wynika, że piątkę postaci budzących największą nieufność tworzą: prezes NBP Adam Glapiński, wicepremier i minister aktywów Jacek Sasin, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, wicepremier Henryk Kowalczyk oraz prezes Jarosław Kaczyński. Same tuzy obozu władzy.

Rzeczywistość skrzeczy. PiS snuje opowieść o mocarstowości, a rosyjską rakiętę pod Bydgoszczą znajduje po paru miesiącach pani, która wybrała się do lasu na konną przejażdżkę. Minister obrony zwała winę na generałów, ci twierdzą, że o zdarzeniu poinformowali przełożonych, prezydent bierze w obronę wojskowych. Żadnych dymisji nie ma – ani Błaszczaka, ani generałów.

Inflacja jest wciąż wysoka, europejskich funduszy na Krajowy Plan Odbudowy nie ma, relacje z Unią są fatalne, a nasz największy sojusznik – USA – krytykuje lex Tusk. Nitki pisowskiego mitu tkane są nieudolnie i rwą się w konfrontacji z tym, co widzimy za oknem. O nerwowości w PiS świadczy fakt, że w środku długiego weekendu rząd przyjął projekt nowelizacji tegorocznego budżetu, zwiększając wydatki o ponad 20 mld zł (tuż przed wyborami dodatek po ok. 1 tys. zł dostaną wszyscy nauczyciele).

Skąd się biorą kłopoty

Diagnoza sytuacji nie jest specjalnie odkrywczą, podziela ją zresztą w nieoficjalnych rozmowach wielu polityków z obozu władzy. Być może ciekawsze jest pytanie, dlaczego tak się dzieje. Co sprawia, że ci wszyscy sprawdzeni w poprzednich bojach generałowie tak fatalnie dowodzą obecną kampanią?

Można domniemywać, że nakłada się tu wiele spraw. Po pierwsze – niepewność i nieuporządkowanie spraw wewnętrznych. Sztab PiS nie działa w próżni, stoi za nim cała partia, a nawet cały obóz polityczny. A tam nie dzieje się najlepiej.

Wszystkie sondaże wskazują, że klub będzie znacznie mniejszy w przyszłym Sejmie. Do startu szykuje się zaś wiele osób spoza parlamentu, w tym ministrowie (Adam Niedzielski, Anna Moskwa, Janusz Cieszyński), spora grupa wiceministrów, być może jacyś europosłowie, trochę młodych działaczy oraz ludzie prezydenta, a także Kukiz i jego współpracownicy. Robi się ciasno i nerwowo, a listy wyborcze są wciąż negotowe. Kilkudziesięciu obecnych posłów – może nawet ponad stu – może się lękać o własną reelekcję, co odróżnia obecną kampanię od tej z 2019 r. To sprawia, że atmosfera w PiS jest napięta, a rywale w walce o miejsca na listach zabiegają raczej o własny los, niż dbają o spójny kampanijny przekaz. A klimat w partii przekłada się na sprawność kampanii.

Dochodzi do tego – co podkreślają liczni rozmówcy POLITYKI z koalicji rządzącej – rywalizacja dwóch ośrodków mających ambicję decydować o kierunku kampanii. PiS powołał sztab, którym dowodzi europoseł Tomasz Poręba. Współpracują z nim szef partyjnych struktur Krzysztof Sobolewski, ekspert od badań Piotr Agatowski, rzecznik PiS Rafał Bochenek, wiceminister aktywów Andrzej Śliwka oraz duet specjalistów od wizerunku Anna Plakwicz i Piotr Matczuk. Nie ma w tym gronie ludzi Morawieckiego, którzy mają własne pomysły na kampanię. Jak się dowiadujemy, na tym tle doszło nawet do scysji na jednym z posiedzeń ścisłego kierownictwa PiS. Gdy premier skrytykował kampanię, ostro odpowiedział mu Kaczyński. – *Pierwszy raz na spotkaniu prezydium komitetu politycznego prezes zrugał Morawieckiego* – opowiada nasz rozmówca.

– *Przejaskrawiam, ale tylko trochę: sytuacja wygląda tak, że głównym zmartwieniem obu środowisk jest przechytrzenie tego drugiego, a nie walka z Tuskiem. W ten sposób daleko nie zajdziemy* – mówi polityk Suwerennej Polski.

W koalicji zaczynają się już pojawiać opinie, że Poręba nie był najlepszym wyborem na dowódcę kampanii. – *Ta funkcja wymaga pełnego zanurzenia w krajowej polityce. Tymczasem Tomek przez ostatnie lata mieszkał głównie w Belgii. Nie przychodził nawet na comiesięczne spotkania europosłów. Stracił czucie. Po drugie, kampania wymaga stuprocentowego zaangażowania, a on wciąż część czasu poświęca na pracę w Brukseli i Strasburgu* – opowiada jeden z europosłów PiS.

Osobnym zmartwieniem PiS są ziołbryści. W praktyce prowadzą kampanię równoległą, na każdym kroku podkreślając, że są gotowi do samodzielnego startu w wyborach. Otwarcie atakują Morawieckiego (nieprzypadkowo krytyczny wobec premiera wywiad z europosełem Patrykiem Jakim dla portalu interia.pl ukazał się w dniu konwencji programowej PiS), przedstawiają własne postulaty, wojują z nowym koalicjantem PiS – Kukizem. Niewykluczone, że to tylko taktyka negocjacyjna przed rozmowami o miejscach na listach wyborczych, ale kampanii PiS to na pewno nie ułatwia.

– *PiS chce nas potrzymać jak najdłużej w niepewności, żebyśmy do ostatniej chwili nie wiedzieli, jaką pulę miejsc dostaniemy. To niby zrozumią, ale kampania Zjednoczonej Prawicy wyglądałaby znacznie lepiej, gdybyśmy ją prowadzili wspólnie. Teraz nie ma żadnej koordynacji działań i komunikatów do wyborców* – mówi ważny polityk Suwerennej Polski.

PiS jeszcze nie przegrał

Wszystkie te problemy Kaczyńskiego nie znaczą rzecz jasna, że jest on skazany na październikową porażkę i oddanie władzy. Ogłaszanie końca PiS jest przedwczesne i niemądre; zlekceważenie przeciwnika byłoby grubym błędem opozycji. Każda partia ma lepsze i gorsze momenty w kampanii, każda błędy popełniała i będzie popełniać. Sztabowcy PiS mogą się jeszcze ogarnąć, a niewykluczone, że prezes postanowi przewrócić stół, wymienić część sztabu i ogłosić reset kampanii. Na przełomie czerwca i lipca ma się odbyć kolejna konwencja programowa.

Wielu rozmówców POLITYKI – zarówno z partii rządzącej, jak i opozycji – podkreśla też, że od maja i czerwca znacznie ważniejsze będą wrzesień i październik.

Kilka marnych kampanijnych tygodni nie jest w stanie zachwiać sondażami. Zdecydowana większość wyborców PiS nawet nie wie o tych wszystkich problemach, wieści o tarcich na zapleczu partii rządzącej do nich nie docierają, a nawet jeśli docierają, to są drugorzędne. Politycy obozu władzy mogą się też pocieszać, że opozycja ma własne problemy, bo dołek sondażowy zaliczają właśnie Trzecia Droga oraz Lewica. A polaryzacja wciąż działa mobilizująco na elektorat partii rządzącej (kilka sondaży po marszu 4 czerwca pokazało minimalny wzrost PiS).

Ta szklanka jest jednak w połowie pusta. Podstawowym zadaniem sztabowców jest zwiększenie poparcia dla swojej partii, a w przypadku PiS tak się nie dzieje. Kaczyński opowiada wprawdzie o tajemniczych „wewnętrznych badaniach”, które jakoby wskazują, że notowania PiS są wyraźnie wyższe niż we wszystkich powszechnie dostępnych sondażach i przekraczają 40 proc., ale brzmi to raczej jak próba uspokojenia nastrojów na prawicy. Średnie poparcie dla PiS według strony ewybory.eu to 33,2 proc. i praktycznie nie drgnęło od marca (34 proc.). Ogłoszenie 800 plus, darmowych leków dla dzieci i seniorów oraz zapowiedź zniesienia opłat za autostrady nic nie zmieniło. Dawni wyborcy PiS – utraceni po wyborach prezydenckich – w większości nadal nie chcą głosować na partię Kaczyńskiego. Jej przewaga nad Koalicją Obywatelską spadła od marca z siedmiu do niecałych czterech punktów. A PiS wydaje się już mocno zmęczony; analogie z późną Platformą podsuwają już nawet politycy koalicji.

WOJCIECH SZACKI

Co będzie po południu?

Co dalej z Platformą, całą opozycją, po wielkim marszu 4 czerwca? Nasila się polaryzacja, słabną „mniejsi bracia”, ale po raz pierwszy od dawna widać jakiś ruch w politycznym interesie.

RAFAŁ KALUKIN



Zwołanie marszu na rocznicę wyborów 1989 r. było ze strony Donalda Tuska ryzykowną zagrywką. Szef Platformy Obywatelskiej postawił na szali wiele, zwłaszcza autorytet lidera najsilniejszej opozycyjnej formacji. Miał nadzieję ostatecznie potwierdzić przywództwo, uczynić je bezdyskusyjnym, opartym na realnym społecznym zapleczu – najlepiej liczoną setkami tysięcy bezpośrednio zmobilizowanych sympatyków. Rzadko się zdarza, aby wypalił plan maksimum, ale udało się.

Początkowo nic nie wskazywało, że okłaplej od tygodni PO uda się wyciągnąć na ulice więcej niż kilkadziesiąt tysięcy sympatyków. I chyba nawet sami platformersi niespecjalnie w to wierzyli. Stąd asekuracyjny plan imprezy, który tak mocno dał się później

we znaki uczestnikom marszu. Bo zamiast cisnąć się w ludzkim korku na Nowym Świecie można było przecież wygodnie przejść którąś z szerokich arterii stolicy, bez uszczerbku na efekcie wizualnym. Ale to było wiadomo dopiero „w samo południe” 4 czerwca, podczas gdy na etapie planowania organizatorzy ostrożnie założyli, że bezpieczniej będzie skondensować tłum na relatywnie niewielkich przestrzeniach, by uniknąć źle wyglądających w telewizji mielizn.

Nie mieli też zresztą specjalnie opracowanych planów na zagospodarowanie

spektakularnego sukcesu. Zresztą jeszcze przed wymarszem większość czołwki polityków PO zaklepała sobie na kolejny tydzień wolne. Nikt nie przewidział, że na ulicach Warszawy zrodzi się ogromny polityczny impet, który już będzie się prosił o natychmiastowe podtrzymanie. Ostatecznie postanowiono, że Tusk będzie kontynuował swoje podróże po kraju, tyle że w zmodyfikowanej formule: zamiast dotychczasowych spotkań z sympatykami w wynajętych salach ma zwoływać duże uliczne wiece. Jeszcze niedawno starano się unikać szerokich plenerów, gdyż obciążony 60-proc. deficytem zaufania były premier nie wszędzie i nie zawsze mógł liczyć na ciepłe przyjęcie. Ale sukces niedzielnego marszu – z ducha nie tyle platformerskiego, ile po prostu opozycyjnego – najwyraźniej pomógł się pozbyć takich obaw.

I nie ma już powodów, żeby ściągać samotnego szeryfa z kampanijnego afisza. Akcja sequela „W samo południe” toczyć się będzie dalej, tyle że w innej scenarii. W najlepszym razie któryś z towarzyszy głównego bohatera na chwilę zapłące się w kadrze, bo nie każdy temat Tusk jest w stanie sam unieść i wtedy ▶

► przydają się zmiennicy. Ale też nie należy się spodziewać, że w najbliższym czasie Platforma będzie wyszukiwać wysublimowane tematy. Teraz jest czas eksploatawania ogólnej politycznej emocji: ponownie rosnącego gniewu na rządy PiS w pakiecie z ładunkiem świeżo odzyskanej nadziei na zwycięstwo opozycji. Najważniejsze propozycje programowe chyba lepiej zostawić sobie na wrzesień, bo w sezonie wakacyjnym one i tak przechodzą obok. Jesienią będzie również czas na szerszą prezentację drużyny Tuska, a tymczasem powinien wystarczyć sam Tusk.

To ostateczny kres spekulacji o właściwego kandydata na premiera. Skończyły się roztrząsanie: Tusk czy Trzaskowski. Co prawda prezydent stolicy jak zawsze na koniec lata organizuje swój Campus, na który zaprosił liderów wszystkich demokratycznych formacji. Ale wygląda na to, że tegoroczna edycja imprezy straci swój dotychczasowy podtekst. Już nie będzie politycznym lewarem gospodarza w jego podskórnej rywalizacji z Tuskiem, gdyż została ona właśnie rozstrzygnięta.

Ostatecznie potwierdzona została dominacja Tuska nad całą opozycyjną stroną sceny. W wielkim pochodzie maszerowali liderzy mniejszych partii, a z pewnością też niejeden ich wyborca. Bez trudu odnajdując się w ożywionej wspólnocie sprzeciwu i nadziei, finalnie scementowanej „ślubowaniem Tuska” na pl. Zamkowym. I niech nas nie zwiodą pomarszowe wypowiedzi polityków Trzeciej Drogi, starających się bagatelizować polityczne znaczenie niedzielnej mobilizacji oraz zmian sondażowych, które były jej następstwem. Jak zwykle najbardziej zaszarżował Hołownia, który w facebookowej pogadance dla fanów podważał zaufanie do sondaży jako takich, uznając je za zinstytucjonalizowane narzędzie oszustwa i manipulacji. Pół biedy, jeśli to tylko patent słabnącego polityka na oddalenie trudnych pytań, skądinąd mało oryginalny. Gorzej, gdyby miało się okazać, że po serii niepowodzeń mało doświadczony i chyba też niezbyt odporny psychicznie Hołownia naprawdę utożsamiał się z prześladowaną przez system ofiarą. Politykom często zdarza się ulegać podobnym paranojom, najczęściej u kresu karier.

Los Trzeciej Drogi oczywiście nie jest przesądzony, chociaż zalicza ona właśnie ostry wiraz. W ubiegłym tygodniu jej poparcie skurczyło się do poziomu 9–10 proc., czyli już tylko nieco powyżej ośmioprocentowego progu dla koalicji. Mniej więcej o tyle samo urosły słupki Koalicji Obywatelskiej, co sugeruje

prosty kierunek odpływu. Na prognozę trendu jeszcze za wcześnie, ale w realnej polityce równie ważne są imprese. Niepewność w szeregach „trzecioprocentowych” będzie teraz rosła, co niewątpliwie przełoży się na indywidualne kalkulacje. Można się zatem spodziewać, że ludzie Tuska podejmą próbę przeprowadzenia jakiegoś głośnego transferu na swoje listy, żeby pognać konkurenta i wybić mu z głowy resztki ambicji.

Oficjalnie lider Platformy już od dawna jednak nie zabiega o wspólną listę i – jak słychać w kuluarach – po marszu to się nie zmieni. Poczul się wreszcie na tyle silny, aby przestać się zajmować Hołownią i Kosiniakiem-Kamyszem. Chociaż nie wyklucza, że ostatecznie sami do niego przyjdą, kiedy już ich projekt znajdzie się całkiem w rozsypce. I nie zostaną wtedy odrzuceni, chociaż nie powinni oczekiwać specjalnego traktowania.

Może pisowska komisja bardziej będzie Tusкови pomagać niż szkodzić. To idealna sceneria dla samotnego szeryfa, na którego nastają źli ludzie.



Tylko czy liderzy Polski 2050 i PSL już się z taką perspektywą oswoili? Trudno wskazać, jak mieliby teraz odwojować stracone pozycje. Nowych pomysłów nie widać albo się nie przebijają. Po cichu mówi się o rezygnacji z formuły koalicyjnej i zarejestrowaniu komitetu partyjnego PSL z nieformalnym wsadem Polski 2050, co pozwoliłoby obniżyć próg do 5 proc. Byłby to jednak fatalny scenariusz dla Hołowni, który jeszcze niedawno pozował na bez mała mesjasza polskiej polityki, zdolnego nadać jej nowy kierunek na przyszłość.

Nie wiadomo również, czy jego zwolennicy – ci najwierniejsi, którzy przy nim pozostali – zdążyli już się oswoić z coraz bardziej minimalistyczną perspektywą projektu. Wiadomo, że bywają kapryśni, nie tworzą ideowo spójnego zbioru, ich oczekiwania wobec polityki nie zawsze są oczywiste. Trudno więc przewidzieć, jak zareagują na spadające poparcie Trzeciej Drogi, ewentualny start z list PSL albo wchłonięcie przez Platformę. Ten ostatni scenariusz pewnie byłby też trudny dla wyborców Stronnictwa, szczególnie wiejskich.

Być może więc postępująca dominacja Tuska nie zbliża jego obozu do zwycięstwa, bo nadwyzkom mobilizacyjnym w głównym nurcie antypisowskiej opozycji będą towarzyszyć spadki w mniej oczywistych grupach wyborców, w jakiejś mierze wciąż uprzedzonych wobec Tuska, ale też po ludzku rozczarowanych fiaskiem projektu Hołowni. A trzeba pamiętać, że próbę przechwycenia tych głosów podejmie z pewnością Konfederacja. Może zatem jakimś politycznym pomysłem na przetrwanie Hołowni byłoby jego wyraźniejsze wejście w zwanie właśnie z Konfederacją, stanie się bardziej umiarkowaną wersją Mentzena, bez jego ideologicznego bagażu i schowanego chwilowo radykalnego zaplecza. Hołowni nie udało się przechwycić wyborców PiS, na co najpierw miał nadzieję, ale może łatwiej byłoby z elektoratem „Konfy”, gdzie bariera „immunologiczna” wydaje się słabsza.

Spokojniejsza na razie pozostaje Lewica, która wyraźnie zaznaczyła swoją obecność na marszu 4 czerwca. Jej liderom prymat Tuska akurat nie przeszkadza, bo lewicowy wyborca przeważnie pozostaje odporny na urok byłego premiera, ale też rozumie konieczność podążania w antypisowskim szyku.

Polaryzacja będzie się jednak zaostrzać, bo chce tego również druga strona polskiego konfliktu. W ostatnich dniach wszystko wskazywało na to, że PiS na posiedzeniu Sejmu wybierze członków spekomisji badającej „wpływy rosyjskie”. Równoległe TVP ma wyemitować polityczny serial o „resecie” w relacjach polsko-rosyjskich za rządów Tuska, autorstwa dyżurnego propagandzisty Michała Rachonia do spółki z prawniczym historykiem Sławomirem Cenckiewiczem. Dziwnym trafem od dawna przymierzonym do składu komisji.

Najwyraźniej obóz rządzący nie przejął się fatalnym przyjęciem lex Tusk w kraju i za granicą, późniejszymi wygibasami prezydenta Dudy, kiepską wiarygodnością komisji w sondażach. Wprawione w ruch błędne koło już nie daje się zatrzymać; jeżeli brudna zagrywka kampanijna PiS pomogła Tusкови zmobilizować zwolenników na marsz i umocniła jego pozycję, tym bardziej trzeba go będzie docisnąć. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydaje się dzisiaj wątpliwe, ażeby PiS było w stanie poruszyć rewelacjami o „rosyjskich wpływach” kogokolwiek poza swoimi ultrasami. Utrwalona już opinia o pisowskiej specgrupie do niszczenia Tuska siłą rzeczy będzie ograniczać zasięgi. Ale też można sobie wyobrazić, że podjęta

zostanie próba rozmycia stygmatu lex Tusk. Na początek można się przecież za-
jąć rosyjskimi afiliacjami Grzegorza Brau-
na, potem kontraktem gazowym podpisa-
nym przez Waldemara Pawlaka, dopiero
na koniec zostawiając sobie konsumpcję
dania głównego, czyli Tuska. Pytanie, czy
starczyłoby na to wszystko czas.

Kalkulacja obozu rządzącego wydaje się
jednak czytelna i otwarcie wyraził ją me-
dialny agitator Michał Karnowski: „Opo-
zycja ma dziś twarz Donalda Tuska i tylko
Donalda Tuska. (...) skutkiem marszu
będzie wyostrenie różnicy personalnej
i przede wszystkim programowej między
obozem opozycyjnym a rządzącym. (...)
Porównanie jakości rządów tamtych i tych
wyrasta na główną oś kampanii”. Komisja
w oparciu o lex Tusk to zatem w pierwszej
kolejności techniczne narzędzie podsycania
polaryzacji, służące skupieniu niemal
całej uwagi na Tusku. Na takim gruncie PiS
raz jeszcze podejmie próbę całościowego
skonfrontowania liberalnej Polski Tuska
z socjalną Kaczyńskiego.

W samej Platformie przeważają jed-
nak opinie, że pisowska komisja bardziej
będzie Tuskowi pomagać niż szkodzić.
To w końcu idealna sceneria dla samot-
nego szeryfa, na którego nastają źli lu-
dzie. Ich niecne intencje są powszechnie
znane, nie pomoże im również rosnąca
skłonność do mnożenia propagandowych
absurdów (co najlepiej było widać w re-
akcjach na marsz). Oficjalne stanowisko
PO jest jednoznaczne: komisja to ciało
niekonstytucyjne, jego członkowie zo-
staną w przyszłości pociągnięci do odpo-
wiedzialności, w żaden sposób nie wol-
no go legitymizować. Czyli nie zgłasza-
ć swoich przedstawicieli oraz konsekwent-
nie odmawiać wezwaniom na przesłu-
chania. Co oczywiście będzie się wią-
zać z poważnymi sankcjami – 20 tys. zł
grzywny za pierwsze niestawienie się,
50 tys. za drugie, potem już doprowadze-
nie przez prokuraturę – ale tym również
nie należy się przejmować. Represje prę-
dziej już bowiem pomogą mobilizować
zwolenników. Przy obecnym wzmożeniu
nietrudno sobie wyobrazić spontaniczne
inicjatywy obywatelskie, które organizują
zbiórki na pomoc finansową prześladowa-
nym przez komisję. O ewentualnej próbie
siłowego doprowadzenia Tuska nawet nie
warto wspominać, bo to gotowy przepis
na kolejną manifestację w Warszawie.

Pewność siebie Platformy na „ruskim”
boisku dodatkowo podkreśla pomysł po-
wołania analogicznej komisji przez Senat.
Tyle że opartej na istniejącym już prawie,
a więc legalnej. Chociaż z równie czytel-
nym politycznym zadaniem przyjrzenia

się lobbystycznym zabiegiem Mateusza
Morawieckiego z czasów kierowania ban-
kiem, o czym Tuskwowi zdarza się ostatnio
coraz częściej napomykać. Zapewne nie
należy się spodziewać oszałamiających
ustaleń, ale też nie o to chodzi. Celem bę-
dzie podtrzymywanie medialnego szu-
mu wokół konfrontacji dwóch czołowych
graczy, co jeszcze bardziej zmarginalizu-
je pozostałe siły. Trzecia Droga i Lewica
nie mają zresztą pola manewru. Muszą
dołączyć do bojkotu niekonstytucyjnej
speckomisji, chociaż zdają sobie sprawę,
że polityczne profity czerpać z tego będzie
jedynie Donald Tusk.

Mimo wszystko szefa PO czeka trudny
okres. Nie wiadomo, co konkretnie wyko-
pali w archiwach pisowskie poszukiwacze
skarbów i w jaki sposób tę wiedzę przed-
stawią. O ile absurdalna historia z łapówką
Michała Tuska w reklamówce z Biedronki
mogła kiedyś śmieszyć opinię publiczną,

Choć na scenie
zrobiło się więcej miejsca
dla obu głównych
aktorów, to nie znaczy,
że zanikł popyt
na „tego trzeciego”.



o tyle głównym zainteresowanym z pew-
nością do śmiechu już nie było. A po-
dobnych rewelacji może teraz wypłynąć
więcej, podszytych licznymi niedopowie-
dzeniami, oszczerczymi domysłami. Moż-
na powątpiewać w skuteczność brudnej
rozgrywki w obecnej kampanii, niemniej
PiS pozostaje jej niedościgłym mistrzem
i potrafi bić tak, żeby bolało. Stąd pewnie
nerwowość Tuska, któremu nawet w pół-
oficjalnych relacjach zdarzają się alergicz-
ne reakcje na spekulacje dotyczące rzeko-
mo obciążających go „kwitów”.

**Nasza polityka zatoczyła więc wiel-
kie koło i wracamy do punktu wyjścia.**
Kolejny raz czeka nas wielkie starcie Pol-
ski Kaczyńskiego z Polską Tuska. Po 2015 r.
na tak uporządkowanej scenie PiS utrzy-
mywało strategiczną przewagę, toteż rzą-
dzący nieustannie zabiegali – i jak widać
czynią to nadal – o podtrzymanie polary-
zacji. Po drugiej stronie mieliśmy z kolei
do czynienia ze strukturalnym dylematem
dotyczącym pozycji Platformy; jednocze-
śnie zbyt słabej, żeby pokonać PiS w spo-
laryzowanym starciu i zbyt silnej, żeby

wyrośli obok niej nowe inicjatywy zdol-
ne podejść obóz Kaczyńskiego od mniej
dla niego wygodnej strony. I przez kilka
lat był to opis trafny, chociaż prowadził
do jałowych konkluzji. Chociaż już kam-
pania prezydencka Rafała Trzaskowskie-
go udowodniła, że również pod zużytym
szyldem z uśmiechniętą Polską mimo
wszystko można w starciu jeden na jeden
pobić się o zwycięstwo. Trzeba tylko wy-
rwać się ze stanu alienacji, opuścić poli-
tyczne spektrum autyzmu, podpiąć się
pod społeczny nastrój.

Z tej perspektywy powrót Tuska z jego
obciążeniami mógł wydawać się regres-
sem, ale niewykluczone, że najwybitniej-
szemu politykowi obozu III RP po okre-
sie prób i błędów nareszcie udało się
odnaleźć właściwy kod komunikacyjny
z ogółem Polaków. Bo w spolaryzowanym
starciu chodzi przecież o to, żeby najpierw
podzielić Polskę pół na pół, a następnie
dowieść, że to nasza połówka jest Pol-
ską prawdziwą, w której żyją zwyczajni
ludzie, z ich zwyczajnymi problemami.
Słowem kluczem pozostaje od początku
„normalność”, tyle że co jakiś czas zmie-
nia się pojęcie normy. Kiedyś definiował
je Tusk, przeciwstawiając eksperymento-
wi ustrojowemu IV RP. Potem Kaczyński
z jego projektem państwa rozdającego
pieniądze, zamkniętego w oficjalnie pro-
klamowanej swojskości, wsobnego. Tylko
że patologie już dawno przekroczyły masę
krytyczną, domniemana normalność pi-
sowskiego ładu stawała się coraz bardziej
nienormalna – już nie tylko w porządku
ustrojowym, ale też moralnym, material-
nym, być może nawet egzystencjalnym.
To właśnie od dawna próbuje pokazać
Tusk, chociaż jego słowa nigdy dotąd nie
wybrzmiały tak dobitnie i przekonują-
co jak na placu Zamkowym w niedzielę
4 czerwca.

Co dla szeroko pojętego obozu demo-
kratycznego powinno być dzisiaj źródłem
 optymizmu. Na razie dość ostrożnego,
bo na dekretowanie przełomu mimo
wszystko trochę za wcześnie, a i sam układ
decydującej rozgrywki też nie jest przesąd-
dzony. Po wystawieniu dekoracji zrobiło
się na scenie jeszcze więcej miejsca dla
obu głównych aktorów, ale to nie zna-
czy, że zanikł popyt na „tego trzeciego”.
Z polaryzacją zawsze bowiem było tak,
że im bardziej się wzmagala, tym silniejszy
wyzwalała odrzut. I tak jest również tym
razem, co widać w rosnących słupkach
Konfederacji. Do tej pory chodziło przede
wszystkim o zajęcie jak najkorzystniej-
szych miejsc startowych, sama kampania
ciągle jeszcze przed nami.

RAFAŁ KALUKIN

Przebodźcowani

Młodzi wchodzący w dorosłość budzą skrajne emocje: są roszczeniowi, siedzą tylko w telefonach, nie chce im się pracować. A może raczej: brakuje im autorytetów, boją się popełnić błąd i przytłacza ich odpowiedzialność za kraj i planetę?

MARTA MAZUŚ

Ostatnio okazało się, że młodzi się radykalizują. Jak pokazał raport „Polityczny portret młodych Polaków”, przygotowany przez Centrum Badań Marketingowych Indicator i Fundację Konrada Adenauera, 19,2 proc. najmłodszych wyborców, czyli tych w wieku 18–29 lat, chce w najbliższych wyborach głosować na Konfederację, a 93 proc. tych, którzy w 2019 r. głosowali na PiS, chce to zrobić ponownie. Do tego niemal 60 proc. sprzeciwia się liberalizacji dostępu do aborcji, ponad 62 proc. nie chce wprowadzenia związków partnerskich, 89 proc. nie chce legalizacji marihuany.

Po ukazaniu się tych wyników w social mediach zawrzało. Jedni nie dowierza- li i krytykowali badaczy: „Niemożliwe! A na Strajku Kobiet to kto protestował?”, „Skąd takie wyniki? Nikt z moich znajomych nie ma takich poglądów”. Inni skupili się na krytykowaniu badanych: „Rośnie nam mądra młodzież, nie ma co”, „Ciekawe, ilu z nich rozumie słowo liberalizacja?”, „Pokolenie debili”.

Dorota Peretiatkowicz i Katarzyna Krzywicka-Zdunek, socjolożki z ponad 25-letnim stażem, współzałożycielki firmy IRCenter oraz instagramowego kanału socjolozki.pl, specjalizujące się w badaniach na styku marketingu i nauk społecznych, tę internetową inbę (w slangu – afera, kłótnia) obserwowały z ciekawością, ale i zażenowaniem.

– Dla nas te wyniki nie są żadnym zaskoczeniem. Badaniami dotyczącymi młodych zajmujemy się od 15 lat. Już w 2015 r. widać było skręt w prawo i to coraz bardziej się pogłębia. Zasadniczy problem tkwi jednak gdzieś indziej. Mówienie o młodych ludziach w Polsce to albo skupianie się na tym, co ich nakręca, głównie w kontekście nowych technologii, albo krytyka i narzekanie w stylu rozczarowanych rodziców – my wam tyle daliśmy, macie tyle możliwości, no i co wy robicie? – mówią.

ILUSTRACJA MARTA FREJ

– *A gdyby tak, dla odmiany* – proponują – *spróbować tych młodych lepiej poznać i zrozumieć, z czego ich zachowania i poglądy wynikają?*

W tym właśnie celu powstał ich ostatni raport „Młodzi Dorosli 2022”. Młodzi Dorosli to ok. 9 mln osób między 16. a 35. rokiem życia, przebadanych ilościowo i reprezentatywnie na próbie 2 tys. osób, przepytanych indywidualnie (50 wywiadów) oraz focusowo (6 grup), w różnych kohortach wiekowych. Jak mówią socjolożki, przedział 18–30 lat, jakim tradycyjnie określa się pokolenie Z, poszerzyły świadomie – wyszły bowiem z założenia, że dorosłość to coś, co buduje się w czasie. I w tym właśnie czasie życiem Młodych, których podzieliły na sześć – patrz: ramka – charakterystycznych segmentów (dlatego zachowujemy nadaną w badaniu tej grupie nazwę Młodzi Dorosli), rządzi całe spektrum dobrych i złych doświadczeń, nazywanych w badaniu toksynami i endorfinami.

Zagubienie w presji

Wszystko zaczyna się już po podstawówce. Najpierw te lata basenów i tańców, angielskiego po szkole, piłki nożnej w weekend, a równocześnie obowiązkowo korepetycje z matematyki. Bez tego może się przecież nie udać dostać do dobrego liceum. Jesteś młody, zdolny, przyszłość i świat stoją przed tobą otworem. Aż w końcu pada sakramentalne pytanie: – No to jaka decyzja, co dalej?

– *Niezborne komunikaty ze strony starszego pokolenia to podstawa jednej z toksyn, która pojawia się już na samym początku dorosłego życia, czyli toksyny presji. Rodzice zainwestowali w dzieci, ale z czasem oczekują zwrotu inwestycji. Komunikat „rób, co chcesz” nie znaczy więc nic innego niż „rób to, co ja chcę”. Młodzi to odczuwają jako przymus, że muszą koniecznie mieć plan na życie – tłumaczą Katarzyna Krzywicka-Zdunek i Dorota Peretiatkowicz.*

Tymczasem 80 proc. przebadanych przez nie Młodych Dorosłych deklaruje, że nie ma na razie pomysłu na życie, a 86 proc. odczuwa brak pewności siebie. Jeden z badanych ujmuje to tak: „Generalnie presja jest nałożona ze wszystkich stron, bo dostajemy informacje nawet z social mediów, że ktoś zarabia tyle, a tamten tyle, a ten coś wynalazł nowego w wieku 20 lat i porównujemy się do tych ludzi, i myślimy sobie: „Ojej, a ja mam 19 lat i mieszkam z mamą, więc nic nie osiągnę, a on już jest w moim wieku milionerem”.

61 proc. Młodych Dorosłych twierdzi, że otacza ich nadmiar możliwości do wyboru, a jednocześnie 81 proc. czuje lęk,

że podejmie złą decyzję. Dla połowy Młodych pewne jest tylko jedno – chcą pracować lżej niż swoi rodzice.

– *To tak jak z lodami w lodziarni – tłumaczają socjolożki. – Kiedyś do wyboru było kilka smaków i tyle. A teraz jest także kilkanaście posypek, polew itd. To wzmacnia w Młodych myślenie: „Wybrałem, ale tamto mogłoby być lepsze. Czy mam być zadowolony, czy jednak się cofnąć i wybrać inaczej?”. To paradoks wyboru związany z kolejną z toksyn – toksyną zagubienia.*

I być może to wszystko mogłoby być prostsze, gdyby istniał jakiś autorytet, który podpowie, czego warto się trzymać. Ale Młodzi Dorosli, na pytanie o autorytet, najczęściej odpowiadają, że nie mają żadnego. Dla zaledwie połowy autorytetem są rodzice, z kolei jedna czwarta twierdzi, że rodzice zupełnie ich nie rozumieją. 84 proc. Młodych uważa, że Polska potrzebuje silnego przywódcy. – *Nie chodzi tu jednak o przywódcę autorytarnego – wyjaśniają badaczki. – Ale o kogoś, kto jasno wskaże jakiś kierunek.*

W końcu udaje się skończyć szkołę albo nawet studia. Młody patrzy wstecz. Edukacja? „Nie do końca rozumiem sens uczenia się rzeczy, których później nie wykorzystujemy w codziennym życiu”. Patrzy w przód. Stabilizacja zawodowa, mieszkaniowa i finansowa to jedne z najważniejszych celów Młodych na najbliższe lata ich życia. Jednocześnie jednak mają oni dużo obaw, czy cele te zostaną spełnione. Rosnące ceny i inflacja utrudniają planowanie wydatków, oszczędności i inwestycji (np. rozkręcenie własnego biznesu). 24 proc. deklaruje, że ich sytuacja życiowa pogarsza się z roku na rok, a 85 proc. twierdzi, że stresuje ich lęk o pieniądze. 80 proc. badanych obawia się, że nie uda im się znaleźć dobrej i stabilnej pracy, a 86 proc. boi się jej utraty. Polityka? „Myślę, że w moim pokoleniu ludzie dużo gadają, że jest źle, ale nie ma jakichś chęci i działań, żeby faktycznie coś zrobić”. 21 proc. badanych deklaruje, że nie wybiera się na najbliższe wybory.

– *Chociaż wmówiliśmy Młodym, że mogą wszystko, to oni przecież widzą, że wszelkie protesty, w które do tej pory się zaangażowali, czy te związane ze Strajkiem Kobiet, czy ze Strajkiem Klimatycznym, spełzły na niczym. Oni naprawdę wierzyli, że uda im się coś zmienić, a nic z tego nie wyszło – mówią autorki badań. – Podobnie zresztą wyglądają ich odczucia związane z polityką rozdawnictwa obecnego rządu. 75 proc. badanych ocenia ją krytycznie. Wzmaga w nich poczucie, że przedsiębiorczość i pracowitość tak naprawdę się nie opłacają.*

Do tego dochodzi jeszcze poczucie, że otacza ich wszechobecna kreacja i fałsz (głównie za sprawą social mediów, ale również w polityce oraz Kościele katolickim). Także przekonanie, że obecnie w każdej sprawie trzeba być przeciwko komuś, do tego obawa przed katastrofą klimatyczną, którą przejmują się tylko pojedynczy ludzie, a nie np. globalne koncerty – i już wyłania się pełny obraz kolejnych toksyn, które zatruwają obecnie Młodych Dorosłych. Są to bezsilność i brak perspektyw, fałsz i dezinformacja, podziały i wrogość oraz widmo katastrof.

Siedem endorfin to za mało

Czy w takim razie jest tak, że nic ich już zupełnie nie cieszy? Niezupełnie. Młodzi Dorosli chcą korzystać z życia, doświadczać, podróżować, poznawać nowe rzeczy. Bardziej jednak niż poprzednie pokolenia dbają o zdrowie, również psychiczne – mają wyższą świadomość zagrożenia chorobami cywilizacyjnymi. Poza tym są przekonani, że dzięki uprawianiu sportu mogą się dowartościować, a zadbany wygląd jest dla nich jednym z atutów przetargowych przydających się np. w karierze. Młodzi nie chcą sztywnej rutyny, w której każdy dzień wygląda tak samo. Ważny jest dla nich rozwój oraz przyjemności dnia codziennego, a częstym ich dostarczycielem jest monitor. Co ważne, aż 65 proc. chce, aby ich praca była spokojna i nie wywoływała stresu, a niemal połowa bezpieczeństwo, luz i brak stresu utożsamia z domem i najbliższą rodziną.

– *To, co wśród siedmiu wyróżnionych przez nas endorfin jest nowe i czego nie było jeszcze 10 lat temu w naszych badaniach, to o wiele większa potrzeba wyciszenia. Widoczne jest ich przebudźcowanie – starsi się dziwią, że nic im się nie chce, a oni po prostu chcą odpocząć – tłumaczą socjolożki. Podkreślają jednak przy tym ważną rzecz – w obecnej rzeczywistości w życiu Młodych Dorosłych między toksynami i endorfinami brakuje równowagi. Np. toksyna bezsilności nie może być zrównoważona endorfiną luzu i przyjemności, czyli piwką, wyjazdem ze znajomymi czy serialem, bo to wystarcza na zbyt krótko i jest zbyt płytkie.*

– *Prędzej czy później te endorfiny odpowiadające w większym stopniu na współczesne problemy się pojawiają, ale na razie jest rozdźwięk. I tu właśnie tkwi przyczyna chorób psychicznych, lęków i depresji, o których tak wiele teraz się mówi – tłumaczą Dorota Peretiatkowicz i Katarzyna Krzywicka-Zdunek. Na razie więc pozostaje Młodym zwrócić się ►*

Podzielone pokolenie

Typy postaw osób w wieku 16–35 lat według autorek raportu „Młodzi Dorosli 2022”

Wypędzani z raju (10 proc.) – nie muszą martwić się o pieniądze, bo mają je od rodziców i w razie wszelkich problemów do rodziców wracają. Mają czas i energię na działalność społeczną, charytatywną, protesty czy wieloletnie kształcenie, dlatego że mają zabezpieczenie finansowe. Chcą gromadzić jak najwięcej doświadczeń, znajomości. Ważna jest dla nich równowaga między życiem zawodowym a prywatnym. Najczęściej płacą kartą.

Norm Holderzy (11 proc.) – wyznacznikiem w ich życiu są wartości katolickie, a wspólnotą odniesienia jest Kościół. 69 proc. z nich uważa, że zdanie Kościoła powinno być przez państwo brane pod uwagę w bieżącej polityce. Słabo radzą sobie z różnorodnością, nie są więc zwolennikami UE. Mają swoje radości życia, przyjemności, nie mają depresyjnych stanów związanych z przyszłością, ponieważ są religijni. Swoją sytuację finansową określają jako kiepską. Najczęściej pracują na pełnym etacie. Najrzadziej ze wszystkich segmentów korzystają z social mediów i wszelkich abonamentów.

Kanapowi Buntownicy (11 proc.) – to dość typowa grupa antysystemowa. Tworzą ją głównie mężczyźni, ze średnim lub technicznym wykształceniem, którzy są pełni żalu do siebie i do ludzi wokół, ale nie mają siły, aby coś zmienić. Są krytyczni wobec tego, co dzieje się w Polsce, ale z drugiej strony najczęściej deklarują, że nie pójdą na wybory. Nie lubią zmian, już w tak młodym wieku są bardzo mało elastyczni, ciężko nimi zarządzać. Niechętni do podejmowania ryzyka, np. wyjazdu do pracy za granicę. Swoją sytuację finansową widzą najgorzej ze wszystkich segmentów. Najczęściej mieszkają z dziadkami lub z rodzicami. Boją się płatności cyfrowych i kart kredytowych, najrzadziej kupują online.

Wierni Ojczyźnie (16 proc.) – wyborcy PiS. W większości mieszkańcy średniej wielkości miast i z niższym wykształceniem. Rodzina, podobnie jak ojczyzna, to twierdza, której bronią. Dorosłość to dla nich własne gospodarstwo domowe, a w nim rządzą zasady, które sami ustalają i nikt nie ma prawa się wtrącać np. w to, jak wychowują dzieci. To grupa, która lubi konfrontacje poglądów. Bardziej niż reszta interesują się polityką. Wakacje spędzają w Polsce, a jeżeli za granicą, to raczej w enklawie z innymi Polakami. Mają najwięcej dzieci i są w formalnych związkach małżeńskich. Najczęściej kupują polskie marki i produkty.

Dizajnerzy Życia (25 proc.) – to w większości mężczyźni ze średnich i dużych miast, z wyższym wykształceniem. Najczęściej pracują na pełnym etacie i najczęściej są singlami. Ważny jest dla nich rozwój. Chcą najpierw zapewnić sobie dobry byt, pozycję, sukcesy, a dopiero potem myślą o założeniu rodziny. Najbardziej ze wszystkich grup są krytyczni wobec rozdawnictwa pieniędzy przez rząd. Uważają, że wszystko w życiu zależy od pracowitości i determinacji, i nie chcą, żeby państwo im w tym przeszkadzało. Najczęściej ze wszystkich segmentów mają oszczędności.

Tradycyjni Europejczycy (27 proc.) – to w większości kobiety mieszkające na wsi. Osoby, które dorastały w świadomości, że Polska jest członkiem UE, doceniają europejskie prawo, a zwłaszcza europejskie dotacje. Są tradycyjni, prorodzinni, ale jednocześnie tolerancyjni i otwarci na inność. Nie lubią kłótni ani konfrontacji poglądów, chcą czuć z innymi wspólnotę i mieć poczucie bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo daje im życie rodzinne. „Dobre życie to takie, w którym wspieramy innych” – to ich myśl przewodnia. Lubią tworzyć mikrowspólnoty lokalne. Najczęściej odkładają na czarną godzinę i przyszłą rodzinę. Najczęściej ze wszystkich segmentów płacą gotówką.

życiu – komentują badaczki. I dodają: – *I to są również endorfiny, do których w dużym stopniu odwołuje się Konfederacja. Czy to nie jej lider pół żartem, pół serio postulował, że każdemu pracującemu Polakowi powinny przysługiwać dom, grill, trawa, dwa samochody i wakacje?*

Dobrze skrojony garnitur

Jak to więc jest z tą polityką i Młodymi? Najlepiej niech sami powiedzą, co sądzą na ten temat: „Wszystko się trochę miętoszi, mamy dwie duże partie od 15 lat i obie nie mają nic ciekawego do zaoferowania”. „Oni wydają pieniądze, zadłużają kraj, rozdają pieniądze, żeby tylko nachapać się, mieć wyborców, a za dziesięć lat kto to spłaci? Ja!”. To cytaty z badania.

– *Duopol PiS-PO, tak żywy wśród starszych wyborców, dla Młodych jest obcy i niezrozumiały. Ani Kaczyński, ani Tusk nie są dla młodych liderami, którzy mogliby ich za sobą pociągnąć. Obaj są postrzegani raczej jako dziadarsi* – mówią badaczki.

Czy w takim razie tylko Konfederacja jest alternatywą? – *Jeżeli przyjrzymy się członkom Konfederacji, nie da się ukryć, że są to młodzi mężczyźni, bardzo pewni siebie, w dobrze skrojonych garniturach i z rysem biznesmenów. Są jak z serialu „Sukcesja”. Mówią o ekonomii i ich pewność siebie trafia do Młodych, bo jako nieliczni wskazują m.in., że Młodym też się należy. A wątki homofobiczne czy rasistowskie? Są przemycane jakby mimochodem – tłumaczą socjolożki. W badaniach widać, że Młodzi przywiązują dużą wagę do pozycji materialnej – bezpieczeństwo finansowe jest dla nich ważne, dlatego komunikaty Konfederacji, np. postulat obniżenia podatków, tak bardzo do nich trafiają. – No i Konfederacja pokazuje to, co wyszło nam w innym badaniu o mężczyznach: że facet powinien być zaradny, opiekować się rodziną i zarabiać pieniądze. Powinien mieć jasne, zdecydowane poglądy, nie wahać się. Na tym również opiera się przekaz i wizerunek Konfederacji.*

Dorota Peretiatkiewicz i Katarzyna Krzywicka-Zdunek, jeśli chodzi o partie polityczne, nie są optymistyczne. Jak wynika z ich dotychczasowych obserwacji rynku i sceny politycznej, jak dotąd jedynie PiS mówi rzeczy, które ściśle wiążą się z badaniami, śledzeniem trendów społecznych. To dzięki temu w 2015 i 2019 r. rozpalili dorosłych. Jak będzie teraz?

Dorota Peretiatkiewicz i Katarzyna Krzywicka-Zdunek: – *Na razie politycy nie rozumieją Młodych. A przecież żeby mieć elektorat, trzeba go najpierw zrozumieć.*

MARTA MAZUS

► w stronę bezpiecznych i sprawdzonych przystani – dla 92 proc. ważna jest miłość, dla 87 proc. istotny jest związek. 92 proc. z przebadanych Młodych Dorosłych uważa, że każdy dorosły człowiek powinien dążyć do założenia rodziny, przy czym rodzina nie dla wszystkich oznacza

koniecznie tradycyjny model – małżonek lub małżonka oraz dzieci. Może to być sam partner, może to być zwierzę.

– *Mam swój dom, stać mnie na jedzenie w lodówce, mam poczucie bezpieczeństwa i kogoś bliskiego – to jest to, co jest tak naprawdę ważne dla Młodych w codziennym*

Lekcje odrobione?

Rozmowa z **Jolantą Kwaśniewską** o tym, czy z PiS da się wygrać i jak to zrobić. A także o tym, że pojednanie jest bardzo ważne, ale rozliczenie jeszcze ważniejsze.

JULIUSZ CWIELUCH: – Czy to był marsz po władzę?

JOLANTA KWAŚNIEWSKA: – Szłam w marszu 4 czerwca i serce mi rośnie, że wraz ze mną maszerowali moi przyjaciele i ci wszyscy wspaniali ludzie. Ale za długo obserwowałam politykę, żeby powiedzieć: wygraliśmy.

A co może pani powiedzieć?

Wspaniale było znowu zobaczyć uśmiechnięte twarze Polaków. Ludzi, którzy czasem wiele godzin spędzili w autobusach, żeby przyjechać i swoją obecnością zmanifestować sprzeciw wobec zła. Na triumfalizm jest za wcześnie. Wyborów w Polsce nie wygrywa się w Warszawie, tylko w Dąbrównie, koło którego teraz mieszkamy z mężem, a w którym ostatnio wygrywa PiS. To w Dąbrównie, w Sanoku, w Hrubieszowie wybrany zostanie zwycięzca najbliższych wyborów. I PiS ma to dobrze policzone, stąd zmiany w ordynacji, tak żeby jak najwięcej ludzi na wsiach poszło do wyborów. Dlatego pomysł Rafała Trzaskowskiego, żeby zrobić w Warszawie jeszcze jeden marsz, uważam za co najmniej nietrafiony.

Wszyscy chwalą, a pani narzeka.

Kiedy ludzie na marszu śpiewali hymn, to aż pociekły mi łzy. Tyle że tam przyjechali przekonani. Te głosy już są po stronie opozycji. Jeśli Tusk zdobył jakieś nowe głosy, to dzień po marszu, kiedy za sprawą mądrych doradczyń poszedł podziękować i uściskać dłonie tym, którzy przez całą noc sprząтали po maszerujących. Wielka polityka nie ma szans bez takich małych, ale kluczowych gestów. Gestów, na które ludzie są czuli. ►

Jolanta Kwaśniewska urodziła się w Gdańsku, gdzie w 1979 r. skończyła Wydział Prawa i Administracji. W tym samym roku poślubiła Aleksandra Kwaśniewskiego, przyszłego prezydenta Polski. Zanim została pierwszą damą, realizowała się w biznesie, m.in. w obrocie nieruchomościami. W 2003 r. w rankingu POLITYKI zdobyła najwięcej głosów jako potencjalny kandydat na prezydenta Polski. Ostatecznie nie dała się skusić wielkiej polityce.



► A Polacy szczególnie. Jeśli jakieś słowo w tej kampanii będzie kluczowe, to godność. Polacy są bardzo czuli na punkcie własnej godności. Uwierzyli, że PiS im tę godność przywróci, więc zaczęli na tę partię głosować. Tak się to zaczęło.

Ośmieszają nas na arenie międzynarodowej. Poniżają nauczycieli zarobkami, służba zdrowia jest w zapaści, co tysiące ludzi przypłaciło życiem w czasie pandemii. Na sprawiedliwość czeka się latami. Dzietność spada, liczba samobójstw wśród nastolatków rośnie. Co to ma wspólnego z godnością?

A skąd ma się o tym dowiedzieć przeciętny wyborca PiS? Przecież nie z tzw. państwowej telewizji.

Z internetu?

W Rosji, na Białorusi też mają internet. I co z tego wynika? Nawet w Polsce niewiele. Pana znajomi z Facebooka zobaczyli zdjęcia uśmiechniętych ludzi. A zwolennicy PiS na tej samej platformie zobaczyli nienawistne komentarze.

Czyli taka piękna katastrofa?

Niekoniecznie. W Dąbrównie, o którym wspominałam, wygrał kiedyś mój mąż Aleksander Kwaśniewski. Wie pan dlaczego?

Ładnie tańczył disco polo?

Nie tym tańcem wygrał wybory. Wygrał, bo był blisko ludzi, bo rozumiał, że mają swoją godność, i kiedy jego oponenti pluli na PRL, to trochę jakby pluli i na nich. Na nas wszystkich, którzy wychowaliśmy się w PRL. Ludzie traciли ekonomiczny grunt pod nogami, ale jak przyjeżdżał do nich, to czuli, że nie są w tym sami, że jest do kogo się wyzalić, że ktoś o nich pamięta. Teraz są inne wyzwania. Inne problemy. Ale żeby to wiedzieć, trzeba tam pojechać. Pokazać się tym ludziom. Uczciwie z nimi porozmawiać. Posłuchać, z czym się zmagają, zaproponować im rozwiązania ich problemów. Wyłuszczyć to, czego nie dowiedzą się z telewizji.

Przecież Tusk jeździ.

Od kilku miesięcy. A gdzie są inni, co oni robią? Jakie problemy zdiagnozowali? Na wsiach jest problem z internetem. Dla rodziców to kłopot, bo nawet lekcji nie ma jak z dzieckiem odrobić. A dzieci dla Polaków są oczkiem w głowie. PiS sobie z tym wyraźnie nie radzi. Spowiedzmy o tym, zaproponujmy rozwiązanie.

A może wystarczyć rzucić 800 plus i już nic nie trzeba robić?

PiS rzuci każde pieniądze, żeby wygrać, bo wiedzą, co ich czeka, jeśli przegrają. Tym bardziej że rzucają nie swoje. Przecież to nie z milionowego majątku premiera Morawieckiego wypłacane są te wszystkie kolejne programy. PiS rozdaje na lewo i prawo to, co Polacy latami wyrzeczeń i ciężkiej pracy wnosili do budżetu. 500 plus było impulsem, który przekonał Polaków do tego rządu. Dla wielu rodzin było to coś niezmiernie ważnego. Ludzie odbili się finansowo. Po raz pierwszy poczuli, że państwo nie tylko zabiera, ale i daje. Nietładnie mówić, że społeczeństwo zostało kupione. Powiedzmy, że poczuło się zobowiązane. Tylko że dziś to już musi być 800 plus, bo w międzyczasie tak bardzo zniszczono gospodarkę. Obawiam się, że od dłuższego czasu jest to już hojność na kredyt. I o tym też trzeba mówić. Ale tak, żeby ludzie rozumieli.

A może wyborców martwi to mniej niż panią?

Ja nie mam przekonania, że przeciętny wyborca ma jasny obraz sytuacji politycznej i ekonomicznej. PiS zdobył władzę i sprawuje ją do dziś, bo wielu ludzi już dawno odpuściło sobie politykę na zasadzie: co to zmieni, nie interesuje mnie to, nie biorę w tym udziału. Dla mnie szokująca była informacja, że największą grupą, która nie chce brać udziału w wyborach, są kobiety od 18. do 45.

roku życia. Ten rząd sprowadza kobiety do roli przedmiotu, a to właśnie dzięki bierności kobiet PiS może wygrać wybory.

Kto nie głosuje, glosuje na PiS?

Kiedy jeżdżę po Polsce i spotykam się z kobietami, tak właśnie im mówię. Pytam, czy o ich losie ma decydować Kaja Godek i Jarosław Kaczyński, czy jednak one same? Kiedy zaczyna się rozmowa, to okazuje się, że ludzi jednak można pociągnąć. W tych wyborach nie zwyciężymy memami. Nie wygramy ich mobilizacją zmobilizowanych. Czytelników POLITYKI nie muszę przekonywać, że PiS to wielkie zagrożenie dla Polski.

To po co o tym rozmawiamy?

Rozmawiamy, bo pana czytelnicy nie żyją w próżni. Mają sąsiadów, znajomych, kolegów i koleżanki z pracy. I to jest ta wielka praca, żeby tych ludzi przekonać i pchnąć do wyborów. Praca, którą wszyscy musimy wykonać. Trzeba przekonać tych, którzy do wyborów nie chodzą. Tych, którzy nie czują równie mocno, że konsekwencje wygranej PiS mogą być straszne również dla nich. Wiele osób w Polsce nie interesuje się polityką. Ale kiedy polityka zainteresuje się nimi, może już być za późno. Ludzie są zapracowani, często zbyt zmęczeni, żeby się angażować w coś więcej niż własne sprawy. Dopiero kiedy sami zderzają się z państwem PiS, widzą, jaki to potwór. Ale wtedy jest już za późno, bo albo okazuje się, że mają raka, a rządowe programy, owszem, działają, ale tylko od godz. 19.30 do 20 w „Wiadomościach”. Albo okazuje się, że nie mogą sprzedać własnego zboża.

Przy tym podziale społecznym, o który skutecznie zadbał Kaczyński, jakikolwiek dialog jest jeszcze możliwy?

Mój mąż dwukrotnie był wybierany na prezydenta. Ale czasem mówimy, że kampanie wyborcze mieliśmy trzy. Ta trzecia to była walka o pozytywny wynik referendum akcesyjnego do Unii Europejskiej. Przecież to nie była przesądzona sprawa. Właściwie ważyła się do ostatniego dnia. Udało się dzięki ogromnemu wysiłkowi. Pamiętam, że jeździliśmy

wtedy po najmniejszych wsiach i miasteczkach, gdzie ten strach ludzi przed nieznanym był największy. Tłumaczyliśmy korzyści, łagodiliśmy obawy. Ludzie potrzebują takiego wsparcia, rozmowy. Trzeba jechać w Polskę.

Trzeba znaleźć w małych ojczyznach liderów dialogu, jak ja ich roboczo nazywam. I trzeba ich wspierać, ile się da. Ich zadaniem jest tłumaczenie, jak trzeba działać, żeby zwyciężyć.

Kobiety wyszły na ulice i nic się nie wydarzyło.

Można być pierwszą damą, która ładnie się ubiera i ładnie się uśmiecha. Można też być pierwszą damą aktywną i zaangażowaną – co robiłam i co dało mi wgląd w mechanizmy wielkiej polityki. O wielkie cele trzeba czasem walczyć długo i ciężko. Jeśli raz się nie uda, to nie wolno się poddawać. Trzeba się zastanowić, co nie wyszło, i spróbować drugi raz, trzeci. Wie pan, ja nigdy nie przeklinałam. Mam w sobie wewnętrzny opór przed takim językiem, ale rozumiem kobiety, które skandowały na ulicach to brzydkie hasło na w.

Chciała pani powiedzieć „wypier...a”?

Nie chciałam. Ale dziś muszę powiedzieć, że jest we mnie wkurw. I proszę tego nie kropkować, bo to szczerza i silna emocja. I nie wyobrażam sobie, żeby jakaś kobieta nie poszła głosić. Ja jestem kobietą życiowo spełnioną. Zdobyłam wykształcenie, sprawdziłam się w biznesie. Byłam chyba nie najgorszą pierwszą damą. Od 27 lat prowadzę fundację, która pomogła dziesiątkom tysięcy ludzi. A najważniejsze, że mam kochającą i wspierającą mnie rodzinę. A mimo to jest we mnie ogromna

Ten rząd sprowadza kobiety do roli przedmiotu, a to właśnie dzięki bierności kobiet PiS może wygrać wybory.



frustracja, że Kaczyński niszczy mój kraj, mój dorobek. W 2005 r. wydawało się, że tego wszystkiego nie da się już zepsuć. Udało się. I to na perłowo.

Ze się udało, to widzę. Ale nie do końca rozumiem dlaczego?

Ta władza opiera się na kłamstwie i jądzie, który sączą ludziom każdego dnia. Po prawie ośmiu latach ludzie są przesiąknięci tą nienawiścią. Stąd te głębokie społeczne podziały. To ciągłe szczytowanie jednych na drugich. Za komuny Polacy nie byli tak podzieleni jak dziś.

To zabawne, że akurat pani to mówi.

Bardzo łatwo upraszcza się historię. Łatwo powiedzieć: Jolanta Kwaśniewska, córka pułkownika z ludowego Wojska Polskiego. Tyle że ja wychowałam się na takim samym blokowisku jak większość Polaków. Mieszkałam na Osiedlu Stoczniovym w Gdańsku Wrzeszczu. Nosilałam te same nieładne sukienki co inne koleżanki z klasy. A jak miałam coś ładniejszego, to tylko dzięki własnej kreatywności, bo sobie coś doszyłam na maszynie. Wie pan, ja nawet nie pamiętam, kiedy w życiu pierwszy raz zjadłam banana.

Pułkownika nie dawali za ładne oczy.

Mój ojciec przeszedł cały szlak bojowy z II Armią Wojska Polskiego. Przeszedł, bo sfalszował świadectwo urodzenia w wieku 16 lat. Wcześniej cudem ocalał z pogromu rodzinnej wsi Borszczówka, którego dokonali Ukraińcy. Ponad 300 osób spalonych żywcem w stodole. Również cudem wywinął się ze zsyłki na Syberię, która nie ominęła części jego rodziny. A mój mąż i ja, zresztą za namową mojego ojca, od lat angażujemy się w dialog i pojednanie z Ukraińcami. Nie wiem, czy wybory i życiorysy tych, którzy tak łatwo szafują wyrokami, były równie dramatyczne jak w mojej rodzinie. Życie pisze skomplikowane scenariusze.

Na przykład taki, że pani mąż zostaje prezydentem, a władzę przekazuje pani byłemu wykładowcy.

Bardzo się zdziwiłam, kiedy się dowiedziałam, że pan Lech Kaczyński wszedł do polityki. Wykładał prawo pracy, które, co to dużo mówić, jest raczej nudnym przedmiotem. Sam również nie był jakimś charyzmatycznym wykładowcą. Z pewnością nie należał do tych profesorów, na których zajęcia szło się z wypiekami na twarzy. Ale miałam u niego piątkę, co zresztą zapamiętał. Pamiętał nawet, że miałam piękne, długie włosy i był zawiedziony, że je obcięłam.

Ładne wspomnienia. Jakoś nie pasują do obrazu człowieka, którego ja kojarzę. Spiętego, zagubionego, który nie za dobrze czuł się w roli, która na niego spadła.

Jedno nie wyklucza drugiego. Ja nawet miałam wrażenie, że on był po prostu nieszczęśliwy w tym świecie knozań i brudnych zagrywek, w którym tak świetnie odnajdywał się jego brat. Mam wrażenie, że w rodzinie Kaczyńskich obowiązywał układ dr Jekyll, Mr Hyde. Lech Kaczyński był tym spokojnym, umiarkowanym naukowcem z zasadami. Kim jest jego brat, widzi cała Polska.

I to tak można w jednej rodzinie?

Trzymając się nietypowych scenariuszy, to powiem panu jeszcze, że jednymi z moich wychowanków byli bracia Kurscy. Można powiedzieć, że odniosłam sukces połowiczny. Jarosław to wspaniały człowiek. Jacek z kolei nie przyznaje się, że był w 29. Drużynie Zuchowej w Gdańsku Wrzeszczu, której byłam druhną drużynową.

Ja bym raczej mówił o porażce niż połowicznym sukcesie.

Doświadczaliśmy z mężem różnych zachowań i ataków. Pamiętam, że kiedy mieliśmy pierwsze wejście do Pałacu

Prezydenckiego, czekał na nas tylko kucharz pan Jacek, kelner pan Adaś i pani Tereska, która była pomocą kuchenną. Pięknie powitali nas chlebem, który pan Jacek sam dla nas upiekł. Pusty był nie tylko Pałac, ale i prezydenckie biurko. Nie zostały żadne dokumenty. Nie odbyło się żadne oficjalne przekazanie obowiązków.

Wałęsa ograł wszystkich, bo całe archiwum przekazał na Jasną Górę. Jakakolwiek próba wydobycia stamtąd dokumentów musiałaby skończyć się gigantycznym skandalem.

Nauczeni tym złym doświadczeniem nasze przekazanie obowiązków zorganizowaliśmy inaczej. Lech i Maria Kaczyńscy zostali zaproszeni przez nas na uroczystą kolację. W miłej atmosferze siedzieliśmy do północy. Lech Kaczyński świetnie pamiętał moją grupę. Wypytywał, co się z kim stało. Z panią Marią również przyjemnie się nam konwersowało. To była bardzo ciepła i miła kobieta. Panowie umówili się na kolejne, już robocze spotkanie, w trakcie którego przekazane zostały wszystkie sprawy i dokumenty, włącznie z tajnymi, bo tak wygląda cywilizowany świat. Tak to powinno działać. Wydawało się nam, że Polska jest na dobrych torach i nic nie może jej zagrozić.

Długo się wam tak wydawało?

Krótko. Ja osobiście już w 2007 r. miałam przedsmak tego, czym są rządy PiS. W końcówce rządów Jarosława Kaczyńskiego do siedziby Fundacji Porozumienie bez Barier wpadło kilku panów z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. O godz. 6 nad ranem, w kominiarkach, jak do najgorszych bandytów. Zabrali nam pełną dokumentację. Po czym po paru tygodniach ją zwrócono z takim wyrazem twarzy: ups!, głupio wyszło. Chociaż tyle, że tym razem przyszli już bez kominiarek.

Później była jeszcze prowokacja z zakupem willi, która rzekomo była wasza, ale kupiona na słupa.

Przez 14 lat, z małą przerwą, wymiar sprawiedliwości zajmował się naszą sprawą.

Służby wydały na to miliony. Tymczasem minister Kamiński i pan Wąsik, którzy za tym wszystkim stali, zostali uniewinnieni przez Andrzeja Dudę niejako z góry. Co to za państwo, które tak traktuje swoich obywateli?

Państwo PiS.

No właśnie PiS, a przecież Polska należy do nas wszystkich. Dlatego musimy odzyskać Polskę, musimy uratować nasz kraj. To nie będą zwykłe wybory, to będą wybory o wszystko.

Pani mąż mawia, że na drugie imię powinien mieć Kompromis. Czy kompromis z PiS jest możliwy?

Bez kompromisu nie da się funkcjonować nie tylko w rodzinie, ale i w państwie. Tyle że z rządem PiS nie można i nie wolno zawierać kompromisów. PiS w niczym nie odpuści, bo przekroczył już wszelkie linie ostrzegawcze demokratycznego państwa. I idzie, jak w dwudziestoleciu międzywojennym, w kierunku marginalizacji opozycji metodami pozademokratycznymi. Dziś odmawiamy komuś prawa do sprawowania urzędu, a w drugiej kolejności zamykamy w więzieniu. My już to znamy. Wiemy, jak się to kończy – Berezą. To nie czyni państwa silniejszym. Niszczy je i wystawia na łup, jak to miało miejsce w 1939 r. Czy jedna kłeska nam nie wystarczy? Ile lekcji musimy jeszcze odrobić, żeby zrozumieć, że to demokracje są dziś najsilniejszymi państwami na świecie, a nie autokratyczne potwory.

To co teraz?

Do roboty.

Z rządem PiS nie wolno zawierać kompromisów. PiS przekroczył już wszelkie linie ostrzegawcze demokratycznego państwa.

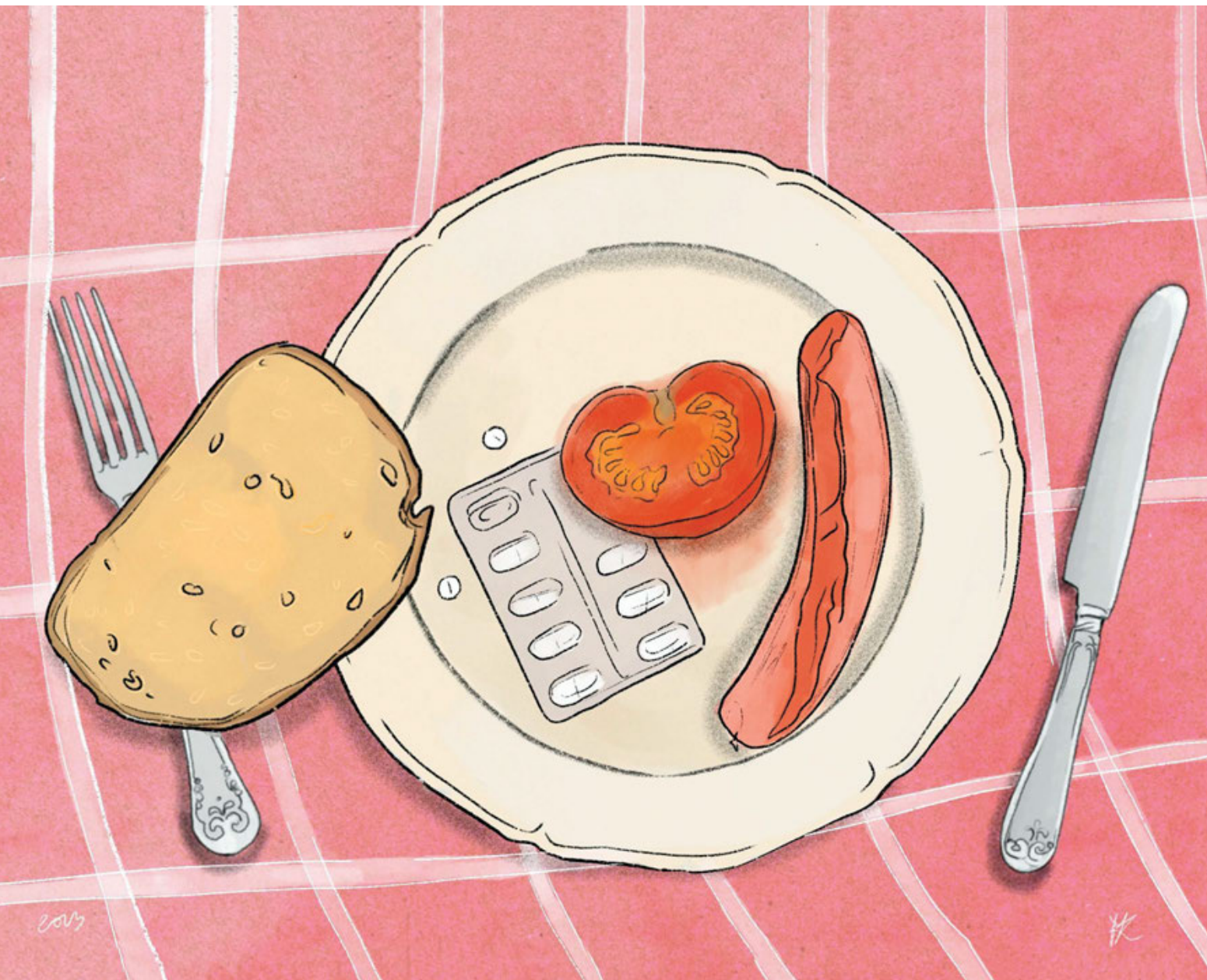


ROZMAWIAŁ JULIUSZ CŹWIELUCH

Leczenie jedzeniem

To może być najbardziej wstydliva i zatajana prawda o naszej ochronie zdrowia – wielu pacjentów umiera z powodu niedożywienia. Kto ponosi za to odpowiedzialność? Dlaczego głodzenie chorych uchodzi na sucho?

PAWEŁ WALEWSKI



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

Robert Brzozowski trafił na chirurgię z rakiem jelita grubego. Guz był duży, ale operacja przebiegła pomyślnie. Kłopoty zaczęły się później, kiedy personel przyniósł mu posiłek. – *Pierwszego dnia po operacji na śniadanie dostałem parówkę, chleb i pomidora – wylicza. – Myślałem, że to decyzja dietetyka, więc je zjadłem. Na obiad była zupa kalafiorowa i to dość pikantna. Nie miałem wyboru, a byłem głodny i niestety doznałem potwornych torsji, co przełożyło się na pęknięcie szwów.*

Zamiast jednej operacji musiał mieć dwie, zamiast jednej narkozy – podwójną. Dopiero po wszystkich otrzymał informacje, że w pierwszej dobie powinien otrzymać delikatne pokarmy płynne. Ale nie było to winą dietetyka, który akurat pracował w kuchni zamiast przy łóżkach chorych, lecz dyżurujących pielęgniarek, które nie zwróciły uwagi, jakie posiłki rozkłada salowa.

– *Od lat zabiegam, aby zatrudnić dietetyków na oddziałach, bo to są właściwi specjaliści do pilnowania interesów żywieniowych pacjentów* – mówi prof. Przemysław Matras, prezes Polskiego Towarzystwa Żywienia Klinicznego.

Pacjenci: nie wiemy, to nie jemy

Sztandarowa ustawa Ministerstwa Zdrowia o Krajowej Sieci Onkologicznej mogłaby zawierać zapis zobowiązujący dyrektorów do wprowadzenia takiego rozwiązania. Jeśli gdzieś je wdrażać, to najlepiej właśnie na onkologii, bo problem niedożywienia dotyka od 30 do 85 proc. chorych na raka i aż co piąta osoba z nowotworem umiera nie bezpośrednio z powodu tej choroby, lecz niedożywienia lub błędów dietetycznych!

– *Nasz pomysł na razie przepadł, tak jak prośba o wprowadzenie do kilkunastoosobowej Krajowej Rady Onkologicznej choć jednego eksperta znającego się na tych aspektach leczenia* – ubolewa prof. Matras. W Szpitalu Klinicznym nr 4 w Lublinie, gdzie jest zastępcą dyrektora ds. medycznych, zdołał jednak wyswobodzić dietetyków z roli intendentów i skierował ich do przeprowadzania u chorych oceny stanu odżywienia oraz modyfikowania diety. – *Według norm europejskich jeden taki specjalista powinien mieć pod opieką 50 pacjentów, ale w naszym szpitalu jest 800 łóżek, więc na tyłu nas nie stać. Mamy trzynastu, zatem skupiliśmy się na oddziałach onkologii, endokrynologii i medycyny metabolicznej.*

Ocena stanu odżywienia powinna być wykonana u każdego pacjenta po przyjęciu do szpitala – ale kto na izbach przyjęć ma na to czas? Niewielu lekarzy zwraca sobie tym głowę, bo trzeba przeprowadzić analizę składu ciała, zważyć, sprawdzić niektóre parametry biochemiczne i wypełnić dodatkową dokumentację żywieniową. – *Mam w gabinecie wagę, ale korzystam z niej tylko wtedy, gdy chory nie wie, ile waży* – mówi dyżurujący na SOR rezydent.

Problem w tym, że nie o liczbę kilogramów tu chodzi, lecz o ich ubytek, a pacjenci zazwyczaj nie potrafią udzielić odpowiedzi na pytanie, czy i ile schudli, gdyż na co dzień się nie ważą. Pani Wiesława, która tak jak Robert doświadczyła komplikacji po operacji raka, nawet była zadowolona, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy przed zabiegiem schudła 5 kg. – *Ale nie zdawałam sobie sprawy, że przy mojej normalnej wadze 60 kg taki 8-proc. zjazd oznacza ryzyko powikłań. Lekarz mnie nie uprzedził. Zespołenie się rozeszło, musiałam być dwukrotnie zszywana.*

Odkąd wszyscy w Polsce zaczęli zwracać uwagę na następstwa epidemii otyłości, problem niedożywienia stał się kompletnie niezauważalny. Statystyki są jednak równie zatrważające, choć

mało kto je zna, skoro nawet personelowi medycznemu nie udaje się dostrzec niedożywionych. A jest ich w szpitalach od 15 do nawet 60 proc. w zależności od oddziału, ponieważ to często choroby i związany z nimi stres oraz brak apetytu napędzają utratę kilogramów.

Oprócz wspomnianej już grupy chorych na raka, dotkniętych najcięższymi skutkami niedożywienia, w podobnie złym położeniu są pacjenci po udarach – według polskich danych pół roku po takim incydencie aż dwie trzecie z nich dostarcza organizmowi mniej niż 90 proc. potrzebnej energii, a co czwarty spożywa za mało białka. Są tak słabi i wyniszczeni, że nie nadają się do rehabilitacji.

Lekarze: leczymy, nie żywimy

Nie chodzi więc tylko o to, że szpitalne kuchnie skazują na głódówki ani że nikt nie zwraca uwagi, czym się karmi pacjentów. NIK w 2008 r. skontrolowała szpitalne jadłospisy pod kątem norm zalecanych przez Instytut Żywności i Żywienia – wyniki tej inspekcji były druzgocące. Ale przecież również dzisiaj racje pokarmowe w większości placówek są skandalicznie niskie, a pod względem wartości odżywczej nie spełniają zaleceń. Co naprawi lekarz, popsuje szpitalna kuchnia. W trakcie hospitalizacji u 70 proc. niedożywionych chorych sytuacja jeszcze się pogarsza.

– *Słyszę nieraz od pacjentów, co im mówią lekarze: dobrze panu głódówka zrobi! Dobrze to robi normalizacja diety, a nie tygodniowe głodzenie* – prostuje takie opinie prof. Matras. Epidemia niedożywienia w Polsce, na którą nikt nie zwraca uwagi, to nie klęska głodu taka jak w Afryce – lecz w tym cały problem. Poza osobami cierpiącymi na zaburzenia odżywiania, a więc z bulimią i anoreksją, a także krańcowo wyniszczonymi starszankami, jej ofiary nie rzucają się w oczy. Otyłość utożsamiana jest z dobrym odżywieniem, a tymczasem jedno z drugim wcale się nie musi pokrywać. Na pierwszy rzut oka ktoś wygląda jak pączek w maśle. – *Bo zwracamy uwagę na jego proporcje, ale trzeba brać pod uwagę skład ciała* – wyjaśnia tę różnicę dr Adrian Kowalik, chirurg ze Szpitala Rejonowego w Raciborzu, który pracuje w domowej poradni żywieniowej.

– *Dowiedziałem się od doktora, że mam syndrom chudego grubasa* – mówi pan Marian, 70-latek, który przy wzroście 175 cm waży 95 kg. A do tej pory tylko słyszał, że powinien stosować dietę MŻ, czyli jeść dużo mniejsze porcje. – *Po wykonaniu analizy składu ciała okazało się, że jestem otylszczone, ale pozbawiony mięśni, bo mój organizm na głodzie pozyskuje z nich białko. Noszę balast, nieużyteczną tkankę tłuszczową, a brakuje mi mięśniowej, która potrzeba jest do zużywania energii.*

To paradoks, ale im więcej takich przypadków, tym gorzej, bo problem narasta i jest nierozpoznawany. A potem wszyscy się dziwią: dlaczego u pacjenta, którego zakwalifikowano do operacji bez oceny stanu odżywienia, pękły szwy i trzeba powtórzyć zabieg, dlaczego tak trudno wybudzić go z narkozy, rana się nie goi, powstają odleżyny albo chemioterapia nie przynosi efektów i musi trwać dłużej?

W polskiej chirurgii onkologicznej wciąż obowiązuje zasada, by raka wycinać jak najszybciej, nie oglądając się na stan chorego. Rodziny wszelkimi sposobami starają się więc przyspieszyć termin operacji, ale rzadko ktoś próbuje je przekonać, by najpierw – jeśli pacjent z powodu nowotworu jest wychudzony – zapewnić mu odpowiednie leczenie żywieniowe. Mówiąc wprost – podtuczyć, choćby odżywkami. – *Wciąż niektórzy lekarze nie mają oporów, aby proponować ciężką operację ludziom* ▶

► *przewlekłe niedożywionym* – twierdzi prof. Matras. Tymczasem z uwagi na ryzyko powikłań lepiej odroczyć ją o 2–3 tygodnie. – *W tym czasie nowotwór istotnie nie urośnie, a gdy pacjent będzie w lepszym stanie, możemy mu znacznie więcej zaproponować.*

Dzieci zawiozły 76-letnią panią Ewę na SOR, kiedy od trzech tygodni nie mogła przestać kasłać i nie pomagały antybiotyki zlecone przez lekarzkę rodzinną. Sama im doradziła, by pojechali do szpitala, bo zapalenie płuc było już nie do opanowania w domu. – *Przyjęto mamę na internę w ciężkim stanie* – relacjonuje syn pacjentki. – *Przez dwa tygodnie nie było poprawy i przy każdych odwiedzinach odnosiłem do kuchni stojące przy niej posiłki. Nikogo nie interesowało, że nic nie jadła.*

W szpitalach można się natknąć na dwie skrajności. Albo przy łóżkach chorych wyrastają zapasy jedzenia pozostawione przez odwiedzających: mandarynki, które gniją, i jogurty, które „rozkwitają” poza lodówką. Albo nie przychodzi nikomu do głowy, że trzeba choremu podać coś jeść, skoro rozdawanych posiłków nie bierze do ust. Do wyboru jest kilka możliwości – od tzw. ONS, czyli *Oral Nutrition Supplements*, do żywienia dietami przemysłowymi drogą dożylną lub dojelitową. – *A niestety na niektórych oddziałach i w domach opieki społecznej wciąż dokarmia się chorych miksowanymi zupami. To medycyna sprzed półwiecza* – krytykuje takie podejście dr Adrian Kowalik.

Rodziny: karmimy po swojemu

Również pani Ewa dostawała miksowane posiłki. Dzieciom się wydawało, że krem z marchewki to samo zdrowie i mama nabierze po nim sił – w rzeczywistości taki domowy obiad ma bardzo małą kaloryczność i zawiera niewiele substancji odżywczych. – *Pokrywa 20, góra 30 proc. zapotrzebowania* – precyzuje prof. Matras. Pacjenci więc dalej chudną. A rodzina upiera się, że to zdrowsze niż rzekomo sztuczne odżywki. Dr Kowalik ma świeżo w pamięci 91-letnią pacjentkę ze Śląska Cieszyńskiego, leczoną w domu z powodu demencji, która od pięciu lat była karmiona wyłącznie w ten sposób. – *W innym domu żona pacjenta w ostrych słowach przekonywała mnie, że zblendowana zupa z nowalijek będzie na pewno lepsza niż to „moje mleko”, czyli dieta w butelce do walki z niedożywieniem, gdyż – jak uzasadniała – po nim dostawał biegunek.*

Kiedy kobieta zrozumiała, że wystarczy zmniejszyć tempo podawania takiego preparatu, by organizm go wolniej wchłaniał, komplikacje ustąpiły. Niestety większość rodzin nie ma dostępu do rzetelnych informacji na temat żywienia swoich bliskich, którzy wypisywani są ze szpitali. Dietetyków na oddziałach nie ma, by mogli udzielać wskazówek, w najlepszym razie można liczyć na skierowanie do domowej poradni żywieniowej. Ale ponieważ brakuje świadomości, że kontakt w tej sprawie jest tak samo ważny jak zapewnienie choremu innej rehabilitacji, rodziny karmią po swojemu.

Może lekarze rodzinni powinni poświęcać więcej uwagi na ocenę stanu odżywienia pacjentów? Zastanawiają się brakiem czasu. Mierzą ciśnienie, wypisują recepty, a rzadko pytają o apetyt i pogorszenie smaku. W mediach społecznościowych nie brakuje za to ogłoszeń „Dieta w chorobach nowotworowych”; ale wynikają z tego same kłopoty. Maria Brzegowy, dietetyk i specjalistka żywienia klinicznego z Krakowa: – *Konsultowałam pacjentkę po wyczerpującym leczeniu raka piersi. Przyszła tysi, chuda, z długą listą badań i wynikami wskazującymi na nietolerancję niemal wszystkich artykułów spożywczych. Ktoś ją oszukał, wykonując komputerowe pseudotesty, ale ona uwierzyła, że chcąc wyjść z raka, nie może się normalnie odżywiać.*

Nie pozwoliła skomponować sensownej diety i, co gorsza, już więcej do gabinetu nie wróciła.

W Polsce niewiele jest lekarzy, którzy nie tylko doceniają wagę żywienia, ale też potrafią właściwie zareagować, by zminimalizować komplikacje. Nawet w domach opieki społecznej, gdzie personel powinien być bardziej wyczulony na te problemy, leżącym seniorom podaje się strzykawką do ust przetarty pokarm, nie sprawdzając nawet, czy go połykają. Technicznych możliwości rozwiązania tego problemu jest w dzisiejszych czasach sporo, ale lekarze w większości stronią od zakładania sond albo gastrostomii, przez które można podawać posiłki wprost do żołądka. Nigdzie się tego nie uczyli – interniści, neurologi, onkolodzy nawet w trakcie kształcenia specjalizacyjnego nie mają na ten temat żadnych szkoleń.

System: radźcie sobie sami

Na razie tylko w czterech uczelniach medycznych – spośród 9 państwowych i 11 prywatnych – włączono naukę leczenia żywieniowego w harmonogram zajęć na wydziałach lekarskich. Dopiero od dwóch lat prowadzone są one na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, od ubiegłego roku na Śląsku, a w tym roku akademickim dołączył Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie oraz Uniwersytet Medyczny w Lublinie. Prof. Przemysław Matras: – *Moim celem jest wprowadzenie na wydziale lekarskim osobnego przedmiotu „żywienia kliniczne”. Na razie udało się zapewnić studentom pięć godzin wykładów podczas zajęć z chirurgii, neurologii i pediatrii.*

Co ciekawe, w Warszawie jako pierwsi, właśnie pediatrzy postanowili włączyć te zagadnienia do programu kształcenia studentów ostatniego roku medycyny. W ich specjalności żywienie dzieci zawsze było wysoko na liście priorytetów. – *Choć w praktyce pediatrycznej niedożywienie towarzyszące chorobom, zwłaszcza przewlekłym, to nadal istotny problem* – przyznaje dr hab. Andrea Horvath z Kliniki Pediatrii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

– *Większość lekarzy, zaczynając pracę, skupia się przede wszystkim na diagnostyce i podstawowym leczeniu, więc żywienie spada na drugi plan* – zauważa dr Horvath. – *Dlatego cieszymy się z tego dodatkowego dnia zajęć praktycznych, by móc uczyć nie tylko rozpoznawania niedożywienia, lecz również zakładania sondy do żołądka lub obsługi przezskórnej gastrostomii.*

Zdaniem prof. Matrasa, za wstydliwą dla całej ochrony zdrowia w Polsce sytuację, w której 80 proc. pacjentów nie otrzymuje zalecanego im leczenia żywieniowego, odpowiada właśnie to, że nikt nie traktuje go jako integralnej części terapii. – *Żywienie jako leczenie? To niestety nie u nas* – kiwa głową dr Kowalik, który odwiedzając swoich 80 podopiecznych w domach, ma wrażenie, jakby większość – przynajmniej na początku – uważała go za dostawcę suplementów. Cóż za paradoks, że jednocześnie bezwartościowe suplementy pokazywane w reklamach traktowane są na równi z lekami.

Na to coraz bardziej nakłada się bieda. Trudno wymagać, by stać było na odżywki kogoś, kto kupuje w dyskontach najtańsze produkty. Inflacja i zubożenie polskich rodzin sprawiają, że szuka się oszczędności w tym, co najtańsze, bo musi wystarczyć na leki, prąd i ogrzewanie. Chorzy przewlekłe chudną więc w domach, skala ich niedożywienia narasta w szpitalach, a gdy są z nich wypisywani i pojawiają się komplikacje lub zgon – nikomu nie przychodzi do głowy, że przyczynił się do tego przeoczony głód.

PAWEŁ WALEWSKI



Kafka z osą

Gdyby przypuszczał, że osa na talerzu może odebrać mu dobre imię i pracę, rozbić rodzinę i zamienić go w kłębek nerwów, bez słowa by ją połknął.

ZBIGNIEW BOREK

Osie powiadomił kelnerów. Przeprosili, odpuścili zapłatę, ale w zapisie monitoringu dopatrzyli się, że owada na talerz wrzucił sobie sam. Zdarzyło się to w turystycznym miasteczku Rovinj nad Adriatykiem. Nagranie opublikowali w sieci (ma 1 mln 73 tys. wyświetleń), w ślad za nimi serwis Rovinj News, a potem portale z Polski, tzw. poważne też. Tytuły krzyczały: „Haniebne zachowanie polskiej rodziny”, „Polak na wakacjach: Zobaczcie, co zrobił, żeby nie zapłacić rachunku”, „Polski turysta wrzucił na talerz robaki, żeby nie płacić rachunku”. Na forach Polacy kajali się za chama, złodzieja, oszusta, Chorwaci odwdzięczali się, że to tylko czarna owca. Ćwok, burak, dziad, łachudra, paździerz, wyrodny ojciec, zero intelektualne i moralne – internet żądał krwi: „Poznaje ktoś to bydle? Warto podać jego dane, niech ma nauczkę. Wymieńcie go z nazwiska i skąd pochodzi ten prostak. Niech rodzina, znajomi, pracodawca wiedzą, co to za skończony pajac”.

Polskie media wkrótce ujawniły, że to oficer Służby Więziennej z (tu nazwa miasta) w Lubuskiem. Błyskawicznie został zawieszony w obowiązkach, po czym wydalony po 22 latach nienagannej służby. Po niemal siedmiu latach procesów udowodnił swoją niewinność. – Państwo, któremu służyłem, z góry uznało, że jestem winny. Potraktowało mnie gorzej niż przestępców.

Ruch dłoni

Niczym Józef K. z „Procesu” Kafki od początku utrzymywał, że „nic złego nie popełnił”. Spędzali wakacje na Istrii, do Rovinj popłynęli statkiem na wycieczkę, w kawiarni zamówili lody

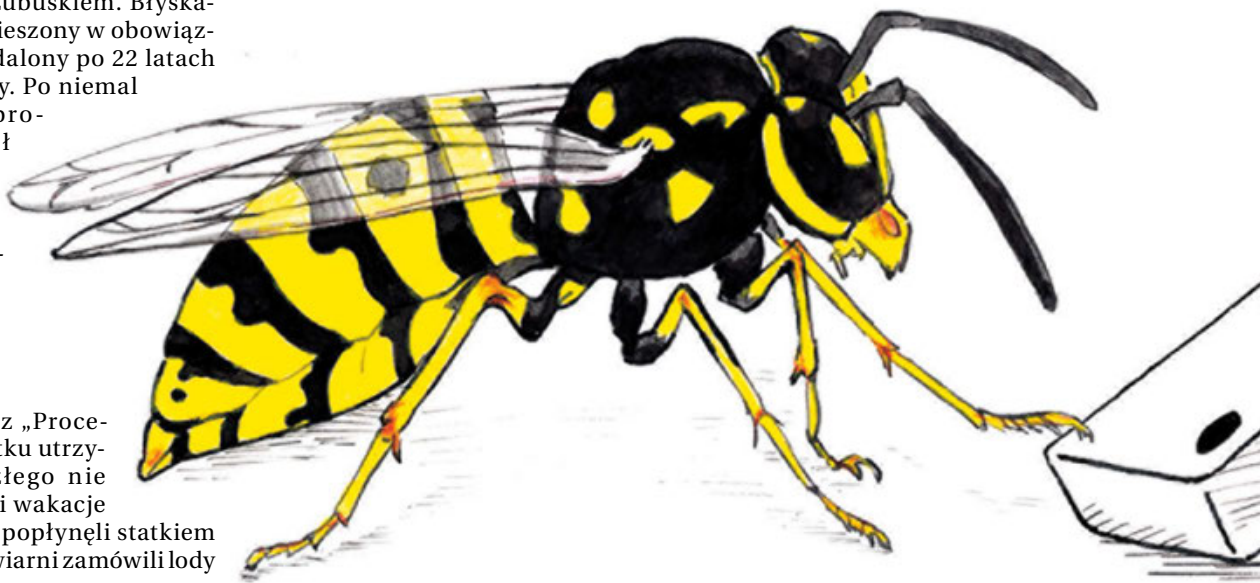
dla całej rodziny, dwojga dorosłych oraz jego czteroletniego syna i jej dziewięcioletniej córki. – *Na talerzu zobaczyłem osę, kelnerzy uznali reklamację, a my poszliśmy na spacer, to przecież żadna tragedia. Gdy wracaliśmy, osaczyło mnie trzech, krzykiem domagając się zapłaty za tego reklamowanego loda. Nie rozumiałem, o co chodzi, ale spieszyliśmy się na statek, zapłaciłem więc i pobiegliśmy do portu. Zdążyliśmy na styk: statek odpłynął dwie minuty po naszym wejściu na pokład. Według kelnerów jednak uciekliśmy, bo chcieli mi pokazać nagranie, jak wrzucam „robaki” do talerza.*

W 39. sekundzie widać ruch dłoni nad talerzem, nie da się jednak dostrzec ani czy coś wrzuca, ani tym bardziej co (suplement diety – wytłumaczy, gdy go wreszcie zapytają). Jako jedyną przyjęto wersję kelnerów. W kwestii rachunku także: oświadczyli, że darowali cały, a tak naprawdę za „ten jeden” lód, równowartość 19 zł. – *Robiłem umorusanym dzieciakom zdjęcia, na jednym widać opłacony rachunek za wszystkie desery, ale nikt nie chciał tych zdjęć oglądać.* Nikt nie zastanawiał się też, dlaczego

w drodze powrotnej przeszli koło tej samej kawiarni: skoro ją naciągnął, powinien przecież lokal ominąć szerokim łukiem (kilka lat później wychwyci to sąd). Nikt nie pytał, dlaczego na gest rzekomego wrzucenia robaków nie reaguje partnerka ani dziecko (drugie siedziało tyłem do kamery). Nie mają zapikselowanych twarzy, krewni i znajomi ich poznali. – *Pierwszy telefon dostaliśmy w drodze do Polski. Piliśmy kawę w wiedeńskiej kafejce, gdy dowiedziałem się, że przynoszę wstyd mundurowi.*

Osaczony

Całkiem jak u Kafki został osaczony przez władzę (choć nie sądowniczą): „W związku z doniesieniami medialnymi informującymi o tym, iż funkcjonariusz Służby Więziennej przebywający na urlopie dopuścił się niegodnego zachowania w jednej z kawiarni w Chorwacji, Ministerstwo Sprawiedliwości po dokonaniu wstępnej analizy sprawy poleciło dyrektorowi generalnemu Służby Więziennej zawieszenie funkcjonariusza pełniącego obecnie służbę w Zakładzie Karnym w [tu nazwa] ►



► do czasu wyjaśnienia sprawy” – obwieścił w mediach wiceminister Patryk Jaki, gdy byli już w Polsce, ale jeszcze na wczasach.

Zapachniało kafkowską grozą i absurdem: dwaj szefowie zakładu karnego, w którym oficer służył, przyjechali do ośrodka, gdzie wypoczywał z rodziną. Nie był tego świadom, bo go nie uprzedzili, bali się chyba, że ucieknie (na zwolnienie, nie za granicę). – *Byliśmy cały dzień nad morzem. Wysiadamy z samochodu na parkingu przed godz. 23, zmordowani słońcem, obławowani plażowymi tobołami, a tu wyskakuje mój dyrektor i zastępca z trzema kwitami do podpisu: o skróceniu urlopu o jeden dzień – był czwartek, a kończyłem w piątek, zawieszaniu w obowiązkach i wszczęciu postępowania dyscyplinarnego. Podpisywałem je na masce samochodu, dobrze, że mnie nie skuli.*

Ówczesny dyrektor Zakładu Karnego zezna później w sądzie, że można było wręczyć decyzję „po powrocie z urlopu, w godzinach pracy administracji”. Trwał jednak wyścig z czasem, trzeba było „zrobić tak, jak minister Jaki obiecał w mediach”. Sekwencję zdarzeń dyrektor opisał tak: „Najpierw była informacja w mediach, potem polecenie, potem przygotowana decyzja i jej wręczenie”.

Przypuszczenia i uchybienia

Co ciekawe, Jaki stwierdzi wkrótce, że nie ma żadnych dowodów winy oficera. Na jego biurko w Ministerstwie Sprawiedliwości trafiło odwołanie od orzeczenia dyrektora generalnego Służby Więziennej z grudnia 2016 r. Ten uznał, że „istnieje uzasadnione przypuszczenie naruszenia dobrego imienia służby oraz postępowania sprzecznego ze złożonym ślubowaniem polegającym na tym,

że przebywając w Chorwacji na urlopie wypoczynkowym, dopuścił się niegodnego zachowania polegającego na usiłowaniu wyłudzenia darmowego posiłku w restauracji poprzez podłożenie owada (...). Rozgłos medialny w negatywnym świetle przedstawiał nie tylko osobę obwinionego, ale również obywateli Polski przebywających na wakacjach, mieszkańców [tu nazwa miasta], funkcjonariuszy Zakładu Karnego, a także całą Służbę Więzienną jako formację” – napisał jej szef, dyscyplinarnie wydając oficera ze służby.

Jaki uchylił to orzeczenie, a uzasadnienie to gotowy akt oskarżenia wobec Służby Więziennej (i po części jego samego). Funkcjonariusza można ukarać za popełnienie przewinienia dyscyplinarnego, nie zaś za „uzasadnione przypuszczenie”, że je popełnił – zauważył wiceminister (uznał jednak, że to tylko „niefortunny z językowego punktu widzenia”). Dalej: „Faktycznie na podstawie nagrania nie można ustalić, co zostało umieszczone w posiłku – nie pozwala na to bowiem jakość materiału” (nie poradził sobie z tym nawet technik z laboratorium kryminalistycznego policji). Doszło do „uchybień w trakcie zbierania i oceny materiału dowodowego”. Przykład: biegły psycholog (na podstawie mowy ciała oficera na filmiku uznał, że mógł wrzucić owada do lodów) „nie został zapoznany z całością materiału mogącego mieć znaczenie dla interpretacji zachowania obwinionego”, na dodatek błędnie oznaczył „moment odkrycia przez obwinionego niepożądaną rzecz w posiłku”. Jak zauważył Jaki, nie zadano sobie trudu, żeby zweryfikować wersję obwinionego. W ten sposób „zbyt pochopnie i bez uzasadnienia” za jeden z dowodów jego winy przyjęto to,

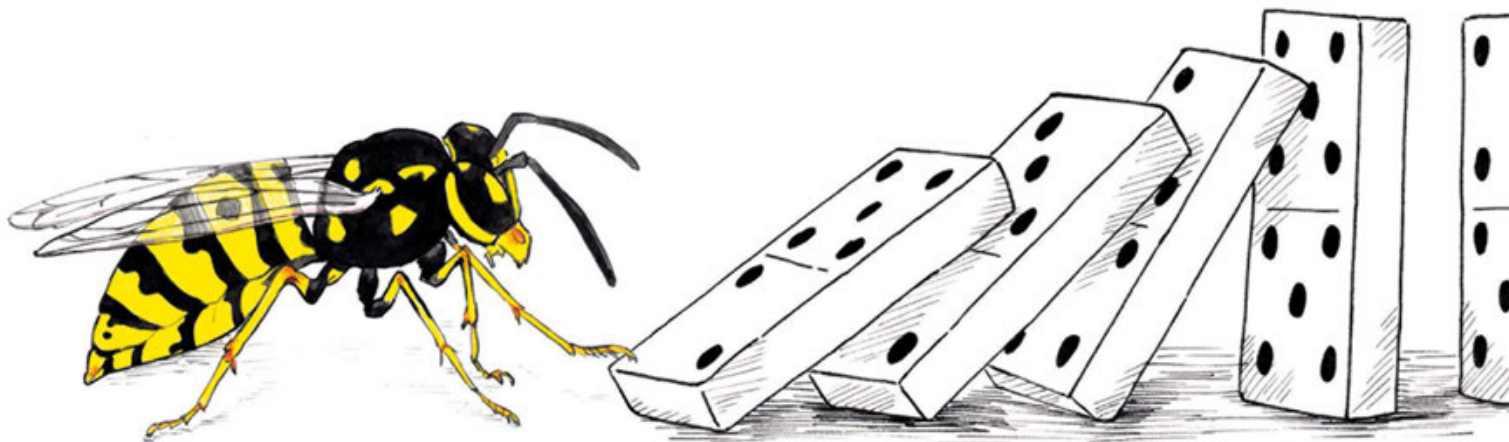
że ostatecznie zapłacił za loda (a zapłacił, przypomnijmy, bo spieszył się z rodziną na statek, który miał lada chwila odpląć).

Nie kijem, to pałą

Tym razem wiceminister nie poinformował mediów, zaś sprawę przekazał do ponownego rozpatrzenia. Skutek był taki, że... oficera zwolniono – jednak nie z powodów dyscyplinarnych. Zgodnie z zasadą „jak nie kijem go, to pałą” wykorzystano prawny trik: funkcjonariusza można zwolnić administracyjnie, gdy jest zawieszony dłużej niż rok. Przełożeni uznali na dodatek, że to jego wina, bo przedłużał postępowanie, składając wnioski dowodowe w swojej obronie. Kropkę nad i postawili, umarzając postępowanie dyscyplinarne. Uznali, że nie ma sensu go kontynuować, skoro nie jest już w służbie, a nie jest, bo go wyrzucili (sąd będzie innego zdania).

– *Służba mundurowa, która z definicji powinna respektować przepisy, opiera się na pomówieniach i stosuje proceduralne sztuczki, byle udowodnić, że „zawsze ma rację”. Kwestię tego, czy jej funkcjonariusz jest winny, traktuje jako tak dalece nieistotną, że nawet jej nie rozstrzyga. W istocie pozbawia go podstawowych praw – adwokat oficera.*

Atmosfera „Procesu” Kafki kojarzy się z sennym koszmarem, ale oficer całkiem na jawie słyszał na ulicy zaczepki byłych osadzonych: „E, mucha!”. Znajomi pokpiwali, co tam dzisiaj na talerzu, wielu się od niego odwróciło. Rozpoznawał go barman w pubie, mechanik w warsztacie. Bliscy partnerki mieli za złe, że zniszczył jej reputację, ona w pracy słyzała szeptu za plecami (w końcu musiała ją zmienić), rówieśnicy naśmiewali się z jej córki (sąd uzna, że była za mała, żeby się



ILUSTRACJA ADELA PODGÓRSKA

obronić). Związek się rozpadł, według obojga w wyniku „głównie tej sprawy”. Oficer nie wytrzymał ciśnienia: zaglądał do kieliszka, pomagał mu psycholog, psychiatra. – *Nadal nie potrafię o tym myśleć spokojnie. Nawet gdy teraz rozmawiamy, ręce mi się pocą, choć przecież sądy mnie oczyściły.*

W różnych instancjach krok po kroku dochodził faktów. Okazało się, że Służba Więzienna zakończyła postępowanie dowodowe, ale miesiąc zwlekała z decyzją dyscyplinarną, żeby upłynął rok zawieszenia, który pozwala na zwolnienie w trybie administracyjnym. Jak zauważył sąd, taka przesłanka „nie może zastępować ustaleń postępowania dyscyplinarnego”, bo podważałaby jego sens. Innymi słowy: każdą dyscyplinarną wystarczyloby przeciągnąć, żeby człowieka załatwić. Zamiast wykazać konkretne przewinienia, Służba Więzienna kierowała się „subiektywnym przekonaniem”, a „postępowanie zakończyło się bez wykazania jakiegokolwiek naruszenia dyscypliny służbowej” – stwierdził sąd, oczyszczając oficera z zarzutów dyscyplinarnych.

Zarzutów karnych nie miał ani w Chorwacji, ani w Polsce, bo o wyłudzeniu posiłku, jak to nazwano, nie powiadomili organów ścigania ani kelnerzy, ani dyrektor zakładu karnego (choć przepisy mu to nakazują). Ambasada Polska w Chorwacji, Komenda Główna Policji, Ministerstwo Sprawiedliwości, które też przewijały się w tej sprawie, nie wystąpiły nawet o przesłanie oryginału nagrania z kawiarni. Jej kierownik (spokrewniony z właścicielem) ma wykształcenie z zakresu dziennikarstwa i public relations, ale nie pomyślał o zastąpieniu wizerunków na filmiku, rodziny z Polski nie pytał też o zgodę na publikację.

Przyznał to przed sądem w chorwackiej Puli przesłuchiwany jako świadek w jednej ze spraw, które oficer wytoczył polskim mediom. One również nie miały zgody na ujawnienie wizerunku, a mimo to większość publikowała nagranie. Jako powód wskazywały interes społeczny, nie potrafiły jednak go przekonująco objaśnić ani wytłumaczyć, dlaczego nie zasłoniły twarzy (choćby partnerce i dziecku). Dziennikarze nie usiłowali samodzielnie przeanalizować filmiku, na którym „widać, że nic nie widać” (zrobiła to bodaj jedna gazeta i kilku internautów), nie próbowali pozyskać komentarza zainteresowanego, a jeden z portali informacyjnych tłumaczył się wręcz, że nie prowadzi „typowej działalności dziennikarskiej”. Sąd uznał, że to była gonitwa za tanią sensacją, nakazał przeprosiny oraz zapłatę 40 tys. zł oficerowi, 20 tys. zł byłej partnerce i 10 tys. zł jej dziecku (wyrok jest nieprawomocny, kolejne procesy o naruszenie dóbr osobistych i prawa do wizerunku trwają).

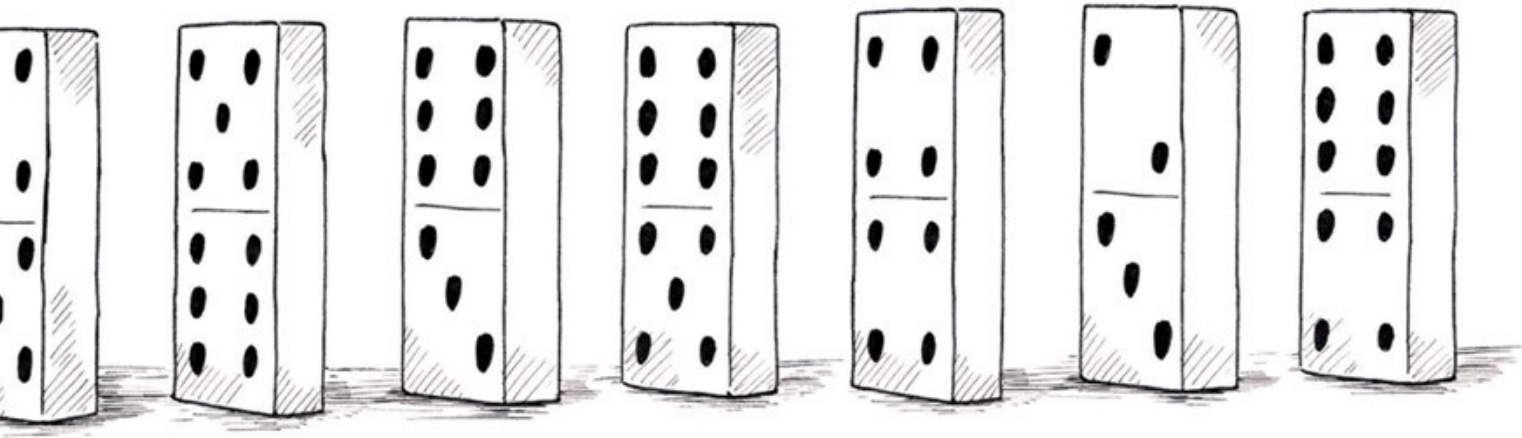
Sąd wytknął, że takie potraktowanie oficera przez media „może osłabić w oczach społeczeństwa autorytet aparatu państwowego”. Służba Więzienna jednak wytrwale sama osłabia swój autorytet. Nie chce rozmawiać o tej sprawie z reporterem, na pytania odpowiada mailowo (i zdawkowo). Utrzymuje, że wszelkie decyzje („w tym związane z naruszeniem dyscypliny służbowej, zawieszeniem w czynnościach służbowych, jak i zwolnienia ze służby”) były podejmowane „na podstawie obowiązujących w tym zakresie przepisów”. Przegrywa jednak kolejne procesy, które temu przeczą, także o wyrównanie zaległych zarobków, dodatków z okresu zawieszenia i odprawy, waloryzację

emerytury, zadośćuczynienie. „Okoliczności wszczęcia i prowadzenia, a w szczególności zakończenia postępowania dyscyplinarnego (...), a także zwolnienie (...) praktycznie eliminujące ze służby było na szkodę powoda i naruszało jego dobre imię, przyczyniło się do rozstroju jego zdrowia i stanowiło krzywdę, godziło w karierę zawodową” – czytamy w uzasadnieniu jednego z wyroków. Zasadzone kwoty idą w dziesiątki tysięcy złotych, ale na tym nie koniec: wkrótce do sądu wpłynie pozew na ok. 800 tys. zł za całość strat w wyniku afery z osą, w tym utracone zarobki i świadczenia, które obniżyły też emeryturę oficera.

Państwo stać

Formalnie jest funkcjonariuszem w stanie spoczynku. Ma 55 lat, bogate doświadczenie, certyfikat szkoleniowca z zakresu technik interwencji (prowadził szkolenia w kilku okręgach), czarny pas w judo i jujitsu. – *Posiada zestaw wybitnych umiejętności, które zdobył w czasie służby na koszt podatnika. Wartość takiego funkcjonariusza dla Skarbu Państwa jest ogromna* – komentuje jego adwokat. On sam trzy razy składał raport o ponowne przyjęcie do służby i trzy razy został odrzucony (oficjalnie: brak podstaw do powrotu), choć na murach jego dawnego Zakładu Karnego tuż pod drutem kolczastym od wielu miesięcy wisi rekrutacyjny billboard. – *Mają ponad 20 wakatów, obniżyli wymogi, przyjmują adeptów bez doświadczenia, ale nie mnie.* Jak mówi, chętnie zakończyłby już polubownie wszelkie spory, ale z każdą nawet drobną sprawą odsyłają go do sądu. I jeszcze powtarzają, żeby się nie martwił, bo państwo stać, to mu zapłaci.

ZBIGNIEW BOREK



Raj utracony



Izabela Dąbrowska – aktorka filmowa i teatralna. Widzowie polubili ją za brawurową kreację pani Basi, sekretarki prezesa w satyrycznym serialu „Ucho prezesa”. Ma w swoim dorobku ponad sto ról filmowych i telewizyjnych. Zagrała m.in. w „Bożej podszewce”, „Galeriankach”, „Kołysance”, „Wszystko będzie dobrze”, „Trzy minuty. 21:37”, „Idzie”, „Bogach”, „Powidokach”. Współpracuje z warszawskimi teatrami: Teatrem Dramatycznym, Och-Teatrem, Teatrem Kamienica, Teatrem 6. piętro.

Nie ma mojego Podlasia, idyllicznej krainy dzieciństwa. Traciłam je podczas pracy nad „Naszą klasą”, kiedy pojechaliliśmy w czasie prób do Jedwabnego. I tracę je teraz, kiedy patrzę na to, co się dzieje na granicy – mówi aktorka **Izabela Dąbrowska**.

KATARZYNA KACZOROWSKA: – Jest pani Polką z korzeniami ukraińskimi i białoruskimi. Urodzona w Białymstoku kobieta pogranicza?

IZABELA DĄBROWSKA: – Tak, co więcej zawsze miałam poczucie przynależności do moich rodzinnych stron, do wiejskich korzeni, bo do trzeciego roku życia wychowywałam się na wsi u dziadków. Moim pierwszym językiem nie był polski, tylko tzw. język prosty, którym posługiwali się mieszkańcy tego pogranicza.

To mieszanek polskiego i białoruskiego?

Tak, mówili nim moi dziadkowie i mieszkańcy Kołodna, wioski, w której spędzałam każde wakacje do ukończenia szkoły podstawowej. Tam w okolicy każda wieś miała troszeczkę inny dialekt. Niektóre miały więcej naleciałości ukraińskich, inne – jak Kołodno – więcej białoruskich. Do dzisiaj nie wiem, od czego zależały te wyspy, może mniej się ludzie mieszało? Odwiedzali się, może w interesach do siebie jeździli, ale język jednak zachowywali odrębny, choć podobny. Bardzo byłam związana i z tą wsią, i z dziadkami. Babcia była Ukrainką z okolic Równego. W czasie wojny została wywieziona do Niemiec na roboty, w pobliże Hanoweru, i tam poznała dziadka.

Który był Polakiem, Białorusinem czy tutejszym?

Oczywiście, że tutejszym. Z Kołodna. On też został wywieziony do Niemiec. A że Niemcy mieli potrzebę klasyfikowania wszystkich według przynależności narodowościowej, to dziadek na rękawie nosił emblemat białoruski. Niemcy uznali go więc za Białorusina, choć on nigdy tego nie podkreślał. Tak samo jak nie podkreślał tego, że jest Polakiem. Był po prostu stąd, był tutejszy. Moja mama urodziła się w Rzeszy, ma metrykę ze swastyką. Po wojnie dziadkowie zdecydowali, że wracają do Polski, ale rozdzielono ich. Najpierw do Kołodna dotarła babcia z moją 9-miesięczną mamą. Dziadek trochę później, przez zburzoną Warszawę.

Jaka była ta ukraińska babcia?

Była bardzo silną kobietą, z mocnym poczuciem własnej godności. I dumy. Uczyla się w szkole felczerskiej, chciała zostać lekarką. Wojna i czas po wojnie zmieniły wszystko. Została żoną chłopca i osiadła na wsi. Ale to nie był zwykły chłop. Dziadek Władek był tytanem pracy. Jako pierwszy we wsi wprowadzał modernizację, maszyny rolnicze, również radio i telewizor. Sąsiedzi schodzili się do Bursów jak do świetlicy, najpierw, żeby słuchać, a potem oglądać. Zanim wprowadzono

elektryczność, babcia Wala przy lampie naftowej czytała domownikom „Dzieci kapitana Granta” Verne’a i reżyserowała w wiejskiej świetlicy jednoaktówki Czechowa, w których grali okoliczni mieszkańcy. Wszystko to w przerwach między sianokosami, żniwami, wykopkami i wychowaniem czwórki dzieci. Tę sprawczość i determinację odziedziczyła po niej moja mama Lidia i jej siostry. Mam wspaniałe ciotki: Mirę i Zinę. Niczego nie ujmując mężczyznom, to kobiety w naszej rodzinie trzymają stery, i ta łódź wciąż płynie.

Po wybuchu wojny w Ukrainie to kobiety z dziećmi uciekały w kolejnych falach do Polski. One też musiały dać radę. Rok temu pomyślała pani o swojej babci Wali?

Tak. Znowu wojna wygoniła ludzi z ich domów i skazała na tułaczkę. Pod koniec lutego 2022 r. do Polski z Winnicy, miasta w centralnej Ukrainie, przyjechała siostrzenica babci Taisa, bardzo do niej podobna. Przeżyliśmy szok, bo raptem pojawiła się przed nami babcia Wala. Spędziła w Polsce ponad trzy miesiące, mieszkając u swoich sióstr, ale tęsknota za domem okazała się silniejsza i wróciła.

Wróćmy na polsko-białoruskie pogranicze. Kołodno było katolickie czy prawosławne?

W większości prawosławne, choć katolicy też tam mieszkali. My chodziliśmy do cerkwi, nieliczni sąsiedzi do kościoła – obie świątynie były w oddalonym o 3 km Królowym Moście, niedaleko siebie zresztą. I nie pamiętam podziału między ludźmi. Oczywiście i u katolików, i u prawosławnych niedziela jest dniem świętym, tylko kalendarz świąt się różni. Czymś niezwykłym było to, że sąsiedzi doskonale znali te kalendarze i starali się w tym świętym czasie nie pracować, żeby nawzajem uszanować religię tego drugiego.

I tak było bez konfliktów na tym pograniczu?

Za moich czasów bez, ale może nie wiem wszystkiego? Bo z drugiej strony wielu ludzi miało tam swoje za uszami z wojennej przeszłości, choć o „takich” rzeczach oficjalnie się nie mówiło i nie chwaliło tym specjalnie. Przez pracę nad „Naszą klasą” trochę więcej poczytałam o tym, co się działo na Podlasiu przed wojną i w czasie wojny. Pojechaliśmy nawet całą obsadą do Jedwabnego. I to był dla mnie niezwykły powrót na to rodzinne, dla mnie jednak nieznanne i mniej idylliczne Podlasie.

Dlaczego?

Z jednej strony był reżim prób, a z drugiej niesamowite sny, odczucia, przeczucia. Rzeczywiście, jakby się otwierały drzwi do przeszłości, do tamtej pory zamknięte na głucho, przywalone milczeniem.

A pani co się śniło po tym Jedwabnem? Do Kołodna jest stamtąd zaledwie 100 km.

Nie pamiętam szczegółów tych snów. Pamiętam poczucie, że nie dźwigniemy tego przedstawienia przez fale emocji, jakie zalewały nas w czasie prób. Początkowo miało być dużo rekwizytów, zespół klezmerski na scenie, prawdziwe instrumenty, muzyka grana na żywo. I krok po kroku Ondrej Spisak, słowacki reżyser „Naszej klasy”, zrezygnował z tego wszystkiego. Została tylko goła drewniana podłoga, ławki, drzwi do tej klasy i symbole zmieniającej się władzy nad tymi drzwiami: krzyż, swastyka, sierp i młot. Z tej ascezy i tych emocji działały się jednak rzeczy nieprawdopodobne, zwłaszcza na początku. Bywało tak, że widzowie po spektaklu przychodzili i mówili: „Ale myśmy widzieli te prezenty, które dawałicie Marianie w czasie wesela, przecież one były”. A nie było żadnych prezentów, czyli tego, co zostało ukradzione z żydowskich domów opustoszałych po pogromach. Mieliśmy puste ręce.

Może to sumienie już nie pojedynczego sprawcy, ale społeczności, która czuje się współwinna?

Wolę wierzyć, że poruszyła tych ludzi sama sztuka. I nie wiem, czy jest możliwe rozliczenie się z tym, co ukrywamy. Kiedy rządzi nami strach, poczucie winy, to nie jesteśmy zdolni przyznać się do zła. Nawet sam przed sobą człowiek do końca szuka usprawiedliwień, wymówek, jakby od tego, że wyzna winy i poprosi o przebaczenie, miał się zawalić świat. Może dlatego też „Nasza klasa” wzruszeń i emocji dostarczyła tym przekonany. Tym, którzy wiedzą lepiej, nic nie zmieniła w ich postrzeganiu przeszłości. Z drugiej strony moja koleżanka, ilekroć przyjeżdża do niej rodzina czy znajomi z Izraela, prowadzi ich na „Naszą klasę”, całą wycieczkę. Po powrocie do domu wszyscy siedzą w milczeniu, nawet przy kolacji. Ale ona ma poczucie, że powinna to robić.

A co powinni zrobić pani bliscy i znajomi, którzy zostali na Podlasiu? Teraz, kiedy tamte historie wojenne zakryły dramaty na granicy i kolejne odnajdywane co kilka dni i tygodni ciała ludzi, którzy próbowali się dostać do lepszego świata i umarli w lasach koło Hajnowki, Krynek, Białowieży?

Przede wszystkim chciałabym wiedzieć więcej o tym, co się tam dzieje, bo oficjalne relacje są jednostronne, a w zasadzie ich nie ma. A niezależnie od braku wiedzy strasznie mnie serce boli, kiedy myślę o tych ludziach w lesie. Jakis czas temu moi bliscy, którzy mieszkają w Kołodnie, opowiadali, że którejś nocy pies się im strasznie rozszczękał. I zobaczyli przez okno rodzinę z trójką dzieci. Szli środkiem przez wieś. Kilkadziesiąt kilometrów od granicy, więc oni musieli się przedrzeć przez te lasy, taki kawał świata. I pewnie zostali zatrzymani... I wypchnięci z powrotem na Białoruś.

Lubiła pani ten las wokół Kołodna?

Uwielbiałam. Teraz powoli przechodzi w prywatne ręce i jest strasznie wycinany, wręcz trzebiony. Ja chodziłam tam z babcią na grzyby, jagody, dla piękna. A teraz ktoś, idąc do lasu, może się natknąć na ciało młodego mężczyzny, dziecka, na umierającą kobietę. Przecież to jest straszne. Ta ziemia doznaje po raz kolejny od czasów wojny niesłychanej traumy. Ludzie tam są w potrzasku i nie mówię teraz o uchodźcach, bo to oczywiste, ale o mieszkających.

O tamtejszych.

Tak, bo oni mają prawo przeżywać cały wachlarz emocji, od zwyczajnego strachu, bo nie wiedzą, kto w środku nocy puka do ich drzwi, po chęć niesienia pomocy, ale jak długo trzeba będzie tę pomoc nieść? To moje Podlasie, te tereny nad granicą, to są wioseczki wyludnione, zostali

w nich starsi ludzie, pokolenie wymierające. Ci młodszy najczęściej gospodarstwa przerobili na agroturystykę, mają więcej siły, ale i więcej problemów. Najpierw pandemia, teraz wojna. Kto przyjedzie na wypoczynek na rajskie Podlasie? Do Białowieży? Krynek? Usnarza? Dzisiaj? Kiedy w tych lasach ludzie walczą o lepsze życie ze strachem, że im się tego życia odmówi?

W „Uchu prezesa”, w którym zagrała pani wieloletnią sekretarkę Jarosława Kaczyńskiego panią Basię, Mariusz Błaszczak, obecny minister obrony narodowej, jest pokazany jako...

...niezborna offerma skupiona na zapewnieniu komfortu prezesowi i jego kotu. Cóż, rzeczywistość przyspieszyła. Ponad rok temu wybuchła wojna. Prawdziwa. Z ofiarami, bombardowanymi miastami, tragedią tysięcy ludzi tracących bliskich, swoje domy, miasta, miejsce na ziemi. Minister Błaszczak występuje teraz w telewizji już nie jak niezborna offerma karmiąca kota, ale szef resortu obrony narodowej. I myślę, że dzisiaj „Ucho...” takie jak przed wojną byłoby nam ciężko zrobić. Teraz więc w Teatrze 6. piętro gramy spektakl, którego autor Robert Górski sięgnął do Gogola i Szekspira i skupił się na walce o władzę. Prezes finguje swoją śmierć, chowa się do szafy i słucha w ukryciu, co o nim mówią ludzie, którzy na co dzień, gdy żył, stawiali go na piedestale.

Od premiery pierwszego odcinka „Ucha prezesa” minęło sześć lat. Z jednej strony wywoływałyście entuzjastyczne reakcje, z drugiej zarzucano wam ocieplanie wizerunku Jarosława Kaczyńskiego.

Kiedy przeczytałam scenariusz, uznałam po prostu, że jest zabawny. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że rozpęta się takie szaleństwo, jak odbierze to lewa czy prawa strona, że o ocieplaniu wizerunku nie wspomnę. Nigdy nie spotkał mnie ostracyzm z powodu słów, jakie wypowiadam, kreując postaci takie jak pani Basia. Nikt mnie nie oplotł, nie zwyzywał. Jeśli zacznę się tego bać, trzeba będzie pomyśleć nad zmianą zawodu i miejsca do życia. Ale nawet nie mam gdzie emigrować, bo moje Podlasie już nie jest niewinną krainą dzieciństwa.

Zocha, którą gra pani w „Naszej klasie” Słobodzianka, mówi: „I tak się to życie zmarnowało”. W pani życiu też się coś zmarnowało?

Życie codziennie się „marnuje”, bo przejmija. Najważniejsza jest teraźniejszość, przeszłości już nie ma, przyszłość dopiero nadejdzie. Trzeba mieć nadzieję, że jutro będzie dobrze. Tylko tyle i aż tyle. ■

Wilk w opłotkach



We wsiach nad Zalewem Solińskim buszuje niedźwiedzica recydywistka. Zjada drób i króliki, przewraca znicze na nagrobkach. A do Ustrzyk Dolnych zapuszczają się wilki i zagryzają jelenie pod oknami bloków. Dystans między dzikimi zwierzętami i człowiekiem niebezpiecznie się skraca.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Jeszcze kilka lat temu doniesienia o niedźwiedziach, które w poszukiwaniu jedzenia penetrują parkingi, kempingi i obrzeża pensjonatów, dotyczyły jedynie rejonu Tatr. Przyrodnicy tłumaczyli wówczas, że mamy do czynienia z postępującą synantropizacją (przystosowaniem się dzikich zwierząt do życia w pobliżu człowieka) gatunku *Ursus arctos*, a winny sytuacji jest człowiek, który zachęcił – świadomie lub nie – dużego drapieżcę do szukania pożywienia także poza lasem. Wabiony zapachami porzucanych resztek jedzenia niedźwiedź, z natury oportunistą, zrozumiał, że nie musi się zanadto wysilać, by nasycić żołądek.

Żeby ograniczyć możliwość spotkań niedźwiedzia z człowiekiem, przyrodnicy podjęli szeroką akcję edukacyjną. Ze szlaków zniknęły kosze na śmieci, a dostępne powszechnie ulotki informowały, że ogryzki, puste butelki po napojach, a nawet papierki po cukierkach trzeba zabierać z sobą do domu i dopiero tam opróżniać plecak.

Edukacja społeczeństwa dotycząca mądrego współistnienia z przyrodą to długi i powolny proces, ale i tak pod Rysami zauważono pozytywne zmiany. To wcale nie oznacza, że nie

dochodzi już do przecinania się ścieżek ludzi i drapieżników. Takie spotkania są jednak rzadsze, co przekłada się na większe bezpieczeństwo turystów. Z niedźwiedziem bowiem nie ma żartów – jeśli zostanie zaskoczony, a do tego ma przy sobie młode, może zaatakować.

Uparty niedźwiedź

W Polsce najwięcej niedźwiedzi żyje w Bieszczadach. Czasami do Polski przechodzą niedźwiedzie ze Słowacji i Ukrainy, analogicznie te nasze robią wypadki za granicę. Dlatego nigdy zdaniem przyrodników i leśników nie da się w stu procentach określić liczby bytujących na danym obszarze brunatnych drapieżców. Ta populacja to powód do dumy, ale też do niepokoju, bo niedźwiedzie coraz częściej widywane są tam, gdzie nie powinny. Kiedyś zdarzało się, że jeden czy drugi misiek rozbił pszczelą pasiekę na polanie, dzisiaj szkody notowane są coraz bliżej gospodarstw, a nawet w ich obrębie.

Od wczesnej wiosny młoda niedźwiedzica buszuje we wsiach gminy Solina. Nie jest potężna, wygląda nawet na lekko zabiedzoną, ale to wciąż drapieżnik, a jego zachowanie jest

Jeśli niedźwiedź zostanie zaskoczony, a ma przy sobie młode, może zaatakować. Z lewej: wilk uciekający przed obławą wzdłuż autostrady A2. Poniżej: młody miś na ulicy Nowego Sącza.



nieprzewidywalne. – Wchodzi odważnie do ludzkich zagród, zjada kury, kaczki i króliki, a jednocześnie stwarza niebezpieczeństwo dla mieszkańców – opowiada Kazimierz Nóżka, leśnik z Bukowca i znawca niedźwiedzi, który spotykał je na swej drodze już ponad sto razy. – Kiedyś ten sam misiek pojawił się na cmentarzu w Wołkowyi. Wskakiwał na nagrobki, przewracał znicze i kwiaty. Gorzej, że pewnego dnia wszedł również na plac obok przedszkola, więc to już naprawdę nie są żarty.

Gdy zgłoszenia o incydentach z udziałem kłopotliwego zwierzęcia stały się codziennością, wójt gminy Solina Adam Piątkowski napisał wniosek do Dyrekcji Generalnej Ochrony Środowiska o odstrzelenie niedźwiedzia. Argumentował na portalu społecznościowym, że odstraszenie i płoszenie nie przynosi rezultatów. Po tym poście na wójta posypały się gromy od internautów. Byli

oburzeni, że apeluje o zabicie osobnika gatunku będącego pod ochroną, chociaż zdarzały się też głosy biorące samorządowca w obronę. – Jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo ludzi na zarządzanym przez siebie obszarze, a skoro wszystkie „pokojuwe” metody zawodzą, pozostaje rozwiązanie bardziej drastyczne – mówi Kazimierz Nóżka. – Mimo to mam nadzieję, że uda się problem rozwiązać inaczej, bez konieczności likwidacji zwierzęcia.

Po interwencjach mieszkańców podsolińskich wsi powołano grupę ekspertów złożoną z leśników, myśliwych i przyrodników. Do współpracy zaproszono też fundację Bieszczadziki z Bukowska w Beskidzie Niskim, która od paru lat zajmuje się rozwiązywaniem problemów z udziałem dzikich zwierząt. Pracownicy fundacji jeszcze w 2019 r. odstraszały hukowo podchodzące pod gospodarstwa niedźwiedzie, lecz rezultaty były krótkotrwałe. Teraz ma być inaczej, bo znalazły się pieniądze na zakup nowoczesnego sprzętu, głównie z Wojewódzkiego Funduszu Gospodarki Wodnej i Środowiska w Rzeszowie. 153 tys. zł mają pomóc w walce ze sprawiającymi problemy niedźwiedziami, bo szkody rosną. Tylko w 2022 r. – jak podaje wójt Piątkowski – w gminie Solina było 57 udokumentowanych zdarzeń z udziałem brunatnych drapieżników.

Zapraszanie na ucztę

– Potwierdzam, że na tym terenie notujemy zauważalnie wyższą aktywność niedźwiedzi, czego odzwierciedleniem są szacowane przez nas szkody – informuje Łukasz Lis, rzecznik prasowy Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Rzeszowie. – Zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom leży w kompetencji wójta. W pierwszej kolejności stosowane jest odstraszenie. Jeśli nie pomoże, zdecydujemy się na uspienie niedźwiedzia i wywiezienie go w miejsce odległe od ludzkiej zabudowy. ►

► *Rozwiązania ostateczne mogą mieć zastosowanie dopiero po wyczerpaniu alternatywnych, przeżyciowych metod.*

Nie będzie to łatwe. Przykłady z poprzednich lat pokazują, że odławiane i wywożone na inne obszary niedźwiedzie wracają do swoich mateczników i problem zaczynał się od nowa. Dotyczy to także niedźwiedzicy znad Zalewu Solińskiego, którą lokalnie nazwano już nawet recydywistką.

Z niedźwiedziami mają kłopot również mieszkańcy wsi położonych wokół Sanoka, a więc poza Bieszczadami. Gdy zwierzęta zbliżyły się niebezpiecznie do pól gospodarstw, RDOŚ wydała ostrzeżenie dla dziewięciu wiosek. Oznacza to tylko tyle, że ludzie powinni zachować ostrożność, zabezpieczać śmietniki i kompostowniki, jak również ograniczyć spacery do pobliskich lasów lub w ogóle ich zaniechać.

30 maja rano na ulicach Nowego Sącza zauważono młodego niedźwiedzia. Mieszkańcy zaalarmowali służby miejskie i policję. Powołano sztab kryzysowy, a prezydent miasta zaapelował do mieszkańców, by jeśli nie muszą, nie wychodzili z domów. Po pewnym czasie około dwuletni niedźwiadek, który być może odłączył się od matki, spokojnie poczłapał w kierunku lasu. – *Od tamtej pory nie wrócił, jest spokojnie, a mieszkańcy normalnie funkcjonują* – informuje Dorota Rozum z Miejskiego Centrum Zarządzania Kryzysowego w Nowym Sączu.

Robert Gatzka, biolog i przyrodnik z Parku Ochrony Bieszczadzkiej Fauny w Olchowcu, nie ma wątpliwości – za konflikty z niedźwiedziami odpowiedzialni są ludzie. – *Przed 2018 r. takich problemów nie było. Szkody dotyczyły niektórych pasiek i małych spichlerzy. Kłopot zaczął narastać w momencie wprowadzenia w gminach nowego modelu gospodarki odpadami. Chodzi o sposób segregowania śmieci i ich odbioru. Samorządy wydały nakaz wystawiania zamkniętych worków z odpadami rankiem w dniu ich odbioru, ale nie wszyscy gospodarze się do tego stosują. Bywa, że worki wypełnione śmieciami leżą na poboczach już wieczorem, na kilkanaście godzin przed planowanym wywiezieniem przez służby komunalne. Co więcej, obecnie wiele domów stoi blisko lasu, gdzie wabiona zapachami zwierzyna szuka pożywienia. To nie tylko lisy, ale też niedźwiedzie.*

Przyrodnik podaje przykład z Olchowca, typowo turystycznej wsi nad Zalewem Solińskim. – *W niedzielne popołudnia przed wyjazdem do domu turyści wynajmujący kwatery wystawiają worki ze śmieciami na poboczu posesji. Tyle że odpady wywożone są niekiedy dopiero w czwartek. To prosta droga do przyciągnięcia dzikich zwierząt. Idą do takich miejsc jak w dym.*

Kolejny element zwabiający niedźwiedzie to kompostowniki. Zdaniem Roberta Gatzki kompostowanie jest dobrą rzeczą, ale niektórzy chcą uniknąć ponoszenia kosztów za śmieci z segmentu bio. Deklarują istnienie kompostowników, jednak odpady wyrzucają do rowu. – *Widziałem wiele takich miejsc. Nie powinniśmy się wtedy dziwić, że zapachy gnijących resztek przyciągają dziką zwierzynę.*

Sztuczny lęk

Dawniej niedźwiedzie też były obecne w górskich wsiach, ale przechodziły przez nie raczej nocą i rano oglądano tylko ich tropy. Teraz miś potrafi przyjść do wioski w dzień, choć nie są to przypadki nagminne i dotyczą tylko osobników, które wyspecjalizowały się w zdobywaniu pożywienia poza lasem. Jak pewien niedźwiedź, który w zeszłym roku wszedł do zagrody, wdrapał się na jabłoń i zjadał owoce dotąd, aż mu się znudziło. Nasycony odszedł do lasu, ale napędził strachu mieszkańcom. A po kilku dniach wrócił.

Nie można też zapominać, że współczesne Bieszczady różnią się od tych sprzed kilku dekad. Wystarczy popatrzeć na takie



miejsowości jak Wetlina czy Lutowska, gdzie zabudowa obejmuje obszary do niedawna puste, niemal graniczące z lasem. Ta przestrzeń się skurczyła, dlatego nie dziwią coraz częstsze spotkania ludzi i dzikich drapieżników. Na szczęście zwykle nie kończą się źle, choć ta granica może zostać kiedyś przekroczona. W Lutowskich miejscowościach pytają: – *Czy ktoś jest w stanie przewidzieć reakcję niedźwiedzia w takiej czy innej sytuacji?* I dodają: – *Skoro zdarzały się ataki na ludzi w lesie, mogą się zdarzyć też gdzie indziej.*

Dr Bartosz Pirga z Bieszczadzkiego Parku Narodowego, badacz dużych drapieżników, zaznacza, że sytuacja jest złożona. – *Mamy do czynienia z szeroko pojętym wpływem człowieka na przyrodę. Gospodarka leśna w Bieszczadach niemal w każdej ostoi jest intensywne, również w czasie zimowego gawrowania niedźwiedzi. Z tego powodu są płoszone, ale to nie jedyne zaburzenie w tym obszarze. Chodzi też o regularne i masowe dokarmianie dzikiej zwierzyny, w tym przez myśliwych i leśników. Ze smacznej kuku rydzy, buraków czy jabłek oczywiście korzystają też niedźwiedzie, a karma jest wykładana nie tylko w lasach, lecz także na ich obrzeżach, m.in. pod ambonami myśliwskimi. Uważam takie działania za ogromnie szkodliwe. To zjawisko opisane jest zresztą naukowo. Postępująca synantropizacja przekłada się na częstsze kontakty zwierząt z ludźmi.*

Jednocześnie – jak twierdzi dr Pirga – nie widać lawinowego wzrostu populacji niedźwiedzia brunatnego w polskiej części Bieszczadów. Opierając się na metodzie badań genetycznych, można stwierdzić, że na Podkarpaciu żyje obecnie od 70 do najwyższej 100 niedźwiedzi. Tyle samo było na początku lat 90. Metody szacunkowe mówią z kolei o 150, a nawet 200 osobnikach. W skali całych Karpat, a więc także słowackich, ukraińskich i rumuńskich, „polskie” niedźwiedzie to zaledwie 1 proc. tejże populacji. Bo w Karpatach żyje obecnie od 7 do 8 tys. niedźwiedzi brunatnych. Najwięcej w Rumunii, gdzie wolno na nie polować.

Według Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie na przestrzeni ostatnich 30 lat liczebność niedźwiedzia brunatnego wzrosła prawie pięciokrotnie. – *Taki rozwój świadczy o tym, że warunki bytowania dla tego gatunku są bardzo dobre, a gospodarka leśna w żaden sposób nie oddziałuje negatywnie na całą populację gatunku* – twierdzi Edward Marszałek, rzecznik krośnieńskiej RDLP.

Przyznaje, że rosnąca liczba niedźwiedzi w Polsce, w tym w Bieszczadach, jest powszechnie widoczna i odczuwalna,



Funkcjonariusze straży miejskiej i policji łapią dziką na osiedlu w Białymstoku.
Po prawej:
lis zwiedzający Gdańsk.



bo zwierzęta te często spotykane są nie tylko w lasach, ale właśnie we wsiach i w ich pobliżu. – *Skoro brunatne drapieżniki są regularnie płoszone w lesie, to gdzie mają się podziać?* – pyta retorycznie Bartosz Pirga. – *Za chronione gatunki odpowiada państwo. Dobrze byłoby wyłączyć z gospodarki leśnej pewne obszary, ale jak dotąd nic takiego nie ma miejsca. A jaka byłaby szkoda dla gospodarki? Żadna. Za to zrobiono by dużo dobrego dla niedźwiedzi, przy okazji wzrostoby też bezpieczeństwo ludzi, bo niedźwiedzie tak często nie byłyby obecne w pobliżu domów.*

Rzecznik RDLP odpiera zarzuty: – *Gospodarka prowadzona przez Lasy Państwowe ma umocowanie prawne i charakter zrównoważony. Natomiast postulowane przez ekoaktywistów [z Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze] wyłączenie fragmentów drzewostanów gospodarczych z uwagi na występowanie niedźwiedzi możliwe jest tylko w drodze zmiany planu urządzenia lasu lub utworzenia strefy ochronnej decyzją dyrektora RDOŚ.*

Leśnik dodaje, że w prawie europejskim nie ma zapisów mówiących, że nie wolno prowadzić jakiegokolwiek działalności leśnej, jeżeli w danym terenie występują niedźwiedzie. – *Nadleśnictwa zawsze dokładają wszelkich starań, aby działalność gospodarcza zapewniała zarówno trwanie chronionych gatunków, jak i dostępność drewna teraz i dla przyszłych pokoleń.*

Leśnikom nie zawsze po drodze z przyrodnikami i na odwrót. Co do jednego się zgadzają – od kilku lat napędzany jest sztuczny lęk przed drapieżnikami. Jak wynika z obserwacji i badań, nie stanowią one współcześnie większego zagrożenia niż kiedyś, a jedynie są częściej rejestrowane, bo służy temu nowoczesny sprzęt: kamery czy fotopułapki. Dużo złego robią też media społecznościowe. To w nich pompowany jest strach przed drapieżnikami, a w efekcie niekiedy żądanie ich zabijania. – *Zdarzają się spotkania ludzi z dużymi drapieżnikami, lecz najczęściej kończą się pokojowo* – mówi Bartosz Pirga. – *Na 700 tys. wejść do parku narodowego nie zanotowano ani jednej interakcji na linii człowiek–niedźwiedź.*

Wilki za jeleniami

Bardziej niż niedźwiedzi ludzie obawiają się wilków. Mało kogo już dziwi, że zagryzają owce na pastwiskach, za to niepokoi i oburza fakt rozszarpywania psów na podwórzach. Coraz częściej wilki schodzą z lasu blisko osiedli. Tak jest np. w Ustrzykach Dolnych. – *Jeżeli ludzie dokarmiają jelenie i sarny, wabią je na przydomowe łąki i ogródki, to w ślad*

za nimi idą wilki – tłumaczy Maciej Szpiech, szef Nadleśnictwa Ustrzyki Dolne.

W tym 10-tysięcznym mieście jelenie pasą się pod domami, spacerują chodnikami i ulicami jak losie w słynnym serialu „Przystanek Alaska”. Tyle że jest ich znacznie więcej. – *Poczuły się w mieście bezpiecznie i zaakceptowały towarzystwo ludzi, z których strony nic im nie grozi* – wyjaśnia Janusz Polityński, leśniczy do spraw łowieckich w Nadleśnictwie Ustrzyki Dolne. – *Ale zdarzało się już, że wilki dopadały jelenia między blokami i tam zagryzały. Takich przypadków dawniej nie notowaliśmy, można jednak przypuszczać, że będą się powtarzać.*

Lęk narasta. Nie bez powodu 11 maja tego roku Rada Powiatu Bieszczadzkiego przyjęła jednogłośnie uchwałę w sprawie konieczności redukcji wilków. W treści czytamy m.in.: „Wobec wydarzeń, które w ostatnim czasie bulwersują mieszkańców powiatu bieszczadzkiego, związanych z nasilającymi się w niespotykany wcześniej sposób atakami wilków wewnątrz miejscowości i w sąsiedztwie zamieszkałych zabudowań, Rada Powiatu Bieszczadzkiego stwierdza, iż panująca sytuacja jest nieakceptowalna oraz stwarza realne niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia mieszkańców i osób przebywających na terenie powiatu. Jest ona również wynikiem braku zdecydowanej reakcji na zdarzenia związane z wcześniejszymi atakami wilków na zwierzęta gospodarskie i domowe. Dalszy brak adekwatnych działań będzie powodował (...) eskalację zjawiska oraz narastanie niebezpiecznych sytuacji”.

Dokument opracowano po tym, gdy w lokalnych mediach gruchnęła wieść o ataku wilka na człowieka. Drapieżnik miał pokąsać dotkliwie mieszkańca Daszówki, gdy ten bronił przed atakiem swojego psa. Mężczyzna trafił z ranami rąk do szpitala, ale nie wszyscy dali wiarę poszkodowanemu, że napastnikiem był na pewno wilk.

Sceptycy twierdzą, że być może była to hybryda wilka i psa, a być może drapieżnik był chory. – *Zdrowy raczej nie zaatakowałby człowieka, ale chory, zwłaszcza na wściekłość, jak najbardziej* – mówią znawcy gatunku *Canis lupus* i przypominają, że to właśnie dotknięty wściekłością osobnik przed kilkunastu laty próbował atakować ludzi i samochody. Został zastrzelony. W tym samym czasie i później zdrowe wilki wielokrotnie podchodziły pod gospodarstwa w poszukiwaniu żeru, lecz nigdy nie stanęły przeciwko człowiekowi.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Daniel Obajtek opłaca człowieka, który nadzorował bank, gdzie rosyjscy oligarchowie powiązani z Kremlem prali pieniądze. W tej norweskiej spółce Orlenu jest więcej takich zaskakujących osób i zdarzeń.

Cenna rada

MIESZKO CZARNECKI, ANNA DĄBROWSKA

W

ładza stworzyła sobie narzędzie, które pomoże jej usunąć z życia publicznego każdego, kto jest dla PiS niewygodny i komu niedawno powołana komisja zarzuci uleganie rosyjskim wpływom. Korekta nowelizująca projekt, zaproponowana przez Andrzeja Dudę, w niczym nie zmienia

charakteru działalności tej „ruskiej komisji” i jej celów. Kilkoro ludzi będzie mogło przykleić dowolnej osobie etykietkę agenta, który „nie daje rękojmi należytego wykonywania czynności w interesie publicznym”. I jeszcze wręczą wilczy bilet uniemożliwiający pełnienie funkcji państwowych. – *Gdyby komisja naprawdę chciała zająć się powiązaniem wpływowych osób z otoczenia Kremła, musiałby przed nią stanąć Daniel Obajtek – mówi osoba wywodząca się ze środowiska PiS; dawniej wysoko postawiona w jednej z energetycznych spółek. – Niech prezes Orlenu odpowie, dlaczego mianował do rady dyrektorów Lotos Norge byłego prezesa Orlenu Zbigniewa Wróbla, który 20 lat temu podpisywał kontrakty na dostawę rosyjskiej ropy do Polski, i dlaczego nie pozbył się z tej spółki Olava Fjella?*



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

Chodzi o radę dyrektorów spółki Lotos Exploration&Production Norge (LN), która po fuzji należy do Orlenu. Zajmuje się poszukiwaniem i wydobywaniem ropy na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. Trafiają tu ludzie bliscy prezesowi Obajtkowi. Skład rady zmienia się dość często. Tylko w tym roku – już trzy razy, a w ciągu ostatnich trzech lat – dziesięciokrotnie. – *Rada dyrektorów to połączenie zarządu i rady nadzorczej. Osoby działające operacyjnie i osoby kontrolujące zasiadają w jednym ciele i razem podejmują strategiczne decyzje* – tłumaczy prof. Michał Romanowski z Uniwersytetu Warszawskiego, specjalista w zakresie prawa handlowego.

Dziwne powiązania Fjella

Olav Fjell stara się unikać rozgłosu, ale w żadnym razie nie jest postacią anonimową. Dziennikarze i publicyści śledzący jego aktywność podkreślają, że to typowy człowiek drugiego planu. Raczej cichy, spokojny, raczej nierzucający się w oczy prezes (w latach 1997–2003) norweskiego giganta paliwowego Statoil. Fjell był też w zarządach norweskich kolei czy jednego z największych w Europie producentów broni, firmy Kongsberg. W radzie dyrektorów Lotos Norge zasiada od 2007 r., czyli od początku istnienia spółki.

Stabilnie rozwijająca się kariera Olava Fjella pierwszy raz załamała się, gdy norwescy dziennikarze udowodnili, że pod jego kierownictwem Statoil starał się omijać nałożone na Iran sankcje, kupując za pośrednictwem firm doradczych związanych z reżimem w Teheranie przychylności przy pozyskiwaniu nowych kontraktów paliwowych. Po drugiej stronie negocjacyjnego stołu zasiadał syn byłego prezydenta Iranu Mehdi Haszemi Rafsamdżani. Jego firma doradcza współpracowała wówczas nie tylko z Norwegami, ale utrzymywała w imieniu irańskich elit dobre kontakty z partnerami z Federacji Rosyjskiej.

Po wszczęciu przez norweską administrację dochodzenia antykorupcyjnego i odwołaniu Olava Fjella ze stanowiska dyrektora zarządzającego na Statoil nałożono karę w wysokości 20 mln koron za ewidentne naruszenie przez firmę przepisów antykorupcyjnych. Choć jemu samemu postawiono zarzuty, to sprawę umorzono z braku dowodów winy. Fjell tłumaczył, że co prawda wiedział o zleceniu dla irańskiej firmy doradczej, ale jako prezes Statoil nie miał świadomości metod jej działania. Presja głównego właściciela i opinii publicznej była zbyt silna, by mógł zachować swój fotel. Przez kilka miesięcy po odwołaniu procesował się jeszcze ze swoim niedawnym pracodawcą o należne mu wynagrodzenie i środki z funduszu emerytalnego, w wyniku czego Statoil miał wypłacić swojemu byłemu dyrektorowi 40 mln koron.

W 2011 r. Fjell został powołany do rady dyrektorów jednej z największych instytucji finansowych w północnej Europie, sztokholmskiego Swedbanku. Pracował tu do 2013 r. Tymczasem w 2019 r. szwedzka telewizja publiczna SVT zarzuciła w swoich materiałach, że Swedbank w okresie od 2007 do 2015 r. poprzez swoje oddziały w Estonii, Łotwie i Litwie brał udział w praniu pieniędzy należących do rosyjskich i związanych z Moskwą ukraińskich polityków oraz oligarchów. Chodziło m.in. o Igora Putina, kuzyna prezydenta Federacji Rosyjskiej, czy ludzi Wiktora Janukowycza. Szacuje się, że przez serię kont i transakcji między różnymi podmiotami od 2007 do 2013 r. mogło przejść nawet 6 mld euro. Nadzór bankowy w Kopenhadze obliczył, że 35 proc. dochodów banków w Litwie, Łotwie i Estonii stanowiły pieniądze zarobione na legalizacji rosyjskich i ukraińskich środków. Kilkaście osób z nadbałtyckich przedstawicielstw skandynawskich banków trafiło za kratki.

Szwedzki nadzór bankowy wszczął własne postępowanie w sprawie Swedbanku za okres, kiedy członkiem rady

dyrektorów był Olav Fjell. Ostatecznie bank został ukarany najwyższą karą w historii Szwecji – 4 mld szwedzkich koron. Zarzuty karne usłyszała również prezeska Swedbanku Birgitte Bonnensen.

Oficjalne raporty Swedbanku za lata, gdy Fjell był członkiem rady dyrektorów, oczywiście nie zawierają czegokolwiek, co mogłoby wskazywać na systemowe pranie kremlowskich pieniędzy. Szwedzka dziennikarka Linda Larsson Kakuli z redakcji śledczej SVT nie jest zaskoczona: – *Od momentu, gdy sprawą zajął się szwedzki nadzór finansowy, kierując ją do sądu karne- go, na światło dzienne wyszło wiele wewnętrznych dokumentów, analiz i raportów Swedbanku wskazujących na nieprawidłowości. Organy banku były świadome, że procedury, które miały zapobiegać praniu brudnych pieniędzy, były w najlepszym przypadku niewystarczające.*

Nie wiadomo, czy od początku 2019 r., gdy telewizja SVT ujawniła kremlowskie powiązania Swedbanku, w którym nadzór pełnił także Olav Fjell, polskie służby dyplomatyczne przekazywały informacje o tym do Warszawy. Wydaje się, że powinny, bo Fjell od 2007 r. jest członkiem rady dyrektorów spółki Lotos Norge. – *Na początku, gdy norweskie oddziały Lotosu, PGNiG czy Orlenu były zakładane w Norwegii, potrzebowaliśmy nazwiska Fjella i jego kontaktów. Od tej pory minęło już jednak wiele lat i zbudowaliśmy własne relacje – mówi nasz informator z polskiej spółki energetycznej. – To zaskakujące, że po ujawnieniu afery z praniem przez bank rosyjskich pieniędzy Olav Fjell nadal nadzoruje polską firmę paliwową w kraju, który ma być alternatywą dla rosyjskich źródeł gazu. To pytanie do Daniela Obajtka, po co go trzyma w Lotos Norge ?*

Tor Dølvik z norweskiego oddziału Transparency International nie ma wątpliwości, że agenci antykorupcyjni mają pełne ręce roboty. – *W branży wydobywczej ryzyko korupcji jest szczególnie związane z udzielaniem licencji i opracowywaniem warunków ramowych dla przemysłu naftowego i gazowego. Pojawia się wyraźnie również w relacjach między spółkami naftowymi a branżą dostawców i wykonawców – podkreśla Dølvik. Wątpliwości dotyczących obecności w Lotos Norge Olava Fjella nie rozwiewa ani zarząd spółki, ani PKN Orlen, ani on sam. Mimo kilukrotnych prób stanowczo odrzuca wszelkie prośby o rozmowę. – Nigdy nie komentuję działalności w spółkach, w których zasiadam lub zasiadałem jako członek zarządu lub rad nadzorczych – odpowiada na naszą prośbę o rozmowę.*

Nasi rozmówcy z norweskich mediów zwracają uwagę, że największa na świecie publiczna instytucja finansowa, czyli Norwesk Państwowy Fundusz Emerytalny, jest udziałowcem PKN Orlen, a przez to polityka związana z obsadą stanowisk w spółce firmowana jest przez rząd Norwegii. Między innymi dlatego członkowie Etikkrådet, państwowej instytucji nadzorującej legalność działań podmiotów, w których Norwegia ma oddziały, zlecili, by przyjrzeć się Orlenowi. Chodzi o nieakceptowalne ryzyko związane z udziałem spółki, której szefuje Obajtek, w przypadkach łamania standardów państwa prawa i praw człowieka. Chodzi nie tylko o przejęcie przez Orlen mediów z grupy Polska Press, ale też m.in. o obsadę rady dyrektorów w Lotos Norge.

Bezpieczniak się nie interesował

Przez spółkę przewijają się ludzie silnie związani z PiS i tylko nieliczni mogą wykazać się doświadczeniem w wydobywaniu ropy naftowej i gazu ziemnego. Lista chętnych do nadzorowania norweskiego Lotosu jest długa. Nic dziwnego, bo według norweskiego prawa posiedzenia rady muszą odbywać się nie rzadziej niż raz w roku, a wynagrodzenia powinny odpowiadać średnim stawkom na tamtejszym rynku. ►

► Jak pisaliśmy niedawno w POLITYCE, prof. Alojzy Nowak (w spółce od 2020 r.), rektor Uniwersytetu Warszawskiego, nazywany kolekcjonerem posiad w radach nadzorczych, w samym tylko 2021 r. zarobił w Lotos Norge ponad 540 tys. koron, czyli ok. 250 tys. zł. To o przynajmniej 100 tys. zł więcej, niż wynikałoby z zapewnień Obajtki w Radiu Zet, który mówił, że posady w kierownictwie zagranicznej spółki Grupy PKN Orlen rozdaje „po kompetencjach”, dodając, że o wynagrodzeniach mówić nie może. Rzucił tylko, że to „coś w zakresie 2–3 tys. euro miesięcznie”.

Teraz ustaliliśmy, że do rady dyrektorów LN w 2021 r. dołączył też Kamil Kowaleczko, związany z partią od lat, bliski współpracownik Jacka Sasina. Kowaleczko obecnie jest dyrektorem ds. komunikacji KGHM i wiceprezesem fundacji spółki. Wcześniej był szefem komunikacji w resorcie aktywów państwowych. Po kilku miesiącach odszedł z LN, gdzie w tym czasie zarobił 680 tys. norweskich koron, czyli ok. 320 tys. zł. – *Rezygnację złożyłem z przyczyn osobistych* – zapewnia. Ale według naszych źródeł dla Norwegów to było za wiele, aby osoba, która wiele lat była członkiem partii rządzącej, zasiadała w państwowej spółce. – *Nigdy nie otrzymałem żadnej informacji, że zasiadam w radzie dyrektorów niezgodnie z obowiązującymi norweskimi standardami. Nie może być mowy o łamaniu standardów ze względu na moją rzekomą działalność polityczną, ponieważ przed objęciem funkcji dyrektora w służbie cywilnej w październiku 2020 r. złożyłem rezygnację z członkostwa w partii politycznej* – stwierdza Kowaleczko.

W marcu do rady dyrektorów orlenowskiej spółki w Norwegii trafił też Piotr Długosz, założyciel fundacji, która remontuje dworek Obajtki. Ma powstać tu centrum rehabilitacyjno-edukacyjne. Długosz jest też głównym projektantem geotermii Toruń, inwestycji należącej do fundacji powiązanej z o. Rydzykiem. Kilka miesięcy wcześniej do spółki trafił też Marcin Wysocki, dyrektor warszawskiego oddziału Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa. Okazuje się, że kilka tygodni po tym KOWR zrezygnował z prawa pierwokupu dwóch działek o łącznej powierzchni 16 ha w nadmorskiej gminie Choczewo; kupił je prezes Obajtek.

– *Lotos Norge za moich czasów nie była traktowana jak polityczna synekura. Mieliśmy zupełnie inne podejście niż to, które prezentuje dziś Daniel Obajtek. To była strategicznie ważna firma działająca na jednym z najważniejszych rynków wydobywczych. Tam mieli trafić fachowcy. Na zarządzie co roku czytaliśmy jej sprawozdanie* – mówi były wiceprezes Lotosu z czasów rządów PiS, który chce zachować anonimowość. Pytany, czy firma była objęta parasolem kontrwywiadowczym, odpowiada, że nie przypomina sobie takich sytuacji. – *Nasz tzw. bezpieczniak, czyli dyrektor do spraw bezpieczeństwa, nie interesował się specjalnie tą spółką. Przynajmniej ja o tym nic nie wiedziałem* – mówi były wiceprezes Lotosu.

Ekumeniczne podejście prezesa Orlenu

Wspominana już osoba wywodząca się ze środowiska PiS i dawniej wysoko postawiona w jednej z energetycznych spółek, najbardziej oburza się jednak na to, że Obajtek na początku tego roku zaprosił do rady dyrektorów Zbigniewa Wróbla. To prominentny działacz Stowarzyszenia Ordynacka, założonego przez aktywistów młodzieżowych przybudówek PZPR. Po objęciu władzy przez rząd SLD-PSL Zbigniew Wróbel zamienił stanowisko wiceszefa przedstawicielstwa amerykańskiego koncernu spożywczego Pepsico na fotel prezesa Orlenu. Stało się to w niezwykłych okolicznościach, gdy funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa zatrzymali Andrzeja Modrzejewskiego, prezesa Orlenu z czasów rządów AWS. Modrzejewski pozostał na wolności, ale odwołano go ze stanowiska prezesa paliwowej spółki.

Wróbel jako nowy prezes koncernu podpisał z Rosjanami kontrakt na dostawy ropy i dążył do przejścia Rafinerii Gdańskiej, przekształconej w Lotos. W 2004 r. eksminister skarbu Wiesław Kaczmarek w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” ujawnił, że decyzja o zatrzymaniu Modrzejewskiego miała zapaść na nieformalnym spotkaniu premiera Leszka Millera, ministra sprawiedliwości Barbary Piwnik i szefa Urzędu Ochrony Państwa Zbigniewa Siemiątkowskiego. Wybuchła afera i Sejm powołał komisję śledczą dla wyjaśnienia nieprawidłowości w nadzorze Ministerstwa Skarbu nad Orlenem i podejrzeń o wykorzystywanie służb specjalnych do wywierania nacisków na władze spółki. Wkrótce potem premier Marek Belka wymusił od Zbigniewa Wróbla rezygnację z kierowania Orlenem.

Od tego czasu niemal przez dwie dekady Wróbel nie udzielał się w polityce ani w wielkim biznesie. Można było go w ostatnich latach spotkać latem na Mazurach, gdzie ma posiadłość w okolicy Giżycka. Trzymał tam, ku zaskoczeniu okolicznych mieszkańców, morski katamaran, którym pływał po jeziorach. Wrócił w zeszłym roku, chwalać w mediach przeforsowaną przez Daniela Obajtkę fuzję Orlenu z Lotosem. Odnosił się do zarzutów polityków opozycji, którzy twierdzą, że sprzedaż udziałów w Rafinerii Gdańskiej Saudi Aramco i stacji benzynowych węgierskiemu MOL-owi jest niebezpieczna, bo aktywa te mogą w przyszłości zostać sprzedane Rosji. „To jest podgrzewanie emocji. W MOL nie ma kapitału rosyjskiego, natomiast jest polski – 20 proc. Moim zdaniem to nie są strachy, których powinniśmy się obawiać. One są podgrzewane politycznie” – stwierdził Wróbel. – *Jestem zaskokowany, że Obajtek zrehabilitował Wróbla i myślę, że ta komisja ds. badania rosyjskich wpływów powinna się relacji obu panów porpryglądać* – mówi nasz informator.

Spółka od wypłacania pensji

Jak ustaliliśmy razem z dziennikarzami śledczymi Radia Zet Wróbel, Długosz (od dworku Obajtki) i Wysocki (od działki Obajtki) trafili do rady dyrektorów Lotos Norge, kiedy już było wiadomo, że PGNiG Upstream Norway (też już należąca do Orlenu) przejmie jej majątek i koncesje na wydobycie. Orlen rozpoczął integrację spółek przejętych w zeszłym roku w ramach fuzji z Lotosem i PGNiG. Oficjalnie Orlen poinformował o tym na początku maja, ale aby przeniesienie aktywów było skuteczne, wcześniej musiał pozyskać zgody odpowiednich ministerstw w Oslo. Ustaliliśmy, że PKN Orlen miał wstępne zgody w październiku 2022 r., więc już od tego momentu Norwesi Lotos był wygaszany. I to właśnie wtedy ruszyła kolejna karuzela nominacji do rady dyrektorów, choć wiadomo było, że nie będzie ona miała czym się zajmować.

A może właśnie o to chodziło? Na ostatniej prostej jest co dzieć i nadzorować. W 2021 r. Lotos Norge była na plusie z kwotą 2 mld norweskich koron. Dane spółki za 2022 r. będą dostępne niebawem, podobnie zresztą jak wysokość zarobków członków jej rady dyrektorów za miniony rok. – *Nie ma żadnej logiki w tym, aby w czasie wygaszania spółki wprowadzać do rady dyrektorów nowych ludzi. Chyba że chodzi o jakieś osobiste długi wdzięczności czy zależności prezesa Obajtki, wobec tych, których obdarował stanowiskami* – uważa nasz rozmówca. Jak twierdzi osoba związana z radą dyrektorów Lotos Norge, spółka mimo wygaszania ma sporo pieniędzy, więc jest z czego wypłacać pensję przez najbliższych kilka miesięcy. Podobno liczna rada dyrektorów ma obiecane kolejne stanowiska w norweskich spółkach Orlenu, kiedy już zapadnie decyzja o ostatecznym zamknięciu Lotos Norge.

MIESZKO CZARNECKI, ANNA DĄBROWSKA
WSPÓŁPRACA MARIUSZ GIERSEWSKI, RADIO ZET

UGODA lepsza niż PROCES



Coraz więcej frankowiczów zawiera ugodę z bankiem. Do końca marca 2023 r. zdecydowało się na to niemal 60 tysięcy kredytobiorców. Kwoty korzyści dla klientów sięgają w indywidualnych przypadkach nawet 100 000 złotych. Przeciwnikami ugód są kancelarie frankowe zarabiające na sporach.

Kredytobiorcy walutowi coraz chętniej wybierają ugodę frankową zamiast sporu sądowego. Pozew przeciwko bankowi to wysokie koszty, niepewność i czas mierzony w latach. Dlatego banki przygotowały atrakcyjne oferty ugód, a kwoty korzyści dla klientów sięgają od kilkudziesięciu do ponad stu tysięcy złotych. Jeśli klientowi zależy na obniżeniu raty, także jest to możliwe – w indywidualnych przypadkach rata może zmniejszyć się nawet o 1 300 złotych.

Zysk i oszczędność

Uгода frankowa z bankiem może się opłacać. Przekonało się o tym niemal 60 tysięcy kredytobiorców, którzy zdecydowali się szybko i tanio pozbyć kredytu frankowego.

Poza wymiernym zyskiem, uгода to także oszczędności. Ich źródłem jest pozbycie się kredytu bez ponoszenia kosztów sądowych i opłacania pośredników oraz uniknięcie długotrwałej ścieżki rozliczeń z bankiem.

Bez nerwów, kosztów i niepewności

Stres, niepokój i nerwy – tym, poza kwotami liczonymi w tysiącach, kredytobiorcy płacą za udział w procesach. Wszystkich tych negatywnych czynników można uniknąć dzięki ugodzie. Proces z bankiem może trwać nawet sześć lat. W dużych miastach około dwóch lat czeka się na termin pierwszej rozprawy. Sprawa w pierwszej instancji trwa około dwóch lat, w drugiej instancji – kolejne dwa. Ponadto przy ugodzie frankowicz może negocjować jej kształt, natomiast w procesie sądowym do końca trwa w niepewności co do ostatecznego wyroku.

Sprawiedliwe wobec innych kredytobiorców

Rozwiązanie ugodowe jest sprawiedliwe społecznie. Ugody frankowe wyrównują sytuację frankowiczów i zlotówkowiczów, podczas gdy wyroki sądów unieważniające automatycznie umowy kredytów nagradzają kredytobiorców frankowych kosztem innych klientów banków. To nieuczciwe, niesprawiedliwe i nieuzasadnione stawianie jednych obywateli ponad drugimi. Za odszkodowania, darmowe kredyty i mieszkania dla frankowiczów zapłaci reszta społeczeństwa. W tym zlotówkowicze, którzy zostaną ukarani za swoją ostrożność i zdrowy rozsądek.

Wbrew twierdzeniom kancelarii frankowych, ugody nie są „prezenterem dla banków”. Bank, zawierając ugodę, bierze na siebie znaczny koszt przewalutowania kredytu frankowego na złotowy. Według szacunków, łączny koszt ugód po stronie banków może wynieść nawet 57 miliardów złotych.

Uwaga na kancelarie frankowe!

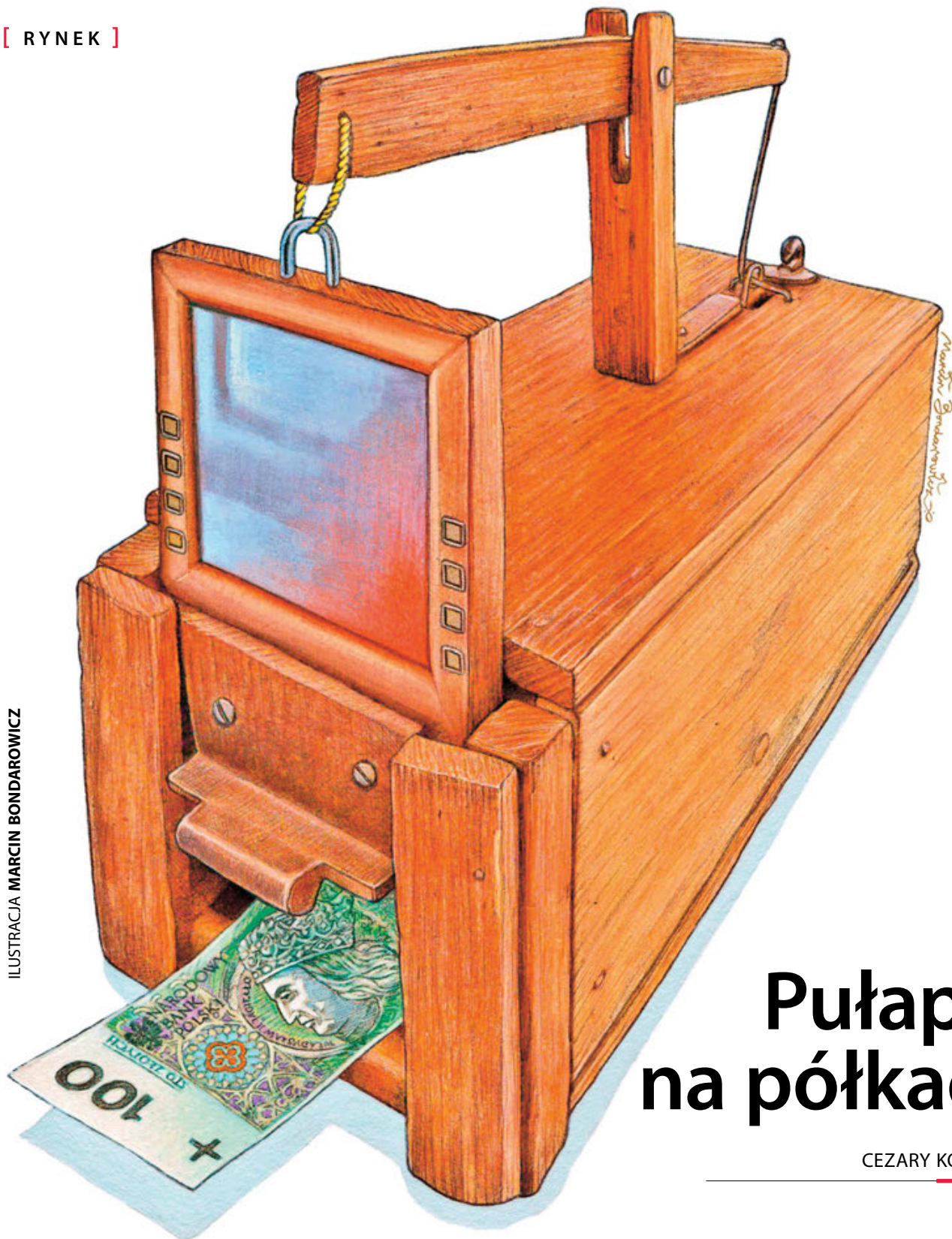
Ugody mają swoich przeciwników – to głównie kancelarie frankowe, które na sporach frankowych zarabiają krocie. Rynek pozwów frankowych jest wart co najmniej 3,5 miliarda złotych. Opłaty wstępne mogą sięgać nawet 20 tysięcy złotych, a success fee – kolejnych kilkudziesięciu tysięcy.

Warto pamiętać, że kancelarie frankowe mogą przedstawiać klientom niejasne zasady wynagrodzenia lub zawyżone stawki za success fee. Z tego powodu od 2019 r. skierowano szereg zawiadomień do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. UOKiK ukarał część kancelarii za stosowanie w umowach niedozwolonych zapisów oraz wprowadzanie konsumentów w błąd. Problem ten dostrzegł również Rzecznik Finansowy.

Kancelarie frankowe od kilku lat uprawiają agresywny marketing. Prasa, internet i media społecznościowe pełne są płatnych reklam zachęcających frankowiczów do pozwania banku i obiecujących im „pewną wygraną”, „sfinansowanie procesu” albo „unieważnienie kredytu w 60 minut” (!).

Reklamy kancelarii frankowych nie tylko są sprzeczne z zasadami etyki, które obowiązują adwokatów i radców prawnych, lecz przede wszystkim naruszają one ustawę o ochronie konkurencji i konsumentów – są nierzetelne, udzielają niepełnych informacji i wprowadzają w błąd. A jednocześnie mają na celu zniechęcić frankowiczów do zawierania ugód i zachęcić do składania pozwów. Skłaniają więc konsumentów do nabycia usług, które wcale nie muszą odpowiadać ich potrzebom.





Pułapki na półkach

CEZARY KOWANDA

Za pozorowanie obniżek cen towarów można dostać finansową karę, a za rabaty na papierosy i alkohol narazić się na potępienie w sieci. Ale naród tak kocha promocje, że handlowcy z nich nie zrezygnują.

Najnowszy poradnik Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów wyjaśniający sprzedawcom, w jaki sposób prawidłowo oznaczać promocje, liczy 76 stron. To pokłosie nowych polskich przepisów, dzięki którym udało się z ponadrocznym opóźnieniem wdrożyć unijną dyrektywę Omnibus. Od początku

roku sklepy muszą w przypadku promocji podawać w reklamach i na etykietach równocześnie najniższą cenę tego samego produktu z ostatnich 30 dni. Chodzi o ochronę klientów, którzy często nie wiedzą, że to, co dziś sprzedawcy reklamują jako przecenione, w rzeczywistości wcale nie jest atrakcyjną ofertą. Bo ten sam produkt kilka czy kilkanaście dni temu kosztował jeszcze mniej.

Zasady wydają się proste i logiczne, jednak UOKiK i Inspekcja Handlowa stwierdzają liczne naruszenia przepisów. Na razie tylko pouczają sprzedawców, ale w drugiej połowie roku mają przejść od ostrzeżeń do czynów. Ponoć posypią się kary. Inspekcja Handlowa może nałożyć mandat od 20 do 40 tys. zł, natomiast UOKiK ma w swoim ręku finansowy młot. Jeśli stwierdzi naruszenie zbiorowych interesów konsumentów, górna wysokość kary to aż 10 proc. rocznych obrotów firmy.

Jest się zatem czego bać. Tym bardziej że wielu sprzedawców od początku testuje granice wyrozumiałości organów kontroli. Nagminne jest na przykład podawanie informacji o najniższej cenie z ostatnich 30 dni drobnym drukiem i mało czytelną czcionką. Niektórzy stosują niejasne określenia jak „cena referencyjna” albo „cena omnibus” na określenie kwoty, od której liczą obniżki. Tymczasem UOKiK ostrzega: trzeba precyzyjnie informować klientów o tym, ile produkt kosztował bezpośrednio przed promocją oraz ile wynosiła jego najniższa cena w ciągu ostatnich 30 dni. Wszystkie te dane powinny być czytelne i łatwe do zrozumienia.

Nie wolno również stosować etykiet udających promocje (na przykład w kolorze czerwonym) do zwracania uwagi klientów, gdy żadnej obniżki nie ma. Życia i konsumentom, i sprzedawcom nie ułatwiają też niespójne przepisy. Okazuje się bowiem, że najniższej ceny z ostatnich 30 dni nie trzeba podawać w przypadku promocji towarów szybko psujących się, których termin ważności nie przekracza 14 dni. A to dotyczy wielu produktów żywnościowych. Wówczas wystarczy tylko podać cenę sprzed obniżki.

Wkrótce okaże się, kto nie spełnił wymogów unijnej dyrektywy. UOKiK zdążył już skrytykować Biedronkę za używanie określenia „cena referencyjna” zamiast dłuższego, chociaż precyzyjniejszego określenia „najniższa cena z ostatnich 30 dni”. Największa sieć handlowa w Polsce powinna mieć się na baczności, bo od kilku lat jest ulubionym celem państwowego organu kontrolnego.

Łącznie za różne przewinienia UOKiK nałożył na nią już prawie miliard złotych kar. Wkrótce może być ich jeszcze więcej, bo w ubiegłym roku Urząd zarzucił sieci za wprowadzanie w błąd klientów akcją promocyjną o nazwie Tarcza Biedronki Antyinflacyjna.

Jej regulaminu nie dało się znaleźć w sklepie, a zasady zostały ustalone w sposób tak skomplikowany, że skorzystanie z promocji było bardzo trudne. Chodziło o zwrot różnicy w cenie, gdyby

klienci znaleźli u konkurencji tańsze produkty niż te w Biedronce. Musieli jednak zrobić zdjęcia porównywalnych artykułów wraz z etykietą, zachować nienaruszone paragony, przesłać w ciągu siedmiu dni zgłoszenie elektroniczne, a potem jeszcze wysłać wszystkie dokumenty pocztą tradycyjną, płacąc za znaczek. UOKiK wciąż zastanawia się, czy i jaką karę nałożyć na Jeronimo Martins (portugalskiego właściciela giganta) za tę akcję. ▶

REKLAMA

Zatrzymaj się w Białymstoku – odwiedź Muzeum Pamięci Sybiru!

- niezwykła architektura
- interaktywna wystawa dla całej rodziny
- poruszające opowieści
- kilka wieków polskiej historii
- audioprzewodniki w 12 językach
- rozwiązania dla osób o szczególnych potrzebach

www.sybir.bialystok.pl

Zarezerwuj bilet: kasa@sybir.bialystok.pl, tel. +48 85 672 36 00

f i y t
SYBIR.BIALYSTOK.PL

► W kolejce na wyrok czeka też spółka Azagroup, właściciel sklepu internetowych Born2be.pl i Renee.pl. Według Urzędu trwały w nich niekończące się promocje. Gdy tylko jedna się kończyła, zaczynała się kolejna na takich samych albo bardzo podobnych warunkach. Klienci padali ofiarą manipulacji, bo przekonywano ich, że mają mało czasu na podjęcie decyzji i skorzystanie z przeceny. Według UOKiK nie wolno stosować wobec konsumenta takich zabiegów socjotechnicznych.

Unijna dyrektywa skomplikowała życie handlowcom, którzy słowo „promocja” chętnie odmieniali przez wszystkie przypadki, ale ostatnie miesiące jeszcze ich do tego zachęciły. Na fali ogromnej inflacji Polacy zwracają jeszcze częściej uwagę na rabaty i obniżki.

– Jak wynika z naszych badań, od stycznia do kwietnia tego roku wartość sprzedaży promocyjnej wzrosła aż o 29 proc. w porównaniu z pierwszymi czterema miesiącami 2022 r. Tymczasem wartość sprzedaży produktów nieobjętych promocją zwiększyła się tylko o ok. 10 proc. Aż trzy czwarte polskich klientów określiliśmy jako smart shopperów, czyli wykorzystujących różne metody, aby robić taniej zakupy. Ponad 70 proc. z nas nie tylko porównuje ceny różnych marek, ale też analizuje koszt produktu w przeliczeniu na sztukę, aby wybrać najlepszą ofertę. Taki sam odsetek, widząc artykuł na promocji, zastanawia się, ile kosztuje on normalnie, a dwie trzecie porównuje ceny między sklepami – mówi Szymon Mordasiewicz, dyrektor komercyjny Panelu Gospodarstw Domowych GfK Polonia.

Sprzedawcy wiedzą, jak ważne dla klientów są promocje, ale też nie chcą ograniczać swojej marży. Trwa rywalizacja, kto kogo przechytzy i postawi na swoim: sieci umiejące mimo akcji rabatowych zwiększać swoje obroty czy konsumenci próbujący w czasach drożyzny jednak coś zaoszczędzić i upolować okazje. Widać to w zmianach nawyków Polaków. Jak wynika z danych firmy Proxi.cloud, w pierwszym kwartale tego roku liczba wizyt przeciętnego klienta w dyskontach, hipermarketach i supermarketach wzrosła aż o 15 proc. w porównaniu z początkiem 2022 r. Nie znaczy to jednak wcale, że kupowaliśmy więcej. Zakupy robimy częściej, bo intensywnie szukamy promocji i ofert specjalnych. – *Zaobserwowaliśmy w ciągu roku wzrost korzystających z aplikacji sklepowych z 45 do 57 proc. Dla trzech*

czwartych klientów najważniejszym czynnikiem wyboru produktów jest niska cena, a dla 68 proc. to, czy towar jest w promocji. Na trzecim miejscu w tej klasyfikacji znajduje się sprawdzenie, czy artykuł nie pochodzi z Rosji czy Białorusi. Na to zwraca uwagę 54 proc. ankietowanych – mówi Szymon Mordasiewicz z GfK Polonia.

Sprzedający i kupujący zgadzają się co do wagi promocji, ale na tym porozumienie się kończy. Klienci chcą przede wszystkim, żeby zasady obniżek były proste. Według raportu sieci Kaufland, przygotowanego w lutym, zdecydowanie najpopularniejszą formą promocji jest rabat procentowy. Ma on być wysoki, sięgający kilkudziesięciu procent i – co najważniejsze – niepowiązany z żadnymi innymi warunkami.

W praktyce sieci handlowe stawiają dziś na promocje innego typu. Widać to świetnie na przykładzie podstawowych produktów, które drastycznie zdrożały w ciągu ostatnich dwóch lat: masła, cukru czy oleju. Ceny surowców na światowych rynkach ustabilizowały się, a nawet zaczęły spadać. Jednak kilogram cukru w dużych sieciach wciąż kosztuje prawie 6 zł, podobnie jak kostka masła, a litr najtańszego oleju to nadal wydatek rzędu 9–10 zł. Znacznie taniej jest właśnie w promocjach. Wówczas kostka masła może kosztować 3,50 zł, kilogram cukru poniżej 4 zł, a litr oleju 6–7 zł. Jednak sieci każą klientom nie tylko skorzystać z kart lojalnościowych, ale też kupić od razu po kilka sztuk takich produktów. Czasem idą o krok dalej i żądają, żeby w sumie podczas jednych zakupów wydać np. 49 czy nawet 99 zł.

W ten sposób na znaczeniu zyskują promocje dyskryminujące część klientów, na przykład singli, którzy nie potrzebują tak dużych ilości produktów. Inna popularna forma walki o klientów to udostępnianie kuponów rabatowych wyłącznie w aplikacjach mobilnych, mających w teorii przyciągać uwagę i zwiększać lojalność konsumenta. To z kolei wyklucza osoby nieporuszające się sprawnie w świecie cyfrowym. W ten sposób promocja łatwo może stać się bronią obosieczną. Część klientów, którzy nie są w stanie z niej skorzystać, poczuje się rozczarowanych i będzie wołała pójść do konkurencji. Jednak największe kontrowersje zaczyna ostatnio budzić udzielanie rabatów na alkohol i papierosy.

Spore emocje, zwłaszcza przed tegoroczną majówką, towarzyszyły pomysłom niektórych sieci sprzedających tanio piwo. Promocje typu 6+6, a nawet 12+12 polegają na tym, że klient po zakupie 6 czy 12 butelek lub puszek piwa

tyło samo kolejnych dostaje za darmo. Krytycy przekonują, że to raczej były ordynarne alkopromocje na alkomajówce i rozpijanie Polaków, którzy wychodzą ze sklepów z jeszcze większą ilością flaszek, niż ich potrzebują. Dyskonty i supermarkety bronią się, podkreślając, że przecież wszystko jest zgodne z przepisami. Bo w Polsce rząd dzielnie walczy z niedzielnym handlem, chętnie wspierając się przykładem niektórych krajów zachodnich, ale już zasady sprzedaży alkoholu mamy jak na Europę wyjątkowo liberalne.

Zaskoczenie wywołały też pomysły Żabki, która w aplikacji mobilnej oferowała za złotówkę kawę przy równoczesnym zakupie paczki papierosów.

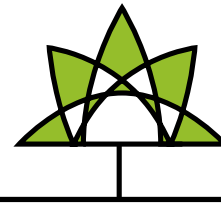
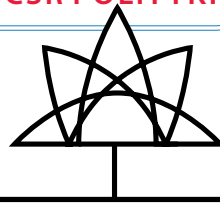
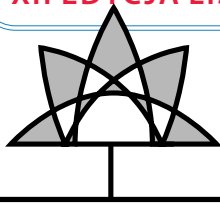
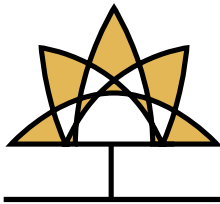
Ostatecznie licząca ponad 9 tys. małych sklepów franczyzowych sieć wycofała się z promocji, podkreślając jednak, że prawa nie złamała. Tymczasem Ministerstwo Zdrowia uznało tę akcję za nielegalną reklamę papierosów i zapowiedziało powadomienie prokuratury oraz UOKiK.

Żabka z kontrowersyjnych posunięć reklamowych rezygnować jednak nie zamierza. W tej samej aplikacji zachęcała w maju do zakupu jednej z wódek. Kto ją kupił i wziął udział w konkursie, ten mógł wygrać... rower. Już samo skójarzenie alkoholu z bicyklem wydaje się mocno niefortunne. Ruch formalnie legalny może okazać się na dłuższą metę wizerunkowo ryzykowny.

– 10 lat temu dyskusji wokół takich akcji by nie było. Teraz pojawia się dysonans, bo same sieci handlowe chętnie opowiadają o etyce w biznesie czy o swojej społecznej odpowiedzialności. Promocje alkoholu i papierosów nie bardzo do takiego wizerunku pasują. Z drugiej strony rabaty przy sprzedaży piwa zawsze były cenione i zwiększały obroty sieci – zauważa Agnieszka Górnicka, prezes agencji badawczej Inquiry.

Podczas gdy jeden krytykuje, drugi idzie prosto do sklepu. Wyzwaniem dla sprzedawców jest dogodzić obu grupom. Kiedyś promocje organizowało się łatwiej. Dzisiaj trzeba nie tylko odpowiednio oznaczyć etykiety i prawidłowo zapisać wysokość obniżek, ale jeszcze ocenić, czy kontrowersyjna promocja nie zaszkodzi wizerunkowi sprzedającego. Z promocji jednak rezygnować nie sposób, skoro klienci tak na nie czekają. Bo chociaż często im nie dowierzamy i czujemy się oszukiwani, to bez prawdziwych lub pozornych rabatów żyć już się nie da.

CEZARY KOWANDA



Czas na zdecydowane działania

JUŻ PO RAZ 12. TYGODNIK POLITYKA, FIRMA DELOITTE ORAZ FORUM ODPOWIEDZIALNEGO BIZNESU

WYRÓZNILI POLSKICH LIDERÓW ESG (ANG. ENVIRONMENTAL, SOCIAL AND GOVERNANCE)

W RAMACH ZESTAWIENIA LISTKÓW CSR POLITYKI – JEDNEJ Z NAJSTARSZYCH TEGO TYPU INICJATYW NA RYNKU.

Zrównoważony rozwój to nie dodatek do działalności gospodarczej – to jej kluczowy element. Według badaczy i ekonomistów, między innymi twórców dorocznego raportu „Global Risks Report” ze Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, ryzyka związane z klimatem oraz środowiskiem naturalnym stanowią zagrożenia, które będą wpływać na naszą rzeczywistość w najbliższych latach. Stawiając czoła niepewnym warunkom gospodarczym i geopolitycznym, walcząc z inflacją oraz jej przykrymi dla całej gospodarki i społeczeństwa konsekwencjami, przedsiębiorstwa muszą systemowo angażować się w działania na rzecz zrównoważonego rozwoju. Kluczem i najlepszą drogą do tego celu jest wprowadzanie odważnych zmian wewnątrz własnych organizacji, a także dogłębne poznanie wpływu własnej działalności

biznesowej na otoczenie. Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC) opublikował w marcu kolejny raport dotyczący zmian klimatu i ich wpływu na różne regiony świata – jego konkluzje są jednoznaczne i zatrważające: jeśli nie podejmiemy odważnych i zdecydowanych działań, przekroczymy zawarty w Porozumieniu paryskim cel 1,5 stopnia już w obecnej dekadzie. Jednak jeśli emisje gazów cieplarnianych zostaną szybko i stanowczo zredukowane w kolejnych latach, być może nadal możliwe będzie uniknięcie najgorszych konsekwencji.

Z takimi wyzwaniem zarówno sektor prywatny, jak i instytucje rządowe nie mogą sobie poradzić samodzielnie. Dlatego tak ważne jest kreowanie wzorców i postaw liderów zrównoważonego rozwoju wewnątrz przedsiębiorstw, mierzenie wpływu na otoczenie każdej organizacji oraz otwar-

ty, oparty na rzetelnych danych i realnych działaniach dialog z interesariuszami.

Przybywa laureatów

Jak co roku, aby uhonorować firmy Złotymi, Srebrnymi i Białymi Listkami CSR POLITYKI, oceniliśmy działalność przedsiębiorstw pod względem środowiskowym (E), społecznym (S) i ładu korporacyjnego (G). Po raz drugi też nagrodziliśmy Zielonymi Listkami POLITYKI firmy-liderów neutralności klimatycznej.

W tegorocznej edycji zestawienia otrzymaliśmy 127 zgłoszeń. Spośród nich

aż 104 firmy zdobyły wyróżnienia. Złoty Listek CSR POLITYKI trafił do 23 firm, Srebrny Listek do 35, a Biały Listek do 46. Oceny przyznano na podstawie analizy opartej na wypełnionej przez firmy ankiecie, opracowanej według wytycznych normy dotyczącej podstawowych zasad społecznej odpowiedzialności ISO 26000 oraz w stosunku do Europejskich Standardów Raportowania Zrównoważonego Rozwoju i najnowszych trendów ESG. Oznacza to, że ponad 80 proc. firm, które wypełniły ankietę, podejmuje już konkretne działania, dzięki którym stopniowo wprowadzają swoje organizacje

Złoty Listek CSR POLITYKI 2023



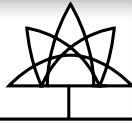
- Bank Millennium SA
- BNP Paribas Bank Polska SA
- CANPACK SA
- CCC SA
- Coca-Cola HBC Polska Sp. z o.o.
- DB Schenker w Polsce
- Energa SA Grupa Orlen
- Grupa Ergo Hestia
- Grupa Raben
- ING Bank Śląski SA
- InPost Sp. z o.o.
- Jeronimo Martins Polska SA
- Kaufland Polska Markety Sp. z o.o. Sp. j.
- Lidl Polska
- LPP SA
- Orange Polska SA
- Polpharma SA
- PKN ORLEN SA
- Polskie Sieci Elektroenergetyczne SA
- Santander Bank Polska SA
- Stena Recykling Sp. z o.o.
- T-Mobile Polska SA
- Żabka Polska Sp. z o.o.

Srebrny Listek CSR POLITYKI 2023



- GK AGORA SA
- Allegro Sp. z o.o.
- ArcelorMittal Poland SA
- Bank Ochrony Środowiska SA
- Carlsberg Polska Sp. z o.o.
- CEMEX Polska Sp. z o.o.
- Credit Agricole Bank Polska SA
- Danone Sp. z o.o.
- DPD Polska Sp. z o.o.
- Echo Investment SA
- EMITEL SA
- Eurocash SA
- Gdańsk Transport Company SA
- Global Cosmed SA
- GK CIECH SA
- GK Amica
- Grupa Kęty SA
- Grupa Żywiec SA
- Inter Cars SA
- Kompania Piwowarska SA
- KRUK SA
- Kuehne + Nagel Sp. z o.o.
- Lubelski Węgiel Bogdanka SA
- mBank SA
- PGE Polska Grupa Energetyczna SA
- Polenergia SA
- Provident Polska SA
- Schumacher Packing Sp. z o.o.
- Servier Polska Sp. z o.o.
- Sodexo Polska Sp. z o.o.
- Solaris Bus&Coach Sp. z o.o.
- SumiRiko Poland Sp. z o.o.
- TAURON Polska Energia SA
- UNIBEP SA
- Żywiec Zdrój SA

Biały Listek CSR POLITYKI 2023



- AB SA
- Adamed Pharma SA
- Bank Handlowy w Warszawie SA
- Bank Gospodarstwa Krajowego
- BASF Polska Sp. z o.o.
- BEST SA
- Brose Sitech Sp. z o.o.
- Budimex SA
- Capgemini Polska Sp. z o.o.
- Carrefour Polska Sp. z o.o.
- GK CD Projekt SA
- Dr. Schumacher Sp. z o.o.
- Cellnex Poland Sp. z o.o.
- CHEP Polska Sp. z o.o.
- Circle K Polska
- Enea SA
- Epson Europe B.V. Sp. z o.o.
- Fabryka Łożysk Toczących – Kraśnik SA
- Fabryki Mebli Forte SA
- Fiberhost SA
- FM Polska Sp. z o.o.
- Fujitsu Technology Solutions Sp. z o.o.
- Grupa Lubawa
- GK Neuca SA
- GK Comarch SA
- Grupa Skanska
- Grupa Veolia w Polsce
- Hochland Polska Sp. z o.o.
- KGHM Polska Miedź SA
- L'Oréal Polska Sp. z o.o.
- Lux Med Sp. z o.o.
- Makro Cash and Carry Polska SA
- PKO Bank Polski SA
- Rejonowy Bank Spółdzielczy w Lututowie
- Robert Bosch Sp. z o.o.
- Sanofi Polska
- Sephora Polska Sp. z o.o.
- Shell Polska Sp. z o.o.
- Signify Poland Sp. z o.o.
- SoftServe POLAND Sp. z o.o.
- Totalizator Sportowy Sp. z o.o.
- VIVE Textile Recycling Sp. z o.o.
- Volkswagen Poznań Sp. z o.o.
- Walstead Central Europe Sp. z o.o.
- Wirtualna Polska Holding SA
- Wunderman Thompson Technology Sp. z o.o.

na ścieżkę zrównoważonego rozwoju.

Złotymi Listkami wyróżniliśmy liderów ESG za ich konsekwentne wybieranie zrównoważonego rozwoju jako kluczowego elementu strategii biznesowych oraz relacji z interesariuszami. Te organizacje opierają swoje działania na najlepszych lokalnych i globalnych praktykach zarządzania, wzorując się na uznanych międzynarodowych standardach. Ważnym elementem ich strategii zrównoważonego rozwoju jest również regularne raportowanie działań w raportach pozafinansowych lub zintegrowanych, które są zgodne z międzynarodowymi standardami i niezależnie zweryfikowane. Ten aspekt będzie w najbliższym czasie zyskiwał na znaczeniu, ponieważ zgodnie z dyrektywą CSRD obowiązek raportowania

zrównoważonego rozwoju obejmie zdecydowanie większą liczbę podmiotów – 3 tys. zamiast 300 spółek obecnie – niż dotychczas już w sprawozdaniach za 2024 r. (ramka: Złoty Listek CSR POLITYKI).

Srebrne Listki przyznano przedsiębiorstwom, które w swojej codziennej działalności deklarują uwzględnianie większości kluczowych rozwiązań z zakresu zrównoważonego rozwoju. Te firmy wdrażają już wysokiej jakości rozwiązania i ujawniają informacje związane z ich działalnością w obszarze ESG. (ramka: Srebrny Listek CSR POLITYKI).

Z kolei Białe Listki otrzymały podmioty, które wdrażają już pewne istotne elementy zarządcze związane z obszarem ESG, ale ich działania wymagają jeszcze udoskonalenia, aby w pełni skutecznie i świadomie zarządzać wpływem firmy

Zielony Listek POLITYKI



- BNP Paribas Bank Polska SA
- Coca-Cola HBC Polska Sp. z o.o.
- Cellnex Poland Sp. z o.o.
- Danone Sp. z o.o.
- Epson Europe B.V. Sp. z o.o.
- Grupa ERGO Hestia
- Grupa Raben
- Grupa Skanska Polska
- InPost Sp. z o.o.
- Lidl Polska
- LPP SA
- Orange Polska SA
- Sanofi Polska
- Servier Polska Sp. z o.o.
- Signify Poland Sp. z o.o.
- SumiRico Poland Sp. z o.o.
- T-Mobile Polska SA
- Żabka Polska Sp. z o.o.
- Żywiec Zdrój SA

na otoczenie (ramka: Biały Listek CSR POLITYKI).

Wśród wyróżnionych firm ponad 90 proc. posiada aktualny, wdrożony i adekwatny dla działalności w Polsce dokument definiujący m.in. kierunki, priorytety, cele, mierniki i zadania związane z zarządzaniem firmą w sposób zgodny z ESG oraz społecznie odpowiedzialny. Ankietowane spółki w większości mają jasno zdefiniowaną strukturę zarządzania tym obszarem, a odpowiedzialność za realizację poszczególnych kluczowych wskaźników efektywności (KPI) dotyczących ESG spoczywa na jednym z członków zarządu aż 82 proc. z nich. Co dowodzi, jak strategiczne miejsce zajmuje zarządzanie obszarem zrównoważonego rozwoju w organizacjach.

Firmy uczestniczące w inicjatywie Listki CSR POLITYKI to liderzy zrównoważonego rozwoju w Polsce. 89 proc. z nich utworzyło kodeks etyki definiujący zasady postępowania biznesowego w firmie, który jest dostępny dla pracowników i innych interesariuszy spółki. W dokumencie wskazany jest sposób, w jaki firma zapobiega zachowaniom korupcyjnym oraz ryzykom nadużyć. Aż 82 proc. ankietowanych spółek wprowadziło kodeks etyki dla swoich dostawców, w którym zdefiniowane są m.in. zasady poszanowania praw człowieka oraz praw pracowniczych. Co więcej, 94 proc. ankietowanych stawia swoim dostawcom formalne wymagania pozafinansowe dotyczące

między innymi aspektów środowiskowych, zarządzania różnorodnością w organizacji czy bezpieczeństwa i higieny pracy.

– Z czasów, gdy działania dotyczące społecznej odpowiedzialności biznesu były raczej wynikiem dobrowolnych deklaracji, dotarliśmy do momentu, gdy aby dalej z sukcesem rozwijać swoją działalność, firmy muszą podejmować realne i mierzalne działania na rzecz klimatu, środowiska i zrównoważonej przyszłości. Z satysfakcją przyjmuję fakt, że doraźne, jednorazowe działania ustępują miejsca tym, które mogą przynieść realną, systemową i trwałą zmianę. Widać to zarówno w analizie odpowiedzi ankietowanych firm, jak i w zgłaszanych w przeglądzie praktykach – powiedziała Irena Pichola, partner w Deloitte, lider zespołu ds. zrównoważonego rozwoju w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej, podsumowując kolejną edycję Listków CSR POLITYKI.

Bioróżnorodność i klimat

W tym roku zadaliśmy firmom szereg pogłębionych pytań dotyczących ich zarządzania ryzykami oraz szansami związanymi z bioróżnorodnością. Jak wskazuje World Economic Forum (WEF), utrata bioróżnorodności to jedno z najpoważniejszych zagrożeń następnej dekady. Według ekspertów WEF obecne tempo wymierania gatunków jest dziesiątki do setek razy wyższe

niż średnia z ostatnich 10 mln lat. W związku z tym jednym z ogromnych wyzwań stojących przed przedsiębiorstwami jest zmierzenie wpływu ich działalności na naturę, a także odpowiednie przygotowania i adaptacja do konsekwencji utraty bioróżnorodności oraz zapobieganie jej postępowaniu. Podczas gdy aż 89 proc. ankietowanych przedsiębiorstw deklaruje posiadanie sformalizowanego podejścia do zarządzania kwestiami wpływu na środowisko i ochrony środowiska, to już tylko 48 proc. spółek zobowiązało się do podjęcia działań związanych z bioróżnorodnością. Z kolei 30 proc. analizuje i ocenia wpływy i zależności swojego łańcucha wartości w kontekście bioróżnorodności. W wielu branżach, chociażby tekstylnej czy energetycznej, odpowiednio podejście do kwestii bioróżnorodności powinno być kluczowym elementem strategii biznesowych.

Dlatego kontynuujemy rozpoczętą w ubiegłym roku praktykę przyznawania Zielonych Listków POLITYKI firmom, które wyróżniają się działaniami dążącymi do neutralności klimatycznej. Ponownie wyróżniliśmy firmy, dla których redukcja ich negatywnego wpływu na klimat, zapobieganie zmianom klimatu oraz adaptacja do nich są strategicznymi elementami działań biznesowych. Co więcej, odpowiedzialność za zarządzanie wpływem działalności biznesowej na klimat jest przypisana do jednego z członków zarządu. Wyróżnione firmy posiadają także strategię adaptacji do zmian klimatycznych, uwzględniające jasno zdefiniowane działania, które mają doprowadzić organizację do osiągnięcia celu redukcyjnego zdefiniowanego w ramach Porozumienia paryskiego.

W tym roku wyróżniliśmy przedsiębiorstwa, które nie tylko w wiarygodny sposób mierzą swój ślad węglowy, stosując uznaną metodę liczenia GHG Protocol w zakresie 1 i 2, czyli dotyczącym bezpośrednio działalności ich organizacji, ale także uwzględniają zakres 3,

czyli emisje pochodzące z całego łańcucha wartości firmy. Laureaci tegorocznych Zielonych Listków poddają kalkulację swojego śladu węglowego zewnętrznej weryfikacji oraz ustalają cele neutralności klimatycznej w obrębie redukcji emisji gazów cieplarnianych zgodne z uznaną międzynarodowo metodyką Science Based Targets Initiative (The SBTi) (ramka Zielony Listek POLITYKI).

Pomimo zastrzeżeń kryteriów oceny w tegorocznej edycji więcej firm zostało nagrodzonych zarówno Złotymi, jak i Zielonymi Listkami. Z drugiej strony dostrzegamy, że zmiany zachodzą zbyt wolno. Tylko 49 proc. wdrożyło strategię dekarbonizacji zgodną z SBTi, a jedynie 36 proc. potwierdza wiarygodność mierzonych emisji z łańcucha wartości organizacji. – *Musimy pamiętać, że w wyniku regulacji już w styczniu 2024 r. banki będą bardziej wnikliwie analizować dane ESG – takie jak np. ślad węglowy czy posiadanie strategii dekarbonizacji. Równie ważna będzie rzetelna weryfikacja ujawnianych danych. Z tego względu podejmowane decyzje instytucji finansowych dotyczące finansowania działalności gospodarczej będą w dużej mierze zależne od zaangażowania i strategicznych decyzji biznesowych firm w obszarze ESG* – podkreśliła Maria Ibisz, senior manager w zespole ds. zrównoważonego rozwoju w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej Deloitte.

Coraz lepsze praktyki

Od lat Listkom CSR POLITYKI towarzyszy przegląd inicjatyw wspierających realizację Celów Zrównoważonego Rozwoju. W tym roku, podobnie jak w poprzednim, poprosiliśmy firmy o podzielenie się dobrymi praktykami, które dotyczą Celu 12, dotyczącego odpowiedzialnej konsumpcji i produkcji oraz Celu 13, dotyczącego ochrony środowiska naturalnego i klimatu.

– *Biznes w Polsce coraz lepiej rozumie znaczenie realizacji*

Wyróżnione dobre praktyki:

- **Carlsberg Polska Sp. z o.o.** – innowacyjna butelka Fibre Bottle
- **Cemex Polska Sp. z o.o.** – Vertuo® – niskoemisyjne cementy, obniżające ślad węglowy
- **GK CIECH SA** – wdrożenie innowacyjnej technologii odzysku soli wypadowej
- **Grupa Raben** – wykorzystanie w przewozach 40-tonowych elektrycznych ciężarówek
- **Emitel SA** – projekty Smart City
- **Energa SA Grupa Orlen** – planeta Energii: wdrożenie inteligentnej sieci AMI Tetra oraz Domy Dobrej Energii
- **FABRYKI MEBLI „FORTE” SA** – „Bądź eko! Oddaj stare meble do recyklingu”
- **InPost Sp. z o.o.** – projekt Green City
- **INTER CARS SA** – BioService – platforma pomagająca warsztatom w utylizacji odpadów
- **Lidl Polska** – ekoeksperymentarium – promocja zrównoważonej konsumpcji oraz realizacja strategii klimatycznej w oparciu o metodologię SBTi
- **LPP SA** – ograniczenie emisyjności obiektów LPP – zwiększenie udziału OZE w zasilaniu
- **Żabka Polska Sp. z o.o.** – zamknięcie obiegu surowców w sklepach Żabka



Firmy na rzecz Ukrainy i uchodźców

Po raz kolejny wyróżniliśmy firmy, które kontynuują działania wspierające walczącą Ukrainę oraz uchodźców z tego kraju. Doceniliśmy przede wszystkim te praktyki, które mają charakter długofalowy, a nie jednorazowy. Oto firmy wykazujące się inicjatywą, zaangażowaniem, wolontariatem pracowniczym, specjalnymi usługami bankowymi oraz pomocą rzeczową:

- **Bank Millennium SA**
- **Enea SA**
- **Grupa ERGO Hestia**
- **Jeronimo Martins Polska SA**
- **Lidl Polska**
- **Provident Polska SA**
- **Santander Bank Polska SA**
- **SoftServe Poland Sp. z o.o.**

Celów Zrównoważonego Rozwoju dla zmiany świata w kierunku, którego wszyscy potrzebujemy. Zarówno w kontekście przeciwdziałania zmianom klimatu i utracie bioróżnorodności, jak i wzmocnienia spójności społecznej czy też wdrażania i wzmocnienia regulacji, wprowadzania rozwiązań systemowych. A także partnerstwu sektorowych i międzysektorowych, niezbędnych dla skutecznej realizacji SDGs – podkreśla Marzena Strzelczak, prezeska, dyrektorka generalna Forum Odpowiedzialnego Biznesu, członkini zarządu CSR Europe. Jej zdaniem dziś, jak nigdy, potrzebujemy

zaangażowania i odpowiedzi biznesu na kryzys związany z rosnącymi kosztami utrzymania, a więc i pogłębiającymi się nierównościami, a także rosnącą polaryzacją społeczną. Wagę ryzyk spod znaku „S” w ESG potwierdzają, między innymi, wyniki „European Sustainable Industry Barometer” opracowanego przez CSR Europe i Moody’s. Aż 64 proc. istotnych aspektów oddziaływania firm dotyczy właśnie obszaru społecznego.

ALEKSANDRA KOWALSKA-LABRAIKI,
OLGA KOWALSKA (DELOITTE),
WSPÓŁPRACA
ZOFIA LEŚNIEWSKA

Partnerami Listków CSR POLITYKI są:

Deloitte



Międzys Serbia

Wielu Rosjan uciekło z kraju na Bałkany, widząc w Serbach bratni naród. Poczucie więzi może pozostało, ale serbskie interesy są już na Zachodzie.

ZIEMOWIT SZCZEREK Z BELGRADU



Serbia to kraj prorosyjski – tak uważa Zachód. Bo prawosławie, cyrylica, bo tradycyjne sympatie sięgające jeszcze czasów otomańskich. Bo zadawniony konflikt z Zachodem – jak nie o Bośnię czy Kosowo, co skończyło się bombardowaniem Serbii przez NATO w 1999 r., to o korupcję czy o postępy autorytaryzmu w Belgradzie.

Za prorosyjską uważa Serbię również wschód Europy, na czele z samą Rosją. To na Bałkany przecież ruszyły tłumy Rosjan uciekających przed wojną i zakładających, że wśród tradycyjnie przychylnych im Serbów nie będą obiektem niechęci. Efekt jest m.in. taki, że w Belgradzie ceny nieruchomości poszły mocno w górę. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana.

– *Rosjanie?* – krzywi się Dragan, belgradczyk pracujący przy wynajmie mieszkań. – *Fakt, ceny przez nich wzrastają. Dla biznesu nieruchomości to może zysk, ale dla ludzi? Jasne, w narodzie jest do Rosjan sympatia. Tym bardziej*

że Zachód zrobił wiele, żeby nas do siebie zniechęcić. Ale wszyscy przecież w Serbii doskonale wiedzą, że sama Rosja to skorumpowany kraj, który się gospodarczo i infrastrukturalnie wali. A Zachód, jakkolwiek by nas drażnił, to jest co innego.

Dragan dawniej, jeszcze przed covidem, organizował koncerty jazzowe w Belgradzie. Ale potem knajpy popadały i teraz musi dorywczo zajmować się pracą dla właścicieli nieruchomości. – *Spełniam wszystkie wymogi bycia sfrustrowanym Serbem* – śmieje się. A według liberalnych, również i serbskich, narracji to właśnie frustracja łapie zarówno całe państwo, jak i ich poszczególnych obywateli na prorosyjski lep „buntu” przeciwko Zachodowi i zachodniej integracji. – *I faktycznie jestem sfrustrowany. Ale przecież, jebote, nie pojechałbym mieszkać do Rosji ani bym nie chciał mieć z tym krajem za wiele wspólnego. Zresztą – macha ręką – widziałeś, jak oni parkują? Wielkie suwy na trawnikach, na miejscach dla inwalidów!*



„Brat” – zniszczony mural w Belgradzie przedstawiający rosyjskiego prezydenta Władimira Putina.

© APEAST NEWS

To oczywiście stereotyp. Trudno zresztą powiedzieć, by kwestia przestrzegania zasad ruchu drogowego była w Serbii traktowana priorytetowo. Poza tym sami Rosjanie nie są w Belgradzie aż tak widoczni jak, powiedzmy, Ukraińcy w Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu. Jest ich jednak sporo i mają na miasto wpływ: wzrost cen nieruchomości to tylko jeden z aspektów ich obecności.

Na Rosjanach zarabiają nie tylko rentierzy i deweloperzy, ale też właściciele restauracji czy sklepikarze. Uciekinierzy z Rosji z zasady nie są biedni – stać ich było na wyjazd z kraju i mają oszczędności na wielomiesięczne życie na obczyźnie. To często dość bogata, wielkomiejska klasa średnia. A w Belgradzie żyje się o wiele bardziej „na ulicy” niż w Moskwie, Petersburgu czy Nowosybirsku: siedzi w kawiarniach, jada w jadłodajniach.

Nawet jednak liberalni Serbowie rzadko mają jednoznaczną opinię na temat rosyjskich uciekinierów. W końcu wielu

z nich nie tylko kryje się przed wojskiem: całkiem sporo rosyjskich nowych Bałkańczyków nie może patrzeć na rosyjską Zet-propagandę, a nawet – jak mieszkający w czarnogórskiej Budwie Marat Gelman, dawny proputinowski działacz – zajmują się pomocą Ukraińcom.

W liberalnym Belgradzie często można usłyszeć opinię, że to nie Rosja, tylko Zachód może zaoferować cokolwiek Serbii. Ba, że rozumie to również niecierpiany w tych kregach prezydent Aleksandar Vučić. Ale Serbia często po prostu nie ma wyboru, jak tylko balansować pomiędzy mocarstwami.

Rosja czuje do Bałkanów tradycyjną sympatię, ale jej ręce są zbyt krótkie, by choćby skutecznie przeprowadzić zamach stanu w maleńkiej Czarnogórze (próbowała w 2017 r.), uratować przed upadkiem rząd swoich prawicowych sojuszników w Macedonii czy przynajmniej wpłynąć na los Serbów w Kosowie. Chiny są za daleko, a Unia Europejska – jasne, jest na miejscu, daje pieniądze, ale też trzyma ich kraj od dawna w kandydackim przedpokoju. A jeśli chodzi o NATO, to cóż, bliźny po bombardowaniach z 1999 r. nadal się nie zagoiły.

– *Nie mogliśmy uzyskać łatwego dostępu do zachodnich szczepionek na covid, nic dziwnego, że Vučić zwrócił się do Chin. Co miał zrobić?* – mówi chcąc zachować anonimowość belgradzka znajoma, liberalna i prozachodnia, jak tylko się da. – *Poza tym krytycy Zachodu też mają swoje racje: ileż można znosić to zachodnie pouczenie, nakazy i zakazy w każdej kwestii?*

Poczucie, że Unia i NATO tańczą po świeżych bałkańskich ranach, jest naprawdę duże, również wśród elity. Taki, dajmy na to, Jovo Bakić, znany serbski intelektualista i profesor na wydziale filozofii w Belgradzie – mimo że zaprzysięgły krytyk władzy Vučića, pozycji serbskiej Cerkwi i nacjonalistycznej prawicy, którą oskarża o oglupianie ludzi – choć niechętny Putinowskiej Rosji z jej ruskim mirem, to w niedawnym wywiadzie dla krytycznego wobec władzy „Vreme” zżymał się na „imperialistyczną politykę USA” oraz „bardzo agresywne NATO”.

Jeśli więc tak widzą rzeczywistość serbscy prozachodni liberałowie, łatwo wyobrazić sobie, jak ona wygląda z perspektywy wyborców partii bardziej prawicowych czy tych tęskniących za socjalizmem. Jeśli dodać do tego mocno prorosyjską narrację mediów (w dużej części przejętych przez ludzi związanych z władzą), to skala rosyjskiej *soft power* w Serbii jest naprawdę duża.

Nedim Sejdinović, serbski dziennikarz i felietonista zajmujący się m.in. relacjami międzynarodowymi Serbii, zauważa jednak, że skala ta może być celowo zawyżana przez propagandę rządu Vučića. – *Celem tej propagandy jest wysłanie przez Vučića do Zachodu wiadomości, że społeczeństwo serbskie jest prorosyjskie, że rosyjskie wpływy są ogromne i że tylko on może je stłumić, utrzymać pod kontrolą. Czyli: utrzymać Serbię na europejskim kursie* – uważa Sejdinović.

Nie zmienia to jednak faktu, ciągnie Sejdinović, że wpływy Zachodu są w Serbii nieporównywalnie większe: – *Obywatele głosowali przeciw na rządzącą Vučićowską Serbską Partię Postępu m.in. dlatego, że niezależnie od prorosyjskiej retoryki podkreślała ona również wagę dobrych relacji z Europą.*

Rosyjskie wpływy silniejsze są tam, gdzie Serbowie czują się „stłamszeni” przez Zachód. Czyli tam, gdzie Belgrad nie ma – przynajmniej teoretycznie – bezpośredniej władzy: w Kosowie i w Republice Serbskiej w Bośni. W tym pierwszym, w centrum Kosowskiej Mitrowicy, największego ►

► serbskiego miasta w Kosowie, podzielonego rzeką Ibar na część serbską i albańską, już od lat w oczy bije wielki mural z napisem „Krym to Rosja, Kosowo to Serbia”, tu i ówdzie można znaleźć portret Putina.

W Bośni z kolei Moskwa wspiera Milorada Dodika, lidera bośniackich Serbów, który regularnie grozi secesją zamieszkałej przez Serbów części państwa od tej, w której dominują Boszniacy (muzułmanie z Bośni) i Chorwaci. Dodika, kosowskich Serbów i – ogólnie – rosyjską narrację polityczno-społeczną wspiera również serbska Cerkiew, i to we wszystkich zwarcie zamieszkałych przez Serbów krajach: więc nie tylko w Bośni i Kosowie, ale i w Czarnogórze.

Wplywy Rosji w samej Serbii są jednak, według Sejdinowicia, wyolbrzymione. Mimo że udaje jej się czasem wpłynąć na serbską politykę – *vide* wejście do rządu posiadającego świetne relacje z Kremlem Iwicy Dačića. – *Rosji zależy na tym, żeby pokazywać Zachodowi, jaka jest potężna w Serbii* – twierdzi Sejdinović. – *Ale tak naprawdę Serbia jest przeciw otoczonej przez NATO i zależna gospodarczo od Unii*. Felietonista dodaje, że w kontekście agresji na Ukrainę rosyjska *soft power* osłabła nawet w Serbii, bo przecież okazało się, że rosyjska armia wcale nie jest taka potężna.

O oddalaniu się od Kremla świadczą chociażby serbskie próby uniezależnienia się energetycznego. Jeszcze w 2008 r., za prezydenta Borisa Tadića, Serbia podpisała z Rosją umowę o długoletniej współpracy energetyczno-politycznej, dzięki której m.in. Gazprom przejął najważniejszą serbską spółkę naftową NIS. A wszystko to w zamian za coś, co Rosja robiłaby i tak: za wspieranie interesów Serbii wobec Zachodu.

Ponadto rosyjski wywiad zainstalował się w Serbii, korzystając m.in. z przykrywki rosyjsko-serbskiej instytucji humanitarnej. Mimo bliskich, zdawałoby się, relacji obu wywiadów wciąż dochodzi do tarć, brakuje zaufania. Tak było np. w 2019 r., gdy okazało się, że rosyjskie służby werbują na swoich agentów serbskich oficerów. „Mam tylko jedno pytanie do rosyjskiego ambasadora: dlaczego?” – dramatycznie żalił się wtedy publicznie prezydent Vučić.

Rosjanie faktycznie mogą mieć powody, by szpiegować Serbów. Wystarczy przypomnieć, że Belgrad już od dawna sprzedaje broń Ukrainie. Gdy w lipcu 2022 r. w Grecji rozbił się ukraiński samolot transportowy przewożący serbską broń, sprawę w Belgradzie próbowano tuszować, nie zawsze finezyjnie. W rezultacie do Serbii przestało docierać zamawiane w Rosji uzbrojenie. Docierają natomiast agenci słynnej Grupy Wagnera, którzy werbują serbskich ochotników do walki po rosyjskiej stronie w Ukrainie, co wywołuje oficjalną furię serbskich władz.

„Nie przeprowadza się takiej rekrutacji w przyjaznym kraju” – grzmiał prezydent Vučić, po czym zapowiedział, że każdy obywatel Serbii, który został zwerbowany przez Rosjan do walki w Ukrainie, zostanie po powrocie do kraju aresztowany. Do aresztu przy okazji trafiło kilku zbyt głośnych prorosyjskich aktywistów, m.in. Damjan Knezević, lider skrajnie prawicowego Narodowego Patrolu, powiązany z Grupą Wagnera.

Większość Serbów popiera rosyjską narrację o wojnie w Ukrainie. Ale jednocześnie nawet lojalne wobec Vučića media zaczynają być rozczarowane brakiem rosyjskich sukcesów na froncie. Co jakiś czas w Serbii odbywają się co prawda prorosyjskie manifestacje, a zdecydowana większość Serbów nie zgodziłaby się na wstąpienie do Unii Europejskiej, gdyby miała się wyzbyć roszczeń do Kosowa. Ale z drugiej strony przytaczane przez Ośrodek Studiów Wschodnich badania wskazują, że dla Serbów ważniejsze od politycznych są interesy ekonomiczne – tak wskazuje 47 proc. pytanym, a sprawy polityczne (Kosowo) za najistotniejsze uważa tylko 23 proc.

Ale nawet serbskie elity wiedzą swoje. – *Czy naprawdę myślisz, że Grecja, Rumunia i Bułgaria były lepiej przygotowane do wejścia do UE niż Serbia?* – prycha wspomniana już prozachodnia belgradzka intelektualistka. I powiela dającą się słyszeć co jakiś czas w Serbii ludową hipotezę: – *Zachód generalnie nie przyjmuje do swojego grona prawosławnych państw. Grecję musiał, a Bułgaria i Rumunia są murem brończym Europę przed Rosją*.

Nie zmienia to faktu, że sytuacja Vučića jest nie do pozazdroszczenia. Ten dawny propagandysta oskarżanego o zbrodnie wojenne Slobodana Miloševića i były współpracownik Vojslava Šešelja, skrajnego nacjonalisty, również oskarżonego o bycie wojennym zbrodniarzem, być może wołałby skrócić w stronę rosyjskiego czy może nawet chińskiego autorytaryzmu. Odrzucić reguły, którymi kieruje się Zachód i zerwać z nim. Ale co by mu to dało?

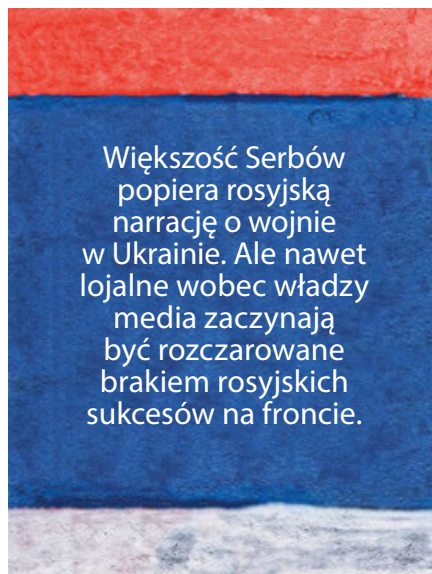
Pieniądze z Unii przestałyby płynąć, a szanse na odzyskanie zarówno Kosowa, jak i serbskiej części Bośni pozostałyby właściwie zerowe. Zachód już raz, w 1999 r., powstrzymał serbski atak na Albańczyków, a dziś – zbrojąc i wspierając Ukrainę – stara się powstrzymać Rosję. To pokazuje, czym najpewniej skończyłyby się jakiegokolwiek próby serbskiej irredenty w regionie. Serbia nie ma tu szans, nawet gdyby zaczęła się odwoływać do tradycji średniowiecznego cara Stefana Duszana, kiedy to rządziła połową Bałkanów.

Iнна sprawa, że również Zachód, a szczególnie Europa, też nie bardzo wie, co zrobić z Belgradem. Gdy Bruksela utrzymywała twarde kurs antykorupcyjny, oskarżano ją o „imperializm ideowy” i próby wprowadzania swoich porządków tam, gdzie nie są „naturalne”. Kiedy dziś Bruksela trochę

spuściła z tonu i skupiła się na współpracy gospodarczej z Serbią, odpuszczając sprawy polityczne, zarzuca się jej (słusznie zresztą), że petryfikuje autokratyczny system, doprowadzając do bogacenia się serbskich skorumpowanych elit.

Może więc Serbię trzeba po prostu zostawić na jakiś czas w spokoju? Dziś jej władze zdają się nawiązywać do Titowskiej jeszcze tradycji ruchu państw niezaangażowanych – Serbia kręci się pomiędzy wielkimi centrami cywilizacyjnymi, nie mogąc nigdzie znaleźć oparcia. I choć Vučićowska propaganda głosi, że taka „polityka balansowania” jest źródłem wielu serbskich sukcesów, to owo balansowanie odbywa się jednak ze wskazaniem na Zachód. Tym silniejszym, im bardziej Rosja pograża swoją gospodarkę i armię w ukraińskich stepach.

ZIEMOWIT SZCZEREK



Były wiceminister spraw zagranicznych Sergiusz Najar o tym, jakim kłopotem są nasze niby otwarte granice. Dlaczego sprawiają, że nie potrafimy dogadywać się z sąsiadami, co kończy się takimi sporami jak ten w Turowie czy w sprawie Odry.

Niewolnicy granic

JĘDRZEJ WINIECKI: – **Mieszka pan teraz w Czechach, tuż przy granicy.**

SERGIUSZ NAJAR: – Sporo stąd widać. Zwłaszcza to, jak obojętnie Polska traktuje swoje unijne pogranicza, skazując je na rolę peryferii.

Jak w prognozie pogody: krańce zachodnie. A za nimi nic.

Te peryferie mają się poświęcać przede wszystkim drobnej wytwórczości i turystyce, ma być cicho, ładnie i spokojnie. W konsekwencji ich mieszkańcom nie daje się praw, które ma interior. Bo nasze państwo nie dba o to, by jego granice nie

były barierami dla mieszkańców przestrzeni transgranicznej. Sprawdzałem to w badaniach, na potrzeby prac naukowych, analiz i publikacji. Na pograniczach Polski z Niemcami, Czechami oraz – tam zaludnienie jest mniejsze – Słowacją i Litwą żyją w sumie setki tysięcy osób, które są w stanie pojechać za granicę, pozałatwiać swoje sprawy – bo się uczą, pracują, kupują, świadczą usługi lub chcą się zabawić – i tego samego dnia wrócić do domów. W okolicach Szczecina są jeszcze Polacy mieszkający po niemieckiej stronie. Nie ma jakiegś ▶

► konkretnej odległości określającej strefę transgraniczną, wyznacznikiem jest dystans, który sami zainteresowani uznają za racjonalny. Czesi, Niemcy czy Słowacy jeżdżą do Polski na zakupy po 100 km w jedną stronę, Polacy 80 km do pracy. Licząc z najbliższymi członkami rodzin, dodając jeszcze np. Niemców przyjeżdżających do Polski w celach rekreacyjnych, Polaków mieszkających za Odrą i pracujących w Polsce itd., to nawet 3 mln osób może regularnie korzystać z tej przestrzeni. A pewnie jest ich jeszcze więcej, bo kto zabroni mieszkańcom Wrocławia, Katowic czy Szczecina też tak jeździć.

Jeżdżą, bo działa Schengen.

Byłem w zespole negocjującym wejście Polski do Unii Europejskiej w 2002 r. Jako wiceminister spraw zagranicznych z szefem czeskiego MSZ uczestniczyłem we wrześniu 2004 r. w otwarciu mostu na rzece Orlica. Po obu stronach nie było miejsca na punkt paszportowy i celny, więc dzień po uroczystości położono na moście wielką kłodę drewna i przez kolejne parę lat stał sobie zamknięty.

Dla wszystkich, niezależnie od pokolenia, pierwszą namacalną konsekwencją członkostwa była nadzieja, że granice przestaną być kłopotem, traumą związaną z formalnościami, kontrolami, pozyskaniem walut, koniecznością uzyskiwania zaproszeń czy wiz. Nie przez przypadek 1989 r. bywa ilustrowany zdjęciami podnoszonych szlabanów, zwijania drutów kolczastych i likwidacją pól minowych, które rozłożono na pograniczu czesko-niemieckim czy węgiersko-austriackim. I niby jesteśmy w Unii i Schengen od tyłu lat, a mnóstwo rzeczy się nie zmieniło, pozostała praktyka urzędnicza i przywiązanie do formalizmów.

Jakich?

Najprostszy przykład: po czeskiej stronie pokazywano bardzo ciekawą wystawę, a szkoła z polskiego pogranicza chciała ją obejrzeć. Jednak żeby tak się stało – tak jest także w przypadku jakichkolwiek wspólnych lekcji, zajęć sportowych albo podjęcia dowolnej inicjatywy ze szkołą niemiecką, czeską lub słowacką – dyrektor musi potraktować wyjście czy wyjazd jako wycieczkę zagraniczną. Zgodnie z obowiązującym zarządzeniem ministra edukacji musi więc wpisać ją do swojego planu rocznego, wynająć autokar spełniający wymogi związane z wyjazdem zagranicznym. Grupa musi mieć przewodnika, dzieci – ubezpieczenie i dokumenty podróży, czyli co najmniej dowody osobiste

i Europejską Kartę Ubezpieczenia Zdrowotnego. Skończyło się na tym, że rodzice przyjeżdżali z dziećmi w weekendy, oczywiście tylko ci, których było na to stać i znaleźli czas. Dom wariatów. Tym większy, że często te szkoły dosłownie się widzą, nauczyciele i uczniowie się świetnie znają.

Skąd to się bierze?

Z centralizmu. Granica polsko-czeska ma 800 km i ok. 80 przejazdów po drogach publicznych. Przy czym tylko trzy z nich nie są ograniczone wagowo. Tylko w Harrachovie, Kudowie i na autostradzie w Boguminie mogą jechać w pełni załadowane tiry, na pozostałych takiej możliwości nie mają, w wielu miejscach wyznaczono limity 3,5 tony, 6 lub 9 ton, mimo że te drogi takich ograniczeń nie wymagają.

Międzynarodowe przejście graniczne jest kategorią prawną, jest wyznaczane przez oba państwa. Ruch musi się więc odbywać albo mniejszym transportem, co podnosi koszty i jest logistycznym utrapieniem, albo trzeba jechać do dużych przejść, spalać więcej paliwa, niszczyć środowisko i stwarzać inne zagrożenia. W teorii niby obowiązują swobody, a w praktyce trzeba liczyć się z dużymi ograniczeniami, które dla aktywności ekonomicznej takiej jak przewóz towarów, materiałów budowlanych czy – ostatnio o nich głośno – zbóż są dojmujące.

Przynajmniej tiry nie rozjeżdżają małych miejscowości.

To argument przewrotny, bo podczas dojazdu do dostępnych przejść rozjeżdża się znacznie więcej innych małych miejscowości. Tymczasem te drogi spełniają wszelkie warunki techniczne dla transportu ciężkiego, ale ogranicza je tylko kreska na mapie oraz przyzwyczajenia mieszkańców, co prowadzi do tzw. prywatyzacji granicy, jak ostatnio koło Chełmska Śląskiego, gdzie mieszkańcy stawiają własne, zamykane na kłódkę szlabany, by uniemożliwić przejazd po drodze leśnej.

Granice w pandemii wróciły.

Wtedy zamykano bez uprzedzenia i zupełnie bez refleksji. Blokada granicy oznaczała wyrzucenie 100 tys. Polaków z czeskich zakładów pracy i pewnie 100 tys. z niemieckich. Ludzie stracili możliwość zarabiania, dojazdu do fabryk, choć błagano, przekonywano, a i tak było zamknięte przez prawie cztery miesiące. To było tak traumatyczne, że dziś wielu czeskich fabrykantów ma opory w przyjmowaniu Polaków do pracy. Obowiązywały żelazne zasady stanu

wojennego, granicy pilnowało uzbrojone wojsko. POLITYKA pisała wtedy, że całej granicy z Czechami strzeże 8 tys. polskich żołnierzy, z bronią maszynową, w hełmach, jak na wojnie. Nie wolno się było zbliżać, nie mówiąc o przekroczeniu. W jednym miejscu na Opolszczyźnie polscy żołnierze oddali strzały w powietrze, gdy jakiś pijany gość dla hecy próbował przejść na polskie terytorium.

Przebieg sytuacji był ekstremalny.

W innych miejscach w Europie nie było takich historii, co pokazuje, jak łatwo stracić głowę i nie przewidzieć skutków swoich decyzji. Problem granic Polski był także bolesny dla innych. Zwłaszcza zamknięcie granicy polsko-niemieckiej stało się kłopotem dla Litwinów, Łotyszów i Estończyków, którzy po 16 marca 2020 r. próbowali wracać do swoich krajów. Czesi, którzy przez lotniska we Wrocławiu i Katowicach polecili na wakacje, najpierw długo nie mogli wrócić, a później zabrać swoich samochodów z parkingów przy lotniskach. Po pięciu miesiącach pozwolono im je odebrać, jechali w kolumnie i pod nadzorem policji. Ale jak zamykano granice, to Warszawy nie bolało. Odczuła koszty dopiero, gdy nie można było latać, bo to jest właśnie warszawska, a tym samym rządowa perspektywa: lotnicza, w pierwszej kolejności interesują ją loty do miast europejskich.

Iluzja granic? Niby ich w Unii nie ma, a jak trzeba, to szybko wracają.

Nadal czekają na nich opustoszałe posterunki straży granicznej i służb celnych. Nie wiadomo, co z nimi robić, niszczyć, a mogłyby być wykorzystane na wspólne szkoły czy przedszkola, domy pomocy, można oddać je turystom lub samorządom. Stoją, bo może będzie trzeba znowu granicę uruchomić. Tym bardziej że w obecnej atmosferze nacjonalizmu, pielęgnowania poczucia zagrożenia, grania na różnicach i wywoływania niechęci – Polska ma tu spore doświadczenia – to granice mogą wrócić, także w emocjach i interesach politycznych.

Dlaczego granice są tak silnym fetyszem?

W Polsce lubimy się grodzić. Parawano na plaży, kosztmarne parkany wokół „rezydencji”, zamknięte kondominia, ogrodzone enklawy zamożności, razem to tworzy kontekst i atmosferę. Czy to jest cecha wyłącznie polska? Pewnie nie, ale aż z taką lubością do ogrodzeń nie spotykamy się w kulturach śródziemnomorskich, nordyckich czy na zachodzie Europy. Pewnie każdy lubi poczucie bezpieczeństwa, ale nie wszędzie oznacza

to szczelne zamykanie się na swojej własności. Prof. Przemysław Czapliński w „Poruszanej mapie” pisze, że nie do końca wiemy, gdzie leżymy i gdzie jesteśmy. Polska czuje się w swoich granicach widocznie niepewnie i tkwimy w rozdwojeniu – czy jesteśmy Wschodem Zachodu, czy Zachodem Wschodu, czy należymy do bogatej Północy, czy uboższego Południa?

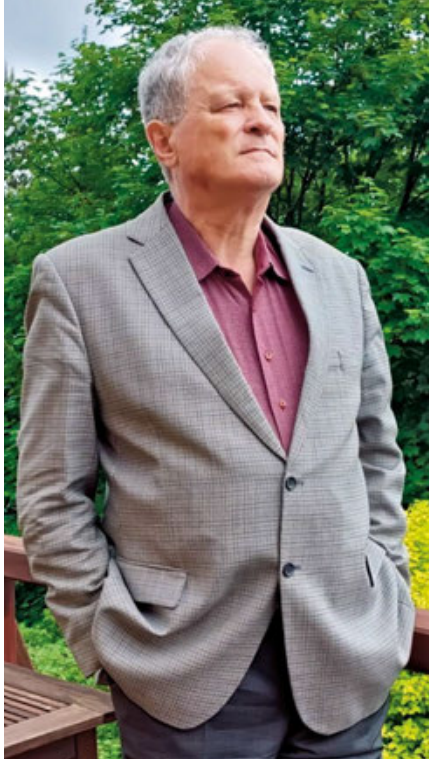
To gdzie jesteśmy?

Dostaliśmy w 1945 r. granice jałtańsko-poczdamskie, które były nam nadane: zachodnie i wschodnie (z korektą Stalina w 1951 r.), zupełnie nowe i sztuczne, południowe zgodne z liniami prusko-austriackimi z XVIII w. lub w części postwersalskie. To wyzwanie także dla mieszkańców pogranicza przybyłych na Ziemię Zachodnią po 1945 r. Mieszka ją tam niespełna 80 lat. Po czeskiej stronie to też w większości nowi mieszkańcy, napłynęli po wysiedleniu tzw. Niemców Sudeckich. Przywykli, że latami wszystko było zamknięte, że po drugiej stronie są nieznanymi i obcy, długo nie było możliwości, a później nastroju do budowania z nimi więzi.

Choć od 20 lat aktywnie działają Euroregiony, są specjalne fundusze transgraniczne typu Interreg, to wszystko za mało. Nawet na znakach drogowych ktoś uznaje za istotne, by informować kierowców o odległościach nie tylko do miejscowości, ale także do – pisanej wielkimi literami – „Granicy Państwa”, jakby to był cel czyjejkolwiek podróży. W Unii granice powinny zostać kreskami na mapie, a w rzeczywistości osobistej, konsumenckiej, przedsiębiorczej czy kulturowej muszą być tak samo istotne jak granice województw czy powiatów.

Mało patriotyczne.

Do tego to wszystko zmierza, tylko tak można odpowiedzieć na dążenia ludzi, potrzeby ekonomii, poszukiwania efektywności w obrocie towarów i inwestycjach. Ludzie się ruszają, szukają najmiłszej i najwygodniejszej formy życia. Temu służą cztery wielkie swobody europejskie: przepływu towarów, kapitałów, usług i ludzi, których musimy strzec jak oka w głowie. W przestrzeni transgranicznej 2 plus 2 może równać się 5, bo kto pokona granicę i działa po obu jej stronach, staje się znacznie bardziej konkurencyjny niż ten, kto działa w interiorze. Ten fenomen to globalizacja, czyli globalizacja plus lokalność. Tacy niby lokalni przedsiębiorcy dodają do tego możliwości cyfrowe i już mają ambicje międzynarodowe, prawie że globalne. Brytyjczycy



© MARIA T. NAJAR

Sergiusz Najar, były prezes i dyrektor banków polskich i czeskich. W latach 2002–05 wiceminister w ministerstwach infrastruktury i spraw zagranicznych. Był członkiem zespołu negocjującego członkostwo Polski w Unii Europejskiej. Jest doradcą ekonomicznym, mieszka w Polsce i Czechach, niedaleko granicy z Polską.

byli jakoby szczęśliwi z brexitu, a teraz wiedzą, w jakim znaleźli się koszmarze. Granica nie powinna być widzialna ani nawet odczuwalna, choć państwa dalej będą zarządzały swoimi przestrzeniami – na pewno utrzymają prawa krajowe, własne podatki, w tym pewnie VAT. Otwarcie wcale nie zniesie różnic, Hiszpanie będą się różnić od Portugalczków, Austriacy nie zostaną lądem Niemiec, Czesi nie nawrócą się masowo na katolicyzm, Polacy się nie złaicyzują.

W przypadku kopalni i elektrowni Turów nie jest tak łagodnie, Czesi twierdzą, że ponoszą z powodu ich działalności duże szkody.

To dobry przykład transgraniczny: gdyby coś podobnego działo się w środku Polski, sprawy nigdy nie potoczyłyby się tak daleko i tak niekorzystnie dla okolicznych mieszkańców Polski, Czech i Niemiec. Ale skoro problemy zgłasza zagranica, to mamy ją w nosie i nie zamierzamy się nią przejmować, niech protestują. Czesi problem zgłaszali latami na forum Polsko-Czeskiej Komisji Międzyrządowej ds. Współpracy Transgranicznej i nic się nie działo. Polski upór w kontynuacji eksploatacji do 2044 r. jest nierealistyczny. Wszyscy wiemy, że węgiel brunatny nie ma przyszłości

i może dojść do tego, że strona polska zostanie zmuszona do zamknięcia i kopalni, i elektrowni. Ta historia pokazuje, że jest nam niedobrze z unijnymi sąsiadami. Jak zaczęły się problemy z Odrą, to odkryliśmy, że na drugim brzegu są Niemcy i – na marginesie – Czesi też. Zamiast szukać wspólnego rozwiązania polsko-czesko-niemieckiego, forsujemy własne pomysły, choć wiemy, że rzeka graniczna nie jest „czyjaś”, nie należy tylko do tych z jednego brzegu.

Wynik niezborności czy zamierzony efekt?

Olga Tokarczuk postuluje, by nadać Odrze osobowość prawną. Unia Europejska wymyśliła Europejskie Ugrupowania Współpracy Terytorialnej, więc może stworzyć europejską osobę prawną EUWT Odra, którą założyłyby wspólnie landy niemieckie, czeskie kraje i polskie województwa, mogłyby nią zarządzać w imieniu rządów i za pomocą przekazanych przez nie pieniędzy. Między bajki można włożyć opowiadki, że Niemcy chcą nam utrudnić gospodarce wykorzystanie Odry. Niestety ta bzdura na niektórych działa, tak jak próby udowodnienia, że Niemcy celowo zatrują nam rzekę. Dobrem wspólnym są graniczne obszary górskie, które sobie zaśmiecamy, np. zapaskudzając szczyt Śnieżnika wieżą widokową. Tylko po to, by pokazać Czechom sterczący totem naszej obecności.

Pan tu o bezgraniczności, a na zewnętrznych granicach Unii stoi już 2 tys. km płotów i murów. I jak w komunikacie o stanie wód po obfitych deszczach: ciągle przybywa.

Mury, zapory i zasieki na granicy z Rosją mają być uzasadnione zagrożeniem wojennym. Nie wiem, czy to wszystko ma sens, ale wiem, że prowadzi do napięć i nieszczęść. Bo bardzo łatwo jest ogłosić, że oto pojawiało się jakieś zagrożenie, niż później zdecydować, że zagrożenie minęło. Granice europejskie muszą pozostać obszarem aktywnej współpracy i otwartości albo zamieniają się w tereny działań wojennych. Nie jest sztuką utrudnić życie ludziom i zwierzętom, sztuką będzie to wszystko kiedyś rozebrać i zutylizować.

ROZMAWIAŁ JĘDRZEJ WINIECKI

Czerwony generał

Niemcy mają fatalną opinię o swojej armii.

Pytanie więc, dlaczego minister obrony **Boris Pistorius** jest dziś najpopularniejszym politykiem w Niemczech?

FILIP GAŃCZAK

Fotoreporterzy, którzy 16 marca towarzyszyli niemieckiemu ministrowi obrony w bazie Mahlwinkel koło Magdeburga, mogli zacięć ręce. Widowiskowe było już lądowanie helikoptera. Później Boris Pistorius dał się namówić na przejazd kę czołgiem. Końcowe oświadczenie dla prasy zapowiadało się więc jako najmniej atrakcyjny punkt programu – do czasu, gdy niespodziewanie odezwał się ministerialny smartwatch. Okazało się, że polityk jest fanem „Star Treka”, bo właśnie motyw dźwiękowy z tego serialu ustawił sobie jako dzwonek.

63-letni Pistorius to dziś wyraźnie najpopularniejszy polityk w Niemczech. I zarazem najlepiej oceniany minister w centrolewicowym rządzie Olafa Scholza. Zadowolenie z pracy szefa resortu

obrony deklaruje 58 proc. wyborców, przeciwnego zdania jest zaledwie co piąty – wynika z sondażu ośrodka Civey dla tygodnika „Der Spiegel” (5 czerwca). – *Opinia publiczna jest przekonana, że bezpieczeństwo Niemiec znalazło się w dobrych rękach* – komentuje prof. Ulrich Sarcinelli, politolog, były prorektor uniwersytetu w Koblencji-Landau.

Z każdego miejsca da się wyjść

Ta historia zaczyna się w Schinkel, robotniczej dzielnicy Osnabrück, w której dorastał Pistorius. W domu się nie przelewał. „Rodzice nie mogliby sobie pozwolić, by moi bracia i ja zdali maturę” – wspominał po latach. Pomogły stypendia socjalne. Jeszcze w szkole wstąpił do Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD). Potem przyuczał się do pracy jako handlowiec, ostatecznie wybrał jednak

studia prawnicze. Terminował w regionalnym MSW w Hanowerze i w odpowiedniku naszego kuratorium oświaty. W polityce zaistniał poważnie, gdy w 2006 r. – dobrze po czterdziestce – został burmistrzem rodzinnego miasta. Po pięćdziesiątce dostał tękę ministra spraw wewnętrznych i sportu Dolnej Saksonii.

To wtedy dał się poznać jako „czerwony szeryf”. W kraju, w którym tematy związane z bezpieczeństwem długo wydawały się domeną chadeków, pokazał, że również socjaldemokrata może skutecznie walczyć z przestępczością. Wypowiedział wojnę prawicowemu ekstremizmowi, ale też radykalnym islamistom. W 2017 r. doprowadził do wydalenia z Niemiec Algierczyka i Nigeryjczyka, których policja podejrzewała o przygotowywanie zamachu terrorystycznego. W precedensowej sprawie – obaj mężczyźni urodzili się już w Niemczech i nie zdążyli popełnić ciężkiego przestępstwa – Federalny Sąd Administracyjny przyznał politykowi rację.

Już wówczas spekulowano, że Pistorius przeniesie się do Berlina. Martin Schulz, ówczesny kandydat SPD na kanclerza Niemiec, umieścił go w swoim nieformalnym gabinecie cieni. Ciągu dalszego nie było – w wyborach parlamentarnych pewnie zwyciężyli chadecy Angeli Merkel. Dwa lata później Pistorius musiał się obejść smakiem, gdy w duecie z Petrą Köpping ubiegał się o przywództwo



w socjaldemokracji. Z niespełna 15-proc. poparciem zajęli dopiero piąte miejsce. Gdy w 2021 r. powstawała koalicja SPD, Zielonych i liberalów, wielu widziało Pistoriusa jako federalnego ministra spraw wewnętrznych. Ostatecznie miał mu zaszkodzić parytet płci – Scholz obiecał, że w gabinecie będzie tyle samo kobiet co mężczyzn.

Chwyć moment

Awans przyszedł w najmniej spodziewanym momencie. 16 stycznia tego roku zadzwonił do niego kanclerz. Pistorius dopiero co wrócił z urlopu na Maderze i – jak się zarzeka – zupełnie nie spodziewał się nominacji. Minister obrony Christine Lambrecht właśnie ogłosiła, że odchodzi. Tym razem Scholz nie dbał już o parytety. W Europie jest wojna – można było usłyszeć w SPD – i potrzebny jest właściwy człowiek.

Partyjne koleżanki niespecjalnie protestowały, bo Pistorius ma opinię polityka chętnie stawiającego na kobiety. „Przez całe moje życie byłem otoczony silnymi kobietami” – wyznał w jednym z wywiadów. Dwie z nich, matkę i żonę, stracił w krótkim czasie w 2015 r. Już jako wdowiec i ojciec dwóch dorosłych córek na krótko związał się z Doris Schröder-Köpf, była żoną Gerharda Schrödera. Obecna wybranka ministra jest dużo młodsza od niego dr Julia Schwahnholz, politolożka i działaczka SPD. Razem z nią świętował jesienne zwycięstwo socjaldemokratów w Dolnej Saksonii. A niewiele później – swoją przeprowadzkę do Berlina.

Jeszcze niedawno był w stolicy słabo znany. Dziś jest najjaśniejszą gwiazdą rządu Scholza. – *Pistorius prezentuje się jako energiczny i wiarygodny polityk, stwarzający wrażenie, że będzie potrafił rozwiązać problemy Bundeswehry* – wylicza dr Gero Neugebauer, emerytowany politolog z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. – *Na korzyść ministra działają też porównania z jego poprzednikami.*

Ursuli von der Leyen, gdy była jeszcze szefową MON (2013–19), krytycy wytykali, że bardziej niż zdolność bojowa Bundeswehry interesuje ją to, czy żołnierze i żołnierki będą mogli pogodzić służbę z życiem rodzinnym. Annegret Kramp-Karrenbauer obowiązki minister obrony (2019–21) niezbyt sprawiedliwie łączyła z szefowaniem chadeckiej CDU. Christine Lambrecht (2021–23) wielokrotnie stawała się przedmiotem kpiny, np. gdy odwiedziła niemiecki kontyngent w Mali, paradując po pustyni w obcasach. Albo gdy napadniętej Ukrainie zaoferowała 5 tys. hełmów.

Co innego Pistorius. Gdy stoi wśród żołnierzy w wojskowej kurtce w kamuflażu, wygląda i brzmi autentycznie. Także dzięki temu, że sam służył kiedyś w Bundeswehrze – jako jedyny minister z obecnego rządu. Kanclerz Scholz zamiast kamasy wybrał służbę zastępczą w domu opieki. Tłumaczył, że w dzieciństwie czytał Karola Maya, a jego bohaterowie nikogo nie zabijali. Zastępczą służbę cywilną odbył też wicekanclerz Robert Habeck. Pistoriusowi nie można odmówić serca do armii. „Potrzebujemy silnej Bundeswehry” – oznajmił tuż po objęciu urzędu. Do tego jednak daleka droga.

„Armii brakuje wszystkiego” – mówi wprost dr Eva Högl, pełnomocniczka Bundestagu ds. Bundeswehry. Żołnierze z 64. eskadry helikopterów w Laupheim od 10 lat czekają na hełmy. Pistolety P8 są w wyposażeniu od lat 90. i nie spełniają dzisiejszych standardów. W koszarach szkoły artylerii w Idar-Oberstein Högl zastała nieszczelne okna, sanitariaty nie nadające się do użytku i wodę lejącą się z dachów i rur.

W reakcji na wojnę w Ukrainie Bundestag ustanowił co prawda stumiliardowy fundusz specjalny na wzmocnienie Bundeswehry, ale biurokratyczne procedury sprawiają, że w całym ubiegłym roku wojsko nie zobaczyło z tego jeszcze ani centa. Na niedofinansowanie armii nakładają się doniesienia o przypadkach molestowania seksualnego w jej szeregach (357 spraw zgłoszonych tylko w ubiegłym roku) czy zachowaniach podpadających pod prawicowy ekstremizm. Efekt? Ledwie co piąty Niemiec ma dziś zaufanie do Bundeswehry – to najgorszy wynik od 1998 r.

– *Przez dziesięciolecia sprawy obronności były w Niemczech zaniedbywane* – tłumaczy prof. Sarcinelli. Kraj z największą gospodarką w Unii Europejskiej wydaje na wojsko ok. 1,5 proc. PKB, choć państwa NATO zobowiązały się, że będzie to co najmniej 2 proc. Po zakończeniu zimnej wojny i zjednoczeniu Niemiec zwyciężyło za Odrą przekonanie, że dookoła są tylko przyjaciele i nadszedł czas na „pokojową dywidendę” – wydatki na armię można zredukować, a zaoszczędzone środki przekierować na wydatki socjalne i wspieranie wzrostu ekonomicznego. Lampka alarmowa nie zapaliła się w Berlinie nawet po rosyjskiej aneksji Krymu.

Jaki kurs, kapitanie?

Pistorius także wpisywał się w ten trend. Jeszcze w 2018 r. powątpiewał w sens sankcji wobec Rosji. W rozmowie z „Süddeutsche Zeitung” narzekał,

że niemiecka gospodarka ponosi z ich powodu miliardowe straty, a prezydent Władimir Putin tylko wzmocnił swoje przywództwo. Media przypominały, że Pistorius dostał imię na cześć Borysa Pasternaka, na maturze zdawał język rosyjski (w RFN nietypowy wybór), jako burmistrz Osnabrück pielęgnował zaś partnerstwo z Twerem. Wszystko zdawało się układać w obraz typowego *Russlandversteher*, jak w Niemczech nazywani są zwolennicy współpracy z Rosją, i przyzymkania oczu na to, co ma za uszami Kreml.

Zeszloroczna rosyjska napaść na Ukrainę pozbawiła Pistoriusa złudzeń. Jeszcze jako minister spraw wewnętrznych Dolnej Saksonii zakazał w landzie symbolu „Z”, używanego jako wyraz poparcia rosyjskiej agresji. „Naszym zadaniem jest pomóc Ukrainie wygrać tę wojnę” – zadeklarował. I dodał, że broniąc się, Kijów ma prawo atakować terytorium wroga.

Właśnie z powodu Ukrainy czasu na wdrożenie się w nowe obowiązki nie miał wcale. Już 19 stycznia, w dniu zaprzysiężenia, gościł w Berlinie sekretarza obrony USA Lloyda Austina. Nazajutrz w bazie Ramstein uczestniczył w spotkaniu grupy kontaktowej ds. wsparcia obronnego Ukrainy. I tu, i tam sojusznicy mocno naciskali, by Niemcy zgodzili się na przekazanie Kijowowi nowoczesnych czołgów Leopard 2.

Po kilku dniach Scholz i Pistorius dali w końcu zielone światło – w zamian za obietnicę, że z kolei Amerykanie dostarczą Ukrainie swoje czołgi Abrams. To, co z polskiej perspektywy mogło się wydawać mocno spóźnioną decyzją, w mediach za Odrą zostało docenione jako złamanie tabu. Wcześniej pacyfistyczne niemieckie społeczeństwo długo nie chciało słyszeć o dostawach ciężkiego sprzętu wojskowego w rejonie konfliktów.

Do swoich świetnych notowań Pistorius podchodzi z dystansem. Wie, że resort obrony bywa trampoliną do jeszcze wyższych stanowisk, ale jest też jak pole minowe: tu powracające pytania o to, czy Niemcy dostarczą Ukrainie samoloty Eurofighter, tam trudne rozmowy z Chińczykami na szczycie bezpieczeństwa w Singapurze, do tego masa problemów na własnym podwórku.

Jako amator „Star Treka” Pistorius zapewne dobrze zna pamiętne słowa kapitana Picarda: „Porażkę można odnieść, nawet gdy nie popełniło się żadnego błęd. To nie jest słabość, tylko życie”.

Śródtytuły są cytacjami ze „Star Treka”.

Uliczna akcja przygotowywania kimchi dla bezdomnych, Seul.



Czyje kimchi?

Na Dalekim Wschodzie tożsamość kimchi wzbudza nie mniejsze emocje niż narodowość barszczu w Europie Wschodniej. Ten azjatycki gastronacjonalizm staje się niebezpieczny.

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Ma w sobie słodycz i kwaśność. Bywa mniej lub bardziej ostra. Często wzbogacają ją czosnek, imbir, marchew, zielona cebula, pasta z owoców morza i papryka chili. To sfermentowana kapusta pekińska w czerwonej marynacie, czyli kimchi. Jej oferta w Polsce stale rośnie, a już w przyszłym roku pod Krakowem ruszy największa fabryka tej koreańskiej kiszonki w Europie.

No właśnie, czy na pewno koreańskiej? Dla Koreańczyków kimchi to kwestia fundamentalna, większość jest od niej po prostu uzależniona. W Korei Południowej konsumuje się ok. 2 mln ton kimchi rocznie, a ponad 90 proc. mieszkańców je kiszoną kapustę codziennie, niektórzy do każdego posiłku. Koreańskie mamy podają kimchi (w nieostrej wersji) już półrocznym dzieciom, a koreańscy turyści często podróżują z odpowiednią ilością

ulubionej kiszonki w plecakach. Kimchi to jednak dużo więcej niż jedzenie.

Świat dowiedział się o kimchi podczas igrzysk olimpijskich w Seulu w 1988 r. Można jej było spróbować w wiosce olimpijskiej lub zakupić na straganach z produktami lokalnymi. Koreańczycy, obawiając się reakcji obcokrajowców, nierzadko reklamowali kimchi hasłem „strasznie śmierdzi, ale zdrowe”. Wrażenia jednak były generalnie pozytywne.

Śmierdzi, ale zdrowe

Od tego momentu eksport kimchi zaczął rosnąć, a w samej Korei na danie zaczęto spoglądać z dumą. Wcześniej wywoływało skojarzenia z prostym i tanim jedzeniem. Na karierę kimchi w wielkim stopniu wpłynął przemysł zbrojeniowy. Miało wzbogacić dietę koreańskich żołnierzy walczących w Wietnamie (do 1973 r. stacjonowało ich tu ponad 300 tys.). Następnie tanie kimchi stało się podstawą jedzenia, zwłaszcza robotników pracujących przy urbanizacji i industrializacji kraju.

Jednak dopiero olimpiada nadała kimchi rozpędu. W 1992 r. otwarto Kimchi Museum University, który do dziś publikuje artykuły naukowe z dziedziny *kimchiology* o oryginalnych tytułach w rodzaju „Humanistyczne rozumienie kultury kimjang i kimchi”. To właśnie w latach 90. zaczęto kojarzyć sformułowania „być Koreańczykiem” i „jeść kimchi”. Również wtedy upowszechniły się specjalne lodówki na kiszonki, dziś obecne w wielu koreańskich domach.

Ogromną rolę w budowaniu mitu kimchi odegrały (i odgrywają) koreańskie media, sugerując, że za sukcesami koreańskich sportowców stoi właśnie narodowa kiszonka, lub donosząc o coraz to nowszych właściwościach leczniczych tego dania. W efekcie powstało wrażenie, że kimchi zapobiega niemalże wszystkim chorobom, łącznie z SARS i Covid-19.

Już w 2006 r. w ankiecie Gallupa, pytającej Koreańczyków o symbol narodowy, kimchi znalazło się na drugim miejscu, zaraz za koreańską flagą, ale przed hymnem,

godłem i narodowym alfabetem. W tym samym roku Koreańczycy opracowali również kimchi odpowiednie dla astronautów. W 2011 r. z Korei wyruszył w świat Kimchibus – autorzy tego z kolei projektu, aby spopularyzować koreańską kuchnię, szczególnie z kimchi, odwiedzili 32 kraje.

Pozytywnie o egzotycznej przystawce wyrażały się takie osoby jak Michelle Obama, która pokazywała swoje zbiory kapusty pekińskiej z prezydenckiego ogródka, a w 2013 r. *kimjang*, tradycja robienia kimchi, została wpisana na Listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO. Niedługo później kimchi w Korei otrzymało swój dzień w kalendarzu – 22 listopada.

Chińskie podróbki

Ogromna miłość, jaką Koreańczycy darzą kimchi, może być przez obcokrajowców trudna do zrozumienia. Nawet za rządów obecnego polskiego ministra edukacji i nauki trudno sobie wyobrazić powołanie u nas Instytutu Badania Bigosu. Łatwo jednak zrozumieć, że przy tak wielkim kulturowym znaczeniu kimchi w Korei jakiegokolwiek próby przywłaszczenia tego dania przez inne nacje są odbierane jako uderzenie w samo serce narodu.

Pierwszy spór o kimchi wybuchł między Japonią i Koreą jeszcze w latach 90. XX w. Rosnąca popularność tej potrawy sprawiła, że japoński przemysł spożywczy rozpoczął produkcję *kimuchi* (japońska wymowa kimchi). Koreańczycy głośno zaprotestowali, gdy Japonia w 1996 r. próbowała zarejestrować produkt w oenologicznym Kodeksie Żywności. Japońska strona argumentowała, że ich przepis jest oryginalny, ponieważ potrawa jest mniej ostra i niemalże pozbawiona fermentacji. To jednak nie wystarczyło.

Spór dotyczył dochodów przy szybko rosnącym międzynarodowym popycie na kiszonkę, ale nie mniejszą rolę odgrywała potrzeba zmanifestowania przez Koreańczyków swojej odrębności i niezależności wobec byłego kolonizatora. Komisja Kodeksu Żywności pracowała nad międzynarodowym standardem kiszzonej kapusty aż do 2001 r. i ostatecznie przyznała rację Koreańczykom.

Poważniejsze wyzwanie rzuciły Chiny. Jeszcze w 2001 r. eksport do Korei kimchi *made in China* stanowił mniej niż 1 proc. tamtejszego rynku, ale w kolejnych latach gwałtownie rósł, głównie z powodu niskich kosztów produkcji. W dodatku w Chinach zaczęły się pojawiać głosy, że kimchi to w zasadzie wariant *pao cai*, chińskiej kiszki pochodzącej z Syczuanu, którą Koreańczycy podpatrzyli przed

wiekami. W 2017 r. Pekin całkowicie zakazał importu koreańskiej kiszki.

Korea próbowała się zrewanżować, kwestionując jakość chińskiej „podróbki”. Pojawiały się oskarżenia, że zawiera niebezpiecznie dużo ołowiu lub jaja pasożytów. Skutki były jednak chwilowe i nie zmieniły tego nawet zdjęcia nagiego Chińczyka brodzącego w ogromnym basenie fermentującej kapusty pekińskiej. W 2022 r. nawet 90 proc. kimchi w Korei Południowej pochodziło z Chin.

Lepiej Korea radzi sobie na froncie kulturowym. Gdy chiński, anglojęzyczny tabloid „Global Times” w 2020 r. użył słowa kimchi, mając na myśli *pao cai*, koreańscy internauci oskarżyli Chiny o imperializm. Gazeta tłumaczyła się błędem w tłumaczeniu, co jednak w samych Chinach ściągnęło na redakcję oskarżenia o uległość.

Kontrowersje wywołała też premiera koreańskiego serialu „Joseon exorcist” (Joseon to dawna nazwa Korei). Choć scenariusz opowiadał o walkach średniowiecznych rycerzy z nieumarłymi, opinię publiczną rozwścieczyły „niepoprawne historycznie” sceny konsumpcji przez bohaterów chińskich przysmaków. Mimo mediujących głosów koreańskich historyków, przypominających o silnych wpływach chińskiej kultury w dawnej Korei, serial zdjęto za ledwie po dwóch odcinkach, a jego twórcy zmuszeni zostali do przeprosin.

Dyskusje na temat pochodzenia kimchi wybuchły z nową mocą w 2021 r., gdy ambasador Chin przy ONZ opublikował na Twitterze zdjęcie podczas robienia kimchi, a chińska youtuberka Li Ziqi (18 mln subskrybentów) umieściła w serwisie film z kiszania kapusty w ostrej marynacie z hasztagiem #ChineseFood.

Wszystko to nie powinno dziwić, bo wielu Chińczyków wciąż uważa, że Korea to zagubiona chińska prowincja. Dla nich dowodem są rzekomo chińskie korzenie większości koreańskiej kultury (twierdzenie dość kontrowersyjne naukowo). W tym kontekście koreańska obrona kimchi jest po prostu próbą utrzymania niezależności, przynajmniej na poziomie symboli.

Kariera wersji kapuścianej

Z tego powodu w wojnie o kimchi zupełnie na poważnie biorą udział koreańscy historycy. Argumentują np., że kimchi w niezmienionej niemal formie funkcjonuje od tysięcy lat.

W starożytnych tekstach doszukują się znaków (pochodzenia chińskiego) oznaczających kapustę pekińską, a nawet chili.

Odrzucają przy tym powszechnie uznaną wersję mówiącą, że papryka gatunku *Capsicum annuum* dotarła do Korei podczas najazdów japońskich pod koniec XVI w., a kapusta pekińska pod koniec XVIII, oczywiście z Chin. W 2017 r. „Journal of Ethnic Foods” opublikował nawet badania koreańskiego zespołu badawczego, który wykorzystał analizę DNA koreańskiej papryki, by przedstawić ją jako obecną na półwyspie od tysięcy lat.

Wielu koreańskich badaczy, jak np. prof. Michael D Shin z University of Cambridge, przestrzega jednak przed gastronomicznym, współczesną próbą połączenia pewnych potraw wyłącznie z historią jednego narodu. – *Chińskie znaki mogły mieć inne znaczenie, niż im się obecnie przypisuje – uważa historyk. – Te, w których jedni badacze widzą chili, mogły oznaczać czarny pieprz, pieprz syczański lub zupełnie inną roślinę.*

Nikt jednak nie zaprzecza, że Koreańczycy, jak wiele innych nacji, od wieków zajmują się kiszaniem – ostatecznie to jeden z najstarszych sposobów konserwowania żywności. Sama nazwa kimchi ma również starożytny rodowód i znacząco najprawdopodobniej: kiszona warzywa. W samej Korei istnieje aż 200 wariantów kimchi, wśród nich znajdziemy kiszonego krewniaka mniszka lekarskiego czy kiszony arbuż.

Problemem jest jedynie próba zbudowania odwiecznej historii dla kimchi w jej najbardziej upowszechnionej komercyjnie formie, czyli de facto dla *baechu kimchi* (z kapusty pekińskiej). Prof. Shin przypomina, że jeszcze w latach 80. Koreańczycy mieszkający poza swoim krajem byli mocno zdziwieni karierą kapuścianej wersji tej kiszki: akurat dla nich kimchi oznaczało sfermentowaną rzepę, przystawkę znaną w Korei jako *kkakdugi*.

Mimo to międzynarodowa kariera kapuścianego kimchi dopiero się rozkręca. Koreańczykom udało się zneutralizować zarzuty natury zdrowotnej (za dużo soli) i utrzymać pozytywne skojarzenia ze swoją superkiszoną. A przede wszystkim wygrać w kulturowej wojnie o kimchi. Przynajmniej na razie. ■



Kłopoty z gender



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYŃ

Podział na dwie płcie może być źródłem dumy i radości, ale różnice w tożsamości płciowej są w przyrodzie powszechne – mówi prof. Frans de Waal, światowej sławy prymatolog.

MARCIN ROTKIEWICZ: – **Jeszcze kilkadziesiąt lat temu słowo gender miało w języku angielskim znaczenie niebudzące emocji. Spotkał pan osobiście człowieka, który to zmienił.**

FRANS DE WAAL: – W 1991 r. uczestniczyłem w Światowym Kongresie Seksuologii w Amsterdamie. Miałem tam wygłosić wykład o bonobo, czyli jednym z dwóch gatunków szympansov. U tych wyjątkowych małp większość zachowań seksualnych nie wiąże się z prokreacją, choć rozpowszechniło się przekonanie, że zwierzęta, poza człowiekiem, uprawiają seks wyłącznie po to, by płodzić potomstwo. Tymczasem bonobo robią to z powodów społecznych i dla przyjemności, również w układach homoseksualnych. Chciałem o tym opowiedzieć seksuologom. Przypadkiem natknąłem się wtedy na starszego pana otoczonego przez tłumek wielbicieli. Okazało się, że to John Money, który zrobił karierę jako jeden z ojców seksuologii. W latach 60. założył Gender Identity Clinic przy Johns Hopkins University, czyli pierwszą klinikę zajmującą się tożsamością płciową.

To właśnie Moneyowi zawdzięczamy nadanie nowego znaczenia pojęciu „gender”, rozumianemu jako płeć kulturowa, czyli coś oddzielnego i różnego od płci biologicznej określonej na podstawie budowy genitaliów i chromosomów płciowych. Wcześniej słowo to odnosiło się wyłącznie do rodzaju gramatycznego.

Kariera Moneya zakończyła się jednak upadkiem, a niektórzy uważają go wręcz za szarlatana.

On był święcie przekonany, że do pewnego wieku można z chłopca zrobić dziewczynkę i na odwrót. Dlatego aktywnie włączył się w sprawę dziecka, któremu musiano amputować penisa na skutek fatalnie przeprowadzonego obrzezania. Money przekonał jego rodziców, żeby usunąć również jądra i wychować jako dziewczynkę. W ten oto sposób Bruce Reimer został Brendą. Seksuolog regularnie obserwował jego rozwój, a później tryumfalnie ogłosił światu, że eksperyment zakończył się pełnym sukcesem.

Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej. Choć Brendę m.in. ubierano jak dziewczynkę i dawano jej lalki do zabawy, to i tak



zachowywała się jak chłopiec. Najwyraźniej czuła się ze swoją żeńską płcią bardzo źle, czego powód zrozumiała, kiedy w wieku czternastu lat poznała swoją historię. Zmieniła imię na David i wróciła do płci, z którą się urodziła. Historia ta miała, niestety, tragiczny finał, gdyż w wieku 38 lat David popełnił samobójstwo. Tak w takich przypadkach kończy się ignorowanie biologii. Choć Bruce został poddany zabiegowi chirurgicznemu, otrzymywał żeńskie hormony i wychowywano go na dziewczynkę, nie zmieniło to jego biologicznie zdeteminowanej męskiej tożsamości.

W najnowszej, wydanej także w Polsce, książce „Jak się różnimy. Gender oczami prymatologa” (Copernicus Center Press) pisze pan zaskakująco wiele o lalkach, które nie budziły zainteresowania Brendy.

Mam wrażenie, że zabawki zajmują jedno z kluczowych miejsc w debacie o gender. Niektórzy są bowiem przekonani, że dzieci przychodzą na świat jako *tabula rasa*, a my narzucamy im role płciowe, m.in. poprzez dawanie chłopcom samochodzików czy pistoletów, a dziewczynkom właśnie lalek. Spójrzmy jednak, co się stanie, gdy udostępniemy je do zabawy naszym najbliższym krewnym, szympansom. Młode samce najpewniej rozerwą je na kawałki, zaciekawione, co znajduje się w środku. Samice adoptują je i będą się opiekować. Dlaczego mielibyśmy tak diametralnie różnić się od naszych małpich kuzynów?

Naukowcy przeprowadzają tego typu eksperymenty, tzn. dają małpom do wyboru różne ludzkie zabawki?

Jedno z pierwszych takich badań wykonano w University of California w Los Angeles, z udziałem koczkodanów, a dokładnie kotawców sawannowych. Okazało się, że samce bardziej interesowały się „męskimi” zabawkami, a samice „żeńskimi”. Podobny eksperyment, z udziałem aż 135 małp, przeprowadzili naukowcy z Emory University w Atlancie. Okazało się, że samce wołały zabawki na kółkach, a samicom podobały się zarówno te miękkie pluszowe, jak i samochodziki.

Dlaczego samce małp interesują się autami, czyli przedmiotami, które są im zupełnie obce?

Możliwe, że bardziej ciekawia je wszelkie ruchome przedmioty, czyli m.in. takie, w których kółka się kręcą i można je łatwo popychać po ziemi. Znacznie prościej wyjaśnić zachowanie samic, które w przyszłości bardzo dużo czasu i energii poświęcą opiece nad dziećmi. Ich uwaga naturalnie kieruje się ku obiektom je przypominającym.

Czy chce pan przez to powiedzieć, że ludzcy rodzice mają znikomy wpływ na to, czym zechcą bawić się ich dzieci?

Wychowałem się w zdominowanej przez mężczyzn rodzinie składającej się z sześciu chłopaków plus ojciec. Mama dawała nam, oprócz typowo męskich zabawek, również lalki, ale nigdy się nimi nie interesowałem. Oczywiście moja rodzinna historia niczego nie przesądza, ale w Szwecji, kraju czułym na punkcie równości płci, zmuszono pewną firmę sprzedającą zabawki do umieszczenia w katalogu fotografii chłopców z wymarzoną domkiem dla Barbie, a dziewczynek m.in. z pistoletami. Niewiele to jednak zmieniło. Szwedzki psycholog Anders Nelson sprawdził, czym bawią się w jego kraju kilkuletnie dzieci. Okazało się, że chłopcy wołają pojazdy czy gry, a dziewczynki przedmioty związane z opieką, domem czy strojami.

A może, nawet w egalitarnej Szwecji, nadal mocno zakorzenione są wzorce kulturowe?

Przeprowadzono ciekawe badania wśród zaledwie rocznych dziewczynek i chłopców, którym pokazano filmy z samochodami w ruchu oraz twarzami mówiących osób. Chłopcy dłużej przyglądali się tym pierwszym, a dziewczynki drugim. W kolejnym eksperymencie jeszcze bardziej przesunięto granicę wieku, żeby wykluczyć wpływy kulturowe – zaangażowano do niego jednolite noworodki. Dziewczynki dłużej przyglądały się twarzy osoby prowadzącej badanie, a chłopcy przedmiotowi w kolorze skóry człowieka. Sugeruje to, że dziewczynki od urodzenia mogą mieć silniejsze nastawienie prospołeczne, co wpływa na preferowane formy zabawy. Jeśli dodamy do tego wyniki eksperymentów z udziałem naszych małpich kuzynów, to odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nie. Chłopcy ignorują lalki nie ze wstydu, tylko dlatego, że po prostu wołają inne zabawki.

Natomiast – co też wykazano w badaniach – kolory wybierane dla dzieci, np. niebieski dla chłopców, a różowy dla dziewczynek, mają korzenie czysto kulturowe, bo dzieci same z siebie nie wykazują żadnych preferencji w tej kwestii.

No właśnie, gdzie w kontekście płci i związanych z nią ról społecznych kończy się wpływ biologii, a zaczyna kultury? I który z tych czynników ma większe znaczenie?

W młodości głęboko wierzyłem, że kultura jest decydująca. Teraz uważam, że przeciwstawianie wpływów środowiska naszej wrodzonej biologicznej naturze nie ma sensu. Jedyną rozsądną propozycją jest interakcjonizm zakładający współgranie między genami a środowiskiem.

Świetnie podsumował tę dyskusję szwajcarski prymatolog Hans Kummer. Zaproponował analogię: czy słyszane w oddali dźwięki pochodzą od perkusisty czy perkusji? Oczywiście ►



Prof. **Frans de Waal** (ur. 1948 r.) jest prymatologiem i etologiem (bada życie naczelnych oraz zachowania zwierząt). Swoją karierę naukową rozpoczął w Holandii, skąd przeniósł się, w 1981 r., do USA. Od tamtej pory pracuje w Emory University w Atlancie, gdzie przede wszystkim bada życie społeczne szympansov. W 2007 r. tygodnik „Time” zaliczył go do stu najbardziej wpływowych ludzi świata. Jest laureatem licznych nagród oraz autorem kilkunastu książek popularnonaukowych.

przejdą okres dojrzewania, to w sferze miłości też będą zachowywać neutralność genderową. Przecież atrakcyjność seksualna i miłość romantyczna są mocno związane z tożsamością płciową, niezależnie od tego, czy wchodzimy w związki hetero- czy homoseksualne.

Jednak niektórzy młodzi ludzie nie chcą określać się płciowo i wolą być właśnie neutralni.

Jesteśmy bardzo plastyczni w swoich zachowaniach i nie widzimy w takich decyzjach czegoś niedobrego. Powiedziałbym jednak, że nie da się zmienić swojej płci biologicznej, choć nie mam tu na myśli korekty płci np. u kobiet, które przychodzą na świat w męskim ciele czy na odwrót. Można jedynie zmodyfikować sposób, w jaki siebie wyrażamy, choćby poprzez ubiór czy działanie. Według mnie podział na dwie płcie może być dla ludzi źródłem dumy i radości. Nie chciałbym żyć w świecie pozbawionym genderu i płci, gdyż byłby potwornie nudny.

Od dobrych kilku dekad toczy się też debata na temat płci mózgu. Czy organ ten rzeczywiście ją ma?

Napisano na ten temat ponad 20 tys. publikacji naukowych, a debata jest równie burzliwa, co skomplikowana. I jedyne, w czym wszyscy są zgodni, to konstatacja, że różni mężczyźni i kobiety bardziej są do siebie podobne niż odmienne. Ponieważ nie jest to obszar moich kompetencji naukowych, nie chcę zajmować tutaj jednoznacznego stanowiska. Aczkolwiek uważam, że byłoby dziwne, gdyby akurat ten organ okazał się neutralny płciowo, skoro ani serce, ani wątroba nie są. Dziecko nie przychodzi przecież na świat z mózgiem, który czeka wyłącznie na instrukcje ze środowiska kulturowego.

W książce pisze pan, że dość wcześnie zainteresował się kwestią różnic płciowych i nawet należał do organizacji feministycznej.

Może dlatego, że żyłem w rodzinie, w której parytet płci był tak skrajnie zaburzony? W czasie studiów zauważyłem też, że moje koleżanki potrafiły okazywać wsparcie i współczucie inaczej niż moi bracia czy przyjaciele. Zamiast np. bagatelizować problem, poklepywać po ramieniu lub podsuwać rozwiązania, słuchały, odzwierciedlały uczucia i okazywały troskę.

Między innymi dlatego wstąpiłem do holenderskiej organizacji feministycznej Towarzystwo Mężczyzn i Kobiet (Man-Vrouw-Maatschappij, MVM), która przyjmowała w swoje szeregi mężczyzn jako sojuszników w walce o poprawę pozycji pań w społeczeństwie. Jednak po roku wypisałem się z powodu rosnącego wśród aktywistek agresywnego nastawienia wobec mężczyzn. Zaczęli być traktowani jak sprawcy wszelkiego zła, a tego typu uogólnienia – których ofiarami padały wcześniej kobiety – bardzo mnie raziły. I do dziś nie zgadzam się z wpychaniem w rolę wroga własnej płci.

Niektórzy antropolodzy przyjmują właśnie taką postawę.

Malvin Konner uważa bycie samcem za defekt, który nazywa „deficytem chromosomu X”. Moim zdaniem nie pomożemy kobietom w ich walce o równe prawa, poniżając samych siebie. Problemem nie są różnice między mężczyznami a kobietami, ale nierówności genderowe, np. wpychanie na siłę w pewne role, blokowanie rozwoju zawodowego czy gorsze wynagradzanie. Tylko że receptą na to nie powinno być upodabnianie obydwu płci do siebie. Nie musimy być tacy sami, żeby być równi.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

► czasami wylapujemy różnice w grze i wtedy możemy się zastanawiać, czy zmienił się bęben, czy bębniarz. Jak Kummer pisze: „Jedynie różnice pod względem danej cechy, a nie cecha sama w sobie, mogą być określane jako wrodzone bądź nabyte”. Takie podejście nie stało się, niestety, popularne, gdyż nie oferuje prostych odpowiedzi. Płynność i nieokreśloność są trudne do zaakceptowania.

Miałyby być sprzeczne z naturą.

To są błędne wyobrażenia, niewynikające z szukania podpowiedzi w biologii, tylko wybierania z niej tego, co pasuje do wyznawanej ideologii. W „Jak się różnimy” poświęcam sporo miejsca przypadkowi Donny, szympanscy żyjącej w naszej stacji badawczej Emory National Primate Research Center. Znałem ją od młodości, więc mogłem obserwować, jak wyrosła na „szorstką” samicę zachowującą się bardziej męsko niż inne. Samce nie były zainteresowane nią seksualnie, a ona nie wykazywała dużego popędu i nigdy nie miała potomstwa. Bawiła się za to w zapasy z dużymi szympanсами ze swojej grupy, zaś samiec alfa specjalnie szukał jej jako sparringpartnera. Rzadko mówi się o tego typu przypadkach genderowej różnorodności wśród zwierząt, choć naukowcy obserwują samce zachowujące się bardziej „międko” oraz samice – takie jak Donna – będące chłopczycami. Różnorodność wśród naczelnych jest naprawdę ogromna.

Choć więc płeć biologiczna, definiowana głównie przez genitalia i chromosomy, wydaje się binarna, to nawet w tej kwestii zdarzają się wyjątki. Dlatego zasada binarności płci jest jedynie wstępnym przybliżeniem.

A może Donna była transpłciowa?

Nie wiem, czy można by ją w ten sposób określić, gdyż u zwierząt nie mamy możliwości weryfikacji takiej hipotezy. Donna pod wieloma względami zachowywała się jak samica, a nie samiec. Dlatego nazwałbym ją osobnikiem aseksualnym, wymykającym się podziałom genderowym.

W swojej książce polemizuje pan też z innym skrajnym przekonaniem: że różnice między płciami to w przypadku człowieka wyłącznie rezultat oddziaływań kulturowo-społecznych.

Każda osoba inaczej wyraża się i odnajduje w określonej kulturowo roli płciowej odgrywanej w danym społeczeństwie. Dlatego wymyka się ona łatwym podziałom na dwie kategorie i warto ją widzieć jako spektrum płynnie przechodzące od kobiecości do męskości. Można też porównać gender do kulturowego płaszcza, w którym chodzą obie płcie, aczkolwiek nigdy nie da się go całkowicie oddzielić od ciała.

Niektórzy formułują jednak radykalne definicje, uznając gender za całkowicie arbitralny konstrukt oddzielony od płci biologicznej. Choć mógłbym się zgodzić, że wykracza on poza biologię i nie musimy się ograniczać do dwóch płci kulturowych, to jednak przychodzimy na świat z pewnym bagażem, gdyż nie wymknęliśmy się jako gatunek działaniu sił ewolucji. Dlatego pewne wrodzone tendencje możemy wzmocnić lub osłabiać właśnie dzięki kulturze, np. męską skłonność do dominacji i agresji.

A co sądzi pan o wychowywaniu dzieci całkowicie neutralnie pod względem genderowym?

Dla mnie to pomysł dyskusyjny.

A szkodliwy?

Myślę, że przez pierwsze 10 lat takie neutralne wychowanie nie ma znaczenia. Mam jednak poważną wątpliwość, czy gdy dzieci

Pelargonium sidoides
– południowoafrykańska
odmiana pelargonii.
O prawo do zysków
z jej uprawy walczy kilka
lokalnych społeczności.

TADEUSZ MICHROWSKI

Niech rozkwitną pelargonie

Przez setki lat zachodnia nauka korzystała z wiedzy rdzennej, zwykle bez uznania dla jej twórców. Dziś powoli zaczyna się to zmieniać.

Gdy Brytyjczyk Charles Henry Stevens dowiedział się, że cierpi na suchoty, uznał to za wyrok śmierci. Miał jednak szczęście. Trafił na lekarza, który postawił sprawę jasno: może uratować życie, przenosząc się w bardziej sprzyjający klimat. Stevens spakował manatki i w 1897 r. wyjechał do Kolonii Przylądkowej, na tereny dzisiejszego RPA. Tam – jak mówią zapiski – trafił na tradycyjnego uzdrowiciela, których w Afryce ►

► nazywa się *sangoma*. On przygotował mu miksturę z lokalnej odmiany pelargonii (*pelargonium sidoides*).

Stevens wyzdrowiał. Zabrał umckaloabo (tak nazwał specyfik) do gnębionej gruźlicą Europy i aktywnie go promował. Pozyskał przychylną opinię kilku lekarzy, ale i tak okrzyknięto go oszustem. Na celownik wzięło go Brytyjskie Towarzystwo Medyczne, które prowadziło wtedy kampanię wymierzoną w pleniących się w kraju hochsztaplerów.

Przekonywanie ludzi do umckaloabo trwało tak długo, że gdy zakończyło się sukcesem, Stevens dawno już nie żył.

Nauka bardzo niechętnie patrzyła na to, co dziś nazywamy systemami wiedzy rdzennej (Indigenous Knowledge Systems, IKS). Chodzi o znajomość roślin i ziół, ale też rozwiązań rolniczych, architektonicznych czy nawet prawnych. Kiedyś sięgając po chininę, a dziś po aspirynę, korzystamy z wiedzy, którą wypracowywano przez setki, a nawet tysiące lat. W Meksyku i Brazylii lokalne społeczności wykorzystują rdzenne praktyki do odbudowy lasów. Na Pacyfiku i u wybrzeży Afryki popularność zdobywa system zarządzania zasobami spokrewnionych ze sobą gatunków ryb. A w Europie, w tym w Polsce, rośnie popularność domów z materiałów naturalnych, których technika tworzenia nawiązuje do praktyk sprzed setek, a nawet tysięcy lat.

Niedoceniani wychodzą z cienia...

Prof. Simon Nemutandani we wrześniu objął funkcję dyrektora panafrkańskiego zrzeszenia organów regulujących medycynę. To dentysta, magister trzech fakultetów i doktor z zakresu zdrowia publicznego, a zarazem tradycyjny uzdrowiciel. Walczy na rzecz standaryzacji wszystkich zawodów medycznych na kontynencie. Reforma to jego *idée fixe*, a jednym z argumentów jest obserwacja, że model tworzony na wzór zachodni nigdy nie osiągnął pożądanej efektywności. W południowej Afryce na 10 tys. mieszkańców przypada zaledwie 8 lekarzy, w Nigerii 4, a w Mali, Mozambiku czy Rwandzie mniej niż jeden. Średnia dla UE to zaś ok. 50. Odpowiedzią mogłoby być wsparcie medyków przez komplementarny system *sangoma*.

– *W Afryce 60 do 70 proc. ludzi regularnie korzysta z usług lokalnych uzdrowicieli* – mówi Nemutandani – *ale mało kto się do tego przyznaje. Nawet południowoafrykańscy politycy, z którymi rozmawiałem, zachowują się po faryzejsku. W świetle dnia korzystają z usług lekarzy,*

ale po kryjomu chodzą do sangoma. Uczynienie tych ostatnich częścią oficjalnej opieki medycznej byłoby z jednej strony usankcjonowaniem stanu faktycznego, a z drugiej dałoby narzędzia do odsiewania oszustów, których niestety wśród *sangoma* nie brakuje. Byłoby też wielkim, symbolicznym krokiem na rzecz włączenia IKS w główny nurt nauki.

– *Wcześniej uważaliśmy, że jeśli obserwacja pochodzi od społeczności, która nie ma profesjonalnej edukacji akademickiej, to nie ma wartości* – komentuje Magdalena Skipper, redaktorka naczelna „Nature”, jednego z najważniejszych pism naukowych na świecie. – *Myszę, że to był błąd. Musimy wziąć ją pod uwagę. Oczywiście musimy ją też systematycznie oszacować, ocenić ilościowo w taki sam sposób, w jaki ocenialibyśmy obserwację naukową. Odpowiedzialność ciąży także na lokalnych aktorach: sektorze prywatnym i rządach. Oni muszą walczyć o uznanie dorobku swoich kultur*. W RPA tę rolę przyjęła rządowa agencja The Innovation Hub. Prowadzi ona lokalne społeczności przez cały proces wprowadzania ich produktów na rynek. Zapewnia logistykę potrzebną do potwierdzenia szczególnych właściwości (np. kosmetyków, jedzenia, herbat czy produktów do filtrowania wody), a później wspiera w tworzeniu biznesplanów i komercjalizacji. Podobna pomoc jest potrzebna tym bardziej, że gdy jakiś element wiedzy rdzennej jest uznawany, często jest też zawłaszczany.

Pół wieku po śmierci Stevensa południowoafrykańska pelargonie – a dokładniej ekstrakt z niej – trafiła do powszechnej dystrybucji. W latach 90. znalazła się na półkach europejskich aptek – została zarejestrowana jako tradycyjny ziołowy środek leczniczy w piętnastu krajach. (W Polsce znajduje się w kilku suplementach diety, jej umieszczenie w nich wymaga jedynie kontroli sanepidu). Dopiero wówczas pojawiło się pytanie, czy i do kogo umckaloabo należy.

...naukowcy ujawniają pomoc

Dyskusja o prawach intelektualnych do systemów wiedzy rdzennej to rzecz nowa i mimo kilku wzmianek, m.in. w oenzetowskiej Deklaracji praw ludów tubylczych z 2007 r., wciąż decyduje się w konkretnych przypadkach, nie całościowo.

Pierwszym problemem jest kwestia autorstwa. Zachodni naukowcy od dziesięcioleci uprawiają to, co z angielska nazywa się *helicopter science*. Prowadzą badania

na obcych sobie terenach, w oparciu o już wypracowaną tam wiedzę, często ze wsparciem lokalnych pomocników. W publikacjach pojawiają się jednak jako jedyni odkrywcy.

W 2021 r. analiza ponad 32 tys. artykułów naukowych dotyczących Afryki Subsaharyjskiej wskazała, że w prawie 15 proc. nie włączono żadnych lokalnych autorów, choć badania prowadzono na miejscu. Odsetek był najwyższy w najbiedniejszych państwach, jak Somalia czy Wyspy Świętego Tomasza i Książęca. Zawłaszczenia dokonywali przede wszystkim naukowcy z USA, Zjednoczonego Królestwa i Kanady. (Jednocześnie opublikowana pod koniec ub.r. ankieta wskazała, że 69 proc. naukowców z Europy i niemal 55 proc. ze Stanów Zjednoczonych tylko w ciągu ostatnich trzech lat pracowało nad publikacjami niczym ghostwriterzy – autorstwo przyznano akademikom, którzy nie zaoferowali wystarczającego wkładu naukowego).

– *Do niedawna redaktorzy „Nature” przyjmowali zasadę, że nie ingerują w kwestie autorstwa* – mówi Skipper. – *Ale dostrześliśmy tu szansę. Jeśli badanie odbyło się na przykład w Afryce, większość autorów pochodziła z innych miejsc, a ci, którzy zbierali dane lokalnie, byli tylko wzmiankowani, to jako redaktorzy możemy motywować badaczy, żeby zastanowili się, czy to proporcjonalny stopień uznania wkładu pracy. I czasami dochodziło do uznania autorstwa dodatkowych osób*.

Obecnie także wiele innych pism – jak „Global Health Action” czy „The Lancet” – w wytycznych dla autorów wyraźnie zaznacza, że wśród autorów artykułu powinni się znaleźć lokalni badacze. A co z nieakademikami? W 2015 r. dr Fernanda Adame z Uniwersytetu w Brisbane włączyła w poczet autorów tekstu o meksykańskich i gwatemalskich namorzynach Leonarda Castro, lokalnego strażnika parku, który pomagał jej w wyborze miejsc do pobierania próbek oraz w interpretacji wyników. Od tego czasu publicznie argumentuje na rzecz tej praktyki. W Kanadzie wspólne badania Anne Salomon z przedstawicielami pierwszych nacji pozwoliły zakwestionować sukces reintrodukcji tamtejszej wydry. To jednak wciąż tylko dobra praktyka, a nie norma.

Drugim – i znacznie większym wyzwaniem – są pieniądze. Od lat wielkie koncerty uprawiają tak zwane biopiractwo. To wyszukane określenie kradzieży dokonywanej poprzez patentowanie odczynników, genów, a nawet całych roślin leczniczych, których znajomość jest częścią dziedzictwa lokalnych społeczności.

Głośne sprawy tego rodzaju dotyczyły wielkich zachodnich korporacji, jak Avon czy Colgate, dla których podobna inspiracja była metodą na obniżanie wydatków na badania i rozwój.

– *Dla wszystkich jest jasne, że jeśli ukradniemy muzykę czy film, to sąd nas ukarze* – mówi dr Nagulendran Kangayatarasu, były wiceminister energii, nauki, technologii, środowiska i klimatu Malezji. Gdy rząd jego kraju zaczął katalogować swoją wiedzę rdzenną, okazało się, że właścicielem jest już niekiedy ktoś z zagranicy. – *Przywłaszczenie tradycyjnej wiedzy widzimy za to jako dużo mniej jednoznaczne przewinienie. A przecież nawet poruszanie się po lesie deszczowym jest praktycznie niemożliwe bez pomocy lokalnej społeczności.* Tyle że samo potępienie biopiractwa nie wystarczy.



© GETTY IMAGES

Współpraca rodzi się oddolnie...

Działająca w RPA firma biomedyczna Afriplex od kilkunastu lat dystrybuje na świecie oparte na lokalnej wiedzy składniki do farmaceutyków. Postawiła sobie za cel uczciwy podział zysków. Tylko że zasady współpracy musiała opracować od zera.

– *Potrzebujemy przewodnictwa państwa, bo chociaż się staramy, nie wiemy, czy robimy to we właściwy sposób. Rozważaliśmy wiele modeli, w tym taki, w którym to lokalna społeczność uprawia rośliny, które my kupujemy* – mówi przedstawiciel firmy Donnie Malherbe. – *Ale to okazało się niepraktyczne w produkcji przemysłowej, kiedy musimy zapewnić stałość dostaw. Obecnie sami kontrolujemy cały proces hodowli, przetwarzania i dystrybucji, a tradycyjne społeczności otrzymują od nas opłatę licencyjną, od 3 do 5 proc. kosztu produkcji roślin [nie finalnego produktu – przyp. red.]*

Problemem jest już samo ustalenie, kto jest właścicielem praw. A gdy w grę wchodzi pieniądze, często dochodzi do sporów. Taki właśnie los spotkał umckaloabo. Do dziś w RPA o prawo do zysków z południowoafrykańskiej pelargonii walczy kilka społeczności.

Alternatywą jest model oddolny. – *Jesteśmy trójstronną kooperatywą* – opowiada Nondumiso Phaahla, pielęgniarka i współtwórczyni Setsong Tea Crafters oferującej herbaty o właściwościach zdrowotnych. – *Firmę tworzy moja rodzina i dwie lokalne społeczności, które produkują herbatę. Naukowcy pomogli nam potwierdzić właściwości produktu, teraz rozwijamy branding, robimy*

Umieszczenie Leonarda Castro, strażnika parku, wśród autorów artykułu o namorzynach było jednym z pierwszych takich przypadków w piśmie naukowym.

badania rynkowe i nawiązujemy współpracę biznesowe.

Nie wiadomo, czy w zglobalizowanym świecie skuteczniejszy okaże się model Afriplex, czy Setsong Tea Crafters.

...duchy nie zawsze się godzą

Ludzie Zachodu przyzwyczaili się opisywać świat z własnej perspektywy. Jak z umckaloabo. Każde z użytych na potrzeby tego artykułu opracowań przyjmowało za punkt wyjścia europejski opis rośliny i losy Stevensa. Ale to przecież ledwie kilkudziesięcioletni epizod jej wielowiekowej historii. Umckaloabo nie jest nawet prawdziwą nazwą – Brytyjczyk przekreślił ją albo wymyślił.

Z Zachodu przychodzi też zestaw intelektualnych ram, w których wiedza rdzenna nie odnajduje się w sposób naturalny. Na przykład afrykańskie IKS nie rozdzielają świata na naukę i kulturę. Obie są nierozdzielalnymi częściami holistycznego podejścia do dobrobytu duchowego i fizycznego jednostki. Owszem, *sangoma* każe zdezynfekować ręce i założyć maseczkę, żeby chronić się przed wirusami, ale dla niego samego i pacjenta istotą leczenia będzie rozmowa z przodkami.

To niesie konkretne konsekwencje. W RPA wiele ciężarnych kobiet nie idzie rodzić do szpitala – pojawiają się tam dopiero po rozwiązaniu, a to dlatego, że lekarze mają obowiązek zutilizować łożysko. Tymczasem dla wielu lokalnych kultur ma ono wielkie znaczenie ceremonialne i musi zostać pochowane, symbolicznie

wiążąc nowo narodzoną osobę z ziemią przodków. Młode matki wolą więc zrezygnować z profesjonalnej opieki niż narazić potomka na ich gniew. – *Zachodnia nauka jest pod silnym wpływem chrześcijaństwa* – mówi Nemutandani. – *To ono stworzyło konotację, że wszystko, co obce, to gusta i zabobon.*

Nemutandani z uśmiechem opowiada o nawykach swoich zachodnich kolegów – od noszenia miedzianych bransoletek po obchodzenie Halloween, które sam mógłby określić zabobonem. – *Ciekawym problemem jest zgodność z lokalnymi zasadami etycznymi* – dodaje. – *Skoro we dług wierzeń wiedza pochodzi od przodków, to tak naprawdę tylko oni mogliby udzielić zgody na przeprowadzenie badań. Ale jak, skoro to duchy? I jak w takim razie ja mógłbym być autorem odkrycia?*

Świat IKS domaga się czegoś więcej niż komercyjnego i autorskiego uznania. Trzeba się spotkać w pół drogi – podkreśla to i Magdalena Skipper, i Simon Nemutandani. Systemy wiedzy rdzennej muszą wypracować ustandaryzowane narzędzia badawcze, a nauka zachodnia otworzyć się na inne niż europejskie konteksty kulturowe.

A historia Stevensa? Ma przewrotne zakończenie. Mimo że środek jest uznawany w 15 krajach UE, raport Europejskiej Agencji Leków uznaje dotychczasowe badania nad nim za nie dość wiarygodne, by jego dobroczynne działanie potwierdzić. Może to się jeszcze zmieni, a może w tym przypadku sceptycy mieli rację. Tradycyjni uzdrowiciele również mogą się mylić.

TADEUSZ MICHROWSKI

Człowiek wylądował na Księżycu i zanurkował na dno oceanu, lecz przez ponad pół wieku nie potrafił przewiercić skorupy ziemskiej, choć to tylko parę kilometrów. Wreszcie się udało.

Skarb Zaginionego Miasta

ANDRZEJ HOŁDYS

Grzbiet Atlantis Massif ma rozmiary imponujące. Jego strome ściany wznoszą się ze względnie płaskiej równiny na wysokość ponad czterech kilometrów. Oglądany z góry ma kształt koła o średnicy prawie 16 km. Mimo to olbrzymia odkryto i zbadano dopiero ćwierć wieku temu. Wszystko przez jego położenie geograficzne. Masyw leży na 30 stopniu szerokości geograficznej północnej, czyli nieco na północ od zwrotnika Raka, oraz na 42 stopniu długości geograficznej zachodniej. To środek Oceanu Atlantyckiego.

Najwyższy punkt tego masywu znajduje się ok. 700 m pod wodą. Sam w sobie jest wielką gratką dla geologów, ale jeszcze większą atrakcją okazały się znajdujące się na jego szczycie białe wieże odkryte w 2000 r. Jest ich kilkadziesiąt. Połowa osiąga wysokość ponad 30 m, najwyższa liczy ok. 60 m (nadano jej nazwę Posejdon). Badaczom, którzy jako pierwsi zobaczyli je przez okrągłe okienka podwodnego pojazdu, skojarzyły się z drapaczami chmur. Zapewne dlatego miejsce określono mianem Zaginionego Miasta. I zrobiło ono oszałamiającą karierę wśród naukowców.

Lost City powstało w wyniku ruchów tektonicznych wzdłuż uskoku. Mniej więcej milion lat temu jedno z jego skrzydeł zostało wypchnięte do góry. Za sprawą tego kopniaka doszło do wydzwignięcia

olbrzymich mas skalnych, które normalnie znajdują się na głębokości kilku kilometrów pod dnem oceanu. W ten sposób naukowcom trafiła się rzadka okazja zbadania najgłębszych warstw skorupy ziemskiej. Niektórzy nawet się wtedy rozmarzyli. Kto wie – pomyśleli – może właśnie w tym miejscu uda nam się dotrzeć jeszcze głębiej: do ukrytego pod skorupą płaszczka Ziemi. To marzenie właśnie się spełnia.

Przybliżenie

Amerykański statek badawczy „JOIDES Resolution” jest jedną z dwóch na świecie jednostek wyposażonych w specjalne świdry zdolne do wwiercania się w bardzo twarde skały tworzące dolną część ziemskiej skorupy. Od ćwierć wieku przemierza oceany, by wydobywać z dna morskiego rdzenie skalne, które na miejscu są analizowane przez kilkudziesięciu naukowców mających do swojej dyspozycji kilka doskonale wyposażonych laboratoriów. Oczywiście statki wiertnicze mają też firmy poszukujące podmorskich złóż ropy i gazu, ale ich świdry ryją otwory we względnie miękkich warstwach osadów, nie w twardych skałach wulkanicznych i magmowych budujących właściwą skorupę ziemską.

W połowie kwietnia „JOIDES Resolution” wypłynął w kolejny rejs badawczy – o numerze 399. Tym razem celem był Atlantis Massif. W planach nie było jednak przewiercania się do płaszczka, ale zbadanie jednego z najbardziej niezwykłych środowisk życia na naszym globie:

Zaginione Miasto jest bowiem zamieszkane. Lokatorami są tu jednokomórkowe organizmy, które jako źródło energii wykorzystują wodór i metan, powstające w wyniku reakcji chemicznych zachodzących pomiędzy wodą morską a perydotytami (skałami płaszczka ziemskiego). Woda nurkuje pod dno oceanu na głębokość wielu kilometrów, po drodze w dół ogrzewa się, a po dotarciu do perydotytów podmienia im minerały (ten proces to serpentyzacja), po czym zawraca w stronę dna, a wypływając spod niego, rozstaje się z węglanami, które skradła skałom. Z nich formuje wieże Zaginionego Miasta.

Sensacja goni tu sensację. Mamy geochemiczną fabrykę wodoru i węglowodorów, które są niezbędnym budulcem żywych organizmów. Co więcej, te same związki są jednocześnie źródłem energii dla tej „głębokiej biosfery”. Może miliardy lat temu w takich właśnie miejscach narodziło się życie na Ziemi? Może tak samo było – lub jest nadal – na innych oceanicznych globach Układu Słonecznego?

Pierwsze wiercenie badacze z „JOIDES Resolution” zamierzali wykonać w miejscu, gdzie w 2004 r. wykonano otwór o głębokości 1,4 km, docierając do najniższych warstw skorupy ziemskiej. Dalej jednak natrafiono na taki opór ze strony skał, że po dwóch miesiącach prób zrezygnowano. Płaszcz pozostał niezdobyty. Wydawało się, że teraz zadanie będzie prostsze. Wszak trzeba było tylko pogłębić już istniejący dół. Jednak wiertło znów nie dało rady. Zmieniono więc lokalizację

statku i wybrano miejsce odległe o mniej więcej kilometr od Zaginionego Miasta, gdzie parę lat temu wydrążono dość płytką dziurę, ale wydobyty z niej wtedy rdzeń sugerował, że do płaszczka może być stąd bliżej.

Naukowcy na „JOIDES Resolution” nie robili sobie jednak wielkich nadziei. Pisali w blogu, że szanse przebicia skorupy ziemskiej oceniają na 15–20 proc. Zapewne mieli w pamięci długą historię porażek kolejnych zespołów naukowych. Od ponad pół wieku trwa w tej dziedzinie swoista rywalizacja. Nie chodzi tylko o prestiż, ale o wiedzę.

Płaszcz ziemski to największa warstwa ziemskiego globu – stanowi 68 proc. jego masy. Niemal cała skorupa ziemska powstała z materiału, który pierwotnie wchodził w skład płaszczka. W nim zachodzi większość procesów, które decydują o tym, jak wygląda oblicze planety. Tu też trzeba szukać wyjaśnienia olbrzymiej aktywności geologicznej Ziemi, której najważniejszym przejawem jest ruch kontynentów. Stąd wyścig badaczy, by wydobyć choćby skrawek tego płaszczka i poddać go analizom.

Szałość

Na początku maja świder opuszczony z 62-metrowej wieży wiertniczej rozpoczął drażnienie otworu. W ciągu dziesięciu dni pokonał pół kilometra, przebijając się przez skały skorupy ziemskiej (najpierw były to bazalty, potem gabro). A po kolejnych dwóch tygodniach znajdował się już kilometr poniżej dna. W pewnym momencie dotarł do perydotytów. Nie były jeszcze idealne, lecz przeobrażone chemicznie przez krążącą w nich wodę, która docierała z dna oceanicznego. „Ale bez wątpliwości należą one już do płaszczka. – powiedział magazynowi „Science” Andrew McCaig, geolog z University of Leeds, jeden z liderów historycznej ekspedycji. – Dlaczego poszło tak łatwo? Natrafiliśmy na uskok tektoniczny, w którym skorupa stawiała mniejszy opór”.

Granicę pomiędzy skorupą a płaszczem odkrył w 1909 r. chorwacki badacz Andrija Mohorovičić, analizując wędrowkę fal sejsmicznych przez wnętrze planety. W skorupie ziemskiej, która jest zbudowana z lekkich skał, fale te przemieszczają się z szybkością 6–7 km/s, po czym przyspieszają skokowo do ponad 8 km/s. To właśnie znak, że dotarły do ziemskiego płaszczka, w którym skały są gęstsze. Od nazwiska odkrywcy ta przejściowa strefa nazwana została nieciągłością Moho. Pod lądami przebiega ona na głębokości 30–60 km, pod oceanami – znacznie płycej. Najgłębszy odwiert wykonany do tej pory na lądzie

liczył ok. 15 km. Niby dużo, ale wciąż daleko od Moho. Łatwiejszym zadaniem wydawało się przebicie skorupy wyściełającej dno oceanów, młodszej i mającej średnią grubość 6–8 km, a w niektórych miejscach jeszcze cieńszej.

Podwodna góra Atlantis Massif jest jednym z takich miejsc, ale są też inne, np. dno Pacyfiku nieopodal meksykańskiej wyspy Guadalupe odległej o 250 km od Półwyspu Kalifornijskiego. To historyczna lokalizacja. Tu w 1961 r. podjęto pionierską próbę przebicia skorupy ziemskiej. Opuszczone ze statku wiertło najpierw pokonało 3800 m wody, a następnie wgrzyło się w dno na głębokość 170 m. Dalej wiercić się nie dało. Mimo to radość była powszechna. Pierwszy raz na powierzchni wydobyto fragmenty bazaltowych skał skorupy oceanicznej. Ów pionierski projekt nazywał się MoHole, a jego inicjatorem był Harry Hess, twórca tektoniki płyt, czyli teorii, która wędrowkę kontynentów tłumaczy procesami zachodzącymi wewnątrz płaszczka.

Hess dowodził, że w płaszczu krążą prądy konwekcyjne transportujące ku powierzchni globu wielkie dawki energii cieplnej. Podgrzewa ona od spodu sztywną skorupę, rozluźnia ją, dzieląc na wielkie płyty, które wprawia w ruch razem ze znajdującymi się na nich kontynentami. Tektonika płyt jest dziś powszechnie akceptowana, ale w połowie XX w. tak nie było. Żądano dowodów na jej potwierdzenie. Wtedy właśnie narodziła się idea wykonania na dnie oceanu odwiertu do płaszczka ziemskiego.

Krytycy uznali pomysł za szalony. Mimo to badacze otrzymali pieniądze od amerykańskiej Narodowej Fundacji Nauki. Przygotowania trwały kilka lat. Koszty odwiertu okazały się jednak tak gigantyczne, że na kontynuację nikt nie chciał dać pieniędzy. Niezrażony Hess

Płaszcz na tacy

Czasami skrawek płaszczka Ziemi sam pojawia się na powierzchni. Dzięki temu wiadomo, że najwyższą część płaszczka budują perydotyty. Jednak te odłamki nie są najlepszym źródłem wiedzy o macierzystej warstwie. Nie nadają się do zaawansowanych analiz, bo ich skład zmienił się podczas wędrowki w górę lub pod wpływem bodźców zewnętrznych, w wyniku kontaktu z powietrzem atmosferycznym czy wodą morską.

mówił potem: „To dopiero początek. Musi być pierwsza dziura, by można było zrobić kolejne”.

Doświadczenia projektu MoHole rzeczywiście nie poszły na marne. Kilka lat później na morze wypłynął pierwszy z prawdziwego zdarzenia badawczy statek wiertniczy „Glomar Challenger”, a niedługo później ruszyły wielkie międzynarodowe programy badania dna morskiego, takie jak Integrated Ocean Drilling Program (IODP), zastąpiony w 2013 r. przez International Ocean Discovery Program. To w ramach tego ostatniego projektu „JOIDES Resolution” nawierca obecnie Atlantis Massif.

Dekadę temu borował skorupę oceaniczną Oceanu Spokojnego w pobliżu archipelagu Galapagos, gdzie znajduje się mała płyta tektoniczna Cocos, należąca do najmłodszych i najcieńszych na Ziemi. Jej grubość wynosi tu ok. 5 km. Najpierw wydrążono otwór o głębokości 1255 m, a podczas kolejnej ekspedycji w ciągu sześciu tygodni dołożono do tego jeszcze 253 m, po czym wywieziono białą flagę. Otwór zacementowano w przekonaniu, że mimo wszystko jest to jedna z najlepszych dróg do płaszczka. Okazało się jednak, że ta najkrótsza i najszybsza droga wiedzie przez Atlantis Massif.

Oczekiwanie

Pierwsze analizy pochodzącego z Zaginionego Miasta rdzenia o łącznej długości 1267 m rozpoczęły się już na statku, a wstępne doniesienia zostaną opublikowane w ciągu paru miesięcy. W międzyczasie zdobycz trafi do repozytorium IODP na Uniwersytecie w Bremie w Niemczech, gdzie będzie dostępna dla wszystkich zainteresowanych naukowców.

Jest wśród nich Donna Blackman, geofizycystka z University of California, która w 2004 r. uczestniczyła w pierwszej ekspedycji zamierzającej przebić się przez Atlantis Massif do płaszczka. „To nasze marzenie od dekad. Jest tyle pytań czekających na odpowiedź. Jak zbudowana jest najwyższa część płaszczka? Jak wtapia się z niego magma, która napędza ziemski wulkanizm? Ile ciepła generują pierwiastki radioaktywne w płaszczu? Lista jest długa” – powiedziała „Science”. Zauważyła jednak, że wciąż nie wiadomo, jak dokładnie wygląda linia demarkacyjna pomiędzy skorupą i płaszczem. „Pierwszy raz wiertło dotarło do strefy granicznej, więc – jak to w nauce – spodziewam się gorących sporów, czy aby na pewno już zdobyliśmy płaszcz, czy też skałom wciąż czegoś brakuje do ideału i trzeba było jeszcze trochę podrażać”.

Zapory masowej zagłady

Ukraina już raz doświadczyła wysadzenia przez armię tamy na Dnieprze i śmiercionośnej fali powodziowej. Poprzednio rozkazodawcą był podczas drugiej wojny światowej Józef Stalin.

TOMASZ TARGAŃSKI

Wieczorem 18 sierpnia 1941 r. Dnieprem na wysokości Zaporoża wstrząsnął huk potężnej eksplozji. W liczącej 60 m wysokości i 760 m długości betonowej ścianie zapory Dnieprzańskiej Elektrowni Wodnej (dalej: Dnieproges) powstała długa na ponad 150 m wyrwa. W jednej chwili spiętrzone wody Dniepru zgromadzone w zbiorniku o powierzchni 420 km kw., zostały uwolnione i runęły na znajdujące się poniżej tereny. Była to jedna z największych spowodowanych umyślnie przez człowieka katastrof ekologicznych w dziejach.

Powódź Stalina

Dnieproges była największą w ówczesnej Europie elektrownią wodną oraz sztandarowym osiągnięciem radzieckiej industrializacji. Przestała istnieć na rozkaz tego samego człowieka, który nakazał jej budowę – Józefa Stalina. W sierpniu 1941 r., kiedy

wojska III Rzeszy zajmowały wciąż nowe tereny radzieckiej Ukrainy, Dniepr jawił się jako ostatnia nadzieja na powstrzymanie ich pochodu. Miesiąc wcześniej, na początku lipca 1941 r., Stalin wygłosił przez radio orędzie do narodu, wzywając do podjęcia wszelkich działań, aby „życie na tyłach wroga stało się nieznośnym” oraz do „zniszczenia wszystkiego, czego nie można wywieźć”. Taktyka spalonej ziemi przybrała postać wysadzania torów kolejowych i zakładów przemysłowych, palenia zapasów żywności i pól uprawnych. Było jasne, że hydroelektrownia nie może wpaść w ręce Niemców. Stanowiła ona nie tylko doskonałą przeprawę na drugą stronę Dniepru, ale co ważniejsze, niewyczerpane źródło energii elektrycznej, z której mogliby korzystać okupanci.

Dnieproges zbudowano w latach 1927–32 jako kluczowy element GOELRO, czyli Państwowego Planu Elektryfikacji. Jak pisze Serhii Plokhyy w poświęconej dziejom Ukrainy książce „Wrota Europy”, hydroelektrownia miała nie tylko dostarczyć energii uprzemysłowionym regionom Donbasu i Krzywego Rogu, ale przede wszystkim „spowodować zatopienie słynnych progów skalnych na Dnieprze i uczynić go rzeką w pełni splawną”. Aby



Widok z lotu ptaka na przerwaną w 1941 r. zapórę Dnieprzańską Elektrowni Wodnej.

© SZ-PHOTO/FORUM

przeprowadzić taką inwestycję, radziecki rząd zakontraktował amerykańskich inżynierów. Turbin i generatorów dostarczyła firma General Electric. Maksymalna moc ukończonej elektrowni była gigantyczna i wynosiła 560 MW.

Plan wysadzenia Dnieprogesu narodził się w pierwszych dniach sierpnia 1941 r. Człowiek, którego Stalin wyznaczył do realizacji tego zadania, ppłk Borys Epow, był saperem i specjalistą od materiałów wybuchowych. 10 lat wcześniej wyświadczył on Stalinowi inną „przysługę” – należał do zespołu saperów, którzy w 1931 r. wysadzili w powietrze Sobór Chrystusa Zbawiciela w Moskwie. W opublikowanej w latach 80. XX w. autobiografii Epow napisał, że 15 sierpnia wyleciał do Zaporozża z rozkazem wysadzenia w powietrze słynnej hydroelektrowni. Umieścił w wewnętrznym chodniku zapory 20 ton amonalu, materiału wybuchowego używanego do wypełniania torped i bomb głębinowych.

18 sierpnia wieczorem, kiedy Epow nacisnął „czerwony przycisk”, tama uległa przerwowaniu, wywołując gigantyczną powódź. W dół rzeki runęła licząca prawie 20 m wysokości fala, która zmiotła wszystko, co stało na jej drodze. Zalała dnierprzańską wyspę Chortycę i dotarła do miast Marganiec i Nikopol, znajdujących się w odległości prawie 80 km od zapory. Tragicznym skutkiem tego wywołanego ludzką ręką tsunami była śmierć

kilkudziesięciu tysięcy cywilów (szacunki historyków wahają się od 30 do 120 tys. ofiar), ogromne straty materialne, zniszczenie zabudowań wsi i miast oraz pozbawienie środków do życia tych, którzy przeżyli.

Straty samych Niemców były minimalne (ok. 1,5 tys. żołnierzy), ponieważ w momencie, gdy Epow zdetonował ładunki, główne siły Wehrmachtu znajdowały się w odległości kilku dni marszu od Dniepru. Z kolei wiele jednostek Armii Czerwonej wciąż jeszcze nie zdążyło wycofać się na lewy brzeg rzeki. Całe przedsięwzięcie było oczywiście ściśle tajne, więc ani żołnierze, ani zamieszkujący okolicę cywile nie zostali uprzedzeni o planowanym zalaniu. Z tego samego powodu Epow został aresztowany przez radziecki kontrwywiad jako dywersant, ale po interwencji „z góry” szybko wyszedł na wolność i wrócił do Moskwy. Jeszcze długo po zakończeniu drugiej wojny światowej radziecka propaganda utrzymywała, że hydroelektrownię zbombardowali Niemcy i to oni są odpowiedzialni za śmierć zatopionych ludzi.

Czy wysadzenie tamy miało jakikolwiek sens? Z perspektywy Stalina celem zniszczenia Dnieprogesu wcale nie było zatrzymanie Niemców, lecz raczej wysłanie jasnego sygnału Hitlerowi i kierownictwu III Rzeszy. Jego motywacje najlepiej chyba uchwycił amerykański dziennikarz Hubert R. Knickerbocker, autor opublikowanej w 1941 r. książki „Is Tomorrow Hitler's?” (z ang. Czy jutro należy do Hitlera?). Stwierdził on, że wysadzając w powietrze swoją najcenniejszą inwestycję, Rosjanie „dowodili, że naprawdę zamierzają zostawić Hitlerowi jedynie spaloną ziemię (...). Rozkaz Stalina, aby ją zniszczyć, ma dla Rosjan większy ciężar emocjonalny, niż miałyby dla Amerykanów rozkaz Roosevelta nakazujący wysadzenie Kanału Panamskiego”.

Niszczyciele tam

Wywoływanie powodzi poprzez niszczenie tam nie jest niczym nowym w historii drugiej wojny światowej. Do legendy przeszedł słynny 617. Dywizjon brytyjskiego RAF, który w nocy z 16 na 17 maja 1943 r. zbombardował niemieckie zapory w Zagłębiu Ruhry. Jego cel stanowiły tamy Möhne i Eder na rzece Ruhra, dostarczające dużych ilości wody i energii elektrycznej niezbędnych dla niemieckiego przemysłu. Podczas operacji o kryptonimie „Chastise” (z ang. chłostać, karać) wykorzystano specjalne „skaczące bomby”, które odbijając się od powierzchni wody, „przeskakiwały” nad sieciami przeciwortopedowymi i detonowały dopiero po uderzeniu w koronę zapory.

Nocny rajd zakończył się ograniczonym sukcesem. Według raportu złożonego przez pilotów RAF, którzy nazajutrz po ataku dokonali rekonesansu nad tamami: „cała dolina rzeczna znalazła się pod wodą, z której wystawały jedynie większe wznieśnienia, drzewa i wieże kościołów”. Zdewastowane zostały liczne pola uprawne, co miało duży wpływ na niemiecką gospodarkę żywnościową. Wbrew oczekiwaniom aliantów atak nie sparaliżował jednak przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy, a w ciągu kilku tygodni Niemcy wznowili dostawy wody do Zagłębia Ruhry. Według ostrożnych szacunków nalot na tamy pociągnął za sobą śmierć ok. 1,6 tys. ludzi, w tym wielu francuskich, belgijskich i holenderskich jeńców wojennych oraz ukraińskich robotników przymusowych.

Pod względem śmiertelnych skutków zarówno zniszczenie tamy na Dnieprze, jak i zapór na Ruhrze, nie może się nawet równać z najbardziej tragicznym aktem wojny środowiskowej w historii, jakim było wysadzenie w 1938 r. tam na Żółtej Rzece w Chinach. Dla Chińczyków druga wojna światowa rozpoczęła się już w 1937 r. od inwazji armii japońskiej. Główny ciężar walk przeciw Japończykom spoczywał na barkach rządzącego wówczas Państwem Środka Kuomintangu, kierowanego przez ►

► Czang Kaj-szek. Wobec ofensywy wroga, której celem był Wuhan, stolica rządu Kuomintangu, Czang Kaj-szek zdecydował się na desperacki krok: postanowił wysadzić w powietrze wały ochronne na Żółtej Rzece.

Plany wykorzystania najbardziej niepokornej z chińskich rzek – bo powodującej najwięcej śmiertelnych powodzi – powstały jeszcze przed wojną. Autorem tej koncepcji był niemiecki generał Alexander von Falkenhausen. Pełniąc funkcję wojskowego doradcy Czang Kaj-szeka, namawiał on przywódcę Kuomintangu, aby przemienić ów konflikt w „wojnę totalną”, co oznaczało wykorzystanie wszystkich dostępnych środków do walki z wrogiem. Na początku czerwca 1938 r., widząc błyskawiczne postępy wojsk japońskich, Czang Kaj-szek wydał rozkaz przerywania wałów przeciwpowodziowych na wysokości miasta Zhengzhou, kiedy siły inwazyjne zbliżyły się do miasta. Próby wysadzenia ich w powietrze nic nie dały – dopiero kiedy setki żołnierzy łopatami i motykami rozkopwały wały, wody Żółtej Rzeki zaczęły rozlewać się po okolicy.

Kuomintang nie zdawał sobie sprawy z potęgi uwolnionej przez siebie siły. Wody rzeki zaczęły wracać do swego starorzecza, posuwając się na południowy wschód i zalewając płaską, aluwialną równinę wschodniej prowincji Henan, gęsto zaludnioną i pokrytą polami uprawnymi. Rytm przyrody dodatkowo spotęgował katastrofę, ponieważ obfite letnie opady zwiększyły dotkliwość powodzi. Ostrzeżenie o przerywaniu wałów dotarło jedynie do garstki ludzi w najbliższej okolicy Zhengzhou. Miliony nieświadomych Chińczyków pozostały bezbronni wobec żywiołu.

Desperacka operacja przyniosła połowiczne rezultaty: japońska ofensywa nie została zatrzymana, ale musiała zmienić kierunek. Chińczycy kupili sobie czas i skutecznie zniechęcili przeciwnika do marszu w głąb kraju. Żółta Rzeka zmieniła zaś swój bieg i do czasu naprawy zapór pod koniec lat 40. jej wody płynęły przez szerokie połacie pól uprawnych, zmuszając do przesiedlenia setki tysięcy ludzi. Ogółem w wyniku bezpośredniego uderzenia fali powodziowej zginęło od 30 do 90 tys. ludzi. Głód, który przyszedł później, był nieporównanie bardziej śmiertelny. Według różnych szacunków w ciągu następnych kilku lat jego ofiarami padło od 500 do 900 tys. osób.

Aż do końca wojny domowej w 1949 r., gdy Kuomintang poniosł klęskę z rąk komunistów, Czang Kaj-szek odmawiał przyjęcia odpowiedzialności za spowodowanie katastrofy. Zamiast tego jego propagandziści twierdzili, że powódź była efektem zbombardowania wałów przez japońskie lotnictwo. Historycy nie mają jednak wątpliwości, że ów tragiczny w skutkach akt wojny środowiskowej podkopał zaufanie dla rządu Kuomintangu wśród mieszkańców środkowych prowincji Chin. W największym stopniu na katastrofie skorzystali chińscy komuniści, którzy stopniowo zyskiwali poparcie wśród zdesperowanych mieszkańców tych terenów.

Wysadzanie tam i wywoływanie fal powodziowych to tylko jeden z wielu aspektów szerszego zjawiska nazywanego wojną środowiskową lub wykorzystującą środowisko naturalne (z ang. Environmental Warfare). I wbrew pozorom wcale nie jest to wynalazek XX w. – korzenie tego zjawiska sięgają czasów

starożytnych. Już Rzymianie mieli przecież sypać sól w ziemię uprawną wokół pokonanej Kartaginy, aby upewnić się, że znieawidzony wróg nigdy się nie odrodzi (najprawdopodobniej jest to jednak mit – solenie ziemi miało raczej charakter rytualnego rzucenia przekleństwa). Również Holendrzy podczas swoich wojen o niepodległość na przełomie XVI i XVII w. czasem umyślnie otwierali śluzy i zapory chroniące ich ziemie przed naporem Morza Północnego, aby powstrzymać marsz wojsk hiszpańskich.

Ekobójstwo

Inny element wojny środowiskowej – taktyka „spalonej ziemi” – sprawdził się doskonale podczas wojny Rosji przeciwko Napoleonowi, choć najprawdopodobniej kosztowała życie równie wielu rosyjskich chłopów, co wrogich żołnierzy. Podczas amerykańskiej wojny secesyjnej gen. William Tecumseh Sherman przemarszerował przez tereny Konfederatów, bez litości paląc uprawy, niszcząc infrastrukturę cywilną i wybijając bydło, co pozbawiło Południe cennych zasobów i znacząco przyczyniło się do zwycięstwa Północy.

Każda wojna jest zatem przejawem agresji nie tylko wobec ludzi, ale także wobec przyrody. Podczas konfliktu w Wietnamie amerykańskie lotnictwo rozprowadzało trujące herbicydy, takie jak Agent Orange, nad dżunglą, która zapewniała schronienie partyzantom Wietkongu. W latach 1961–71 użyto milionów galonów herbicydu, dziesiątkując ok. 4,5 mln akrów terenów zielonych. Max Hastings w książce „Wietnam. Epicka tragedia” napisał, że drzewa usychały niemal w ciągu jednej nocy; równie szybko brązowiły liście na kauczukowcach. Pozostałości po tej kampanii są widoczne do dziś, czy to w postaci chorób wywołanych działaniem chemikaliów, czy to skażonych pól uprawnych.

Doświadczenie pierwszej wojny światowej pokazało z kolei, że ziemie niszczone intensywnym ostrzałem artyleryjskim mogą nie nadawać się do uprawy przez kolejnych kilkadziesiąt lat. Kilka lat temu naukowcy przebadali glebę na niewielkim zalesionym obszarze departamentu Pas-de-Calais we Francji, gdzie toczyły się zacięte walki. Tamtejszy krajobraz został na dobre skażony siarką, obecną w materiałach wybuchowych, a ziemia długo nie nadawała się do uprawy. Dziś podobny los czeka żyzne tereny Ukrainy, gdzie wciąż toczą się zbrojne działania.

Zniszczenie przez Rosję hydroelektrowni w Nowej Kachowce 6 czerwca 2023 r. to jeden z wielu objawów wojny środowiskowej, jaka toczy się na naszych oczach. Być może ów akt przemocy stanie się ważnym punktem na drodze do uznania ekobójstwa (z ang. Ecocide) za zbrodnię przeciwko ludzkości. Od kilku lat trwają starania, aby winni niszczenia ekosystemów mogli być sądzeni przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze. Skutki zbrodni popełnionych na środowisku dotyczą zwykle wielu pokoleń i oddziałują na całe ekosystemy daleko poza „epicentrum” tragedii. Przykład Dniepru i umyślnego wykorzystania wód rzeki jako broni masowej zagłady dowodzi, że jest to akt desperacji, którego nie sposób kontrolować. Niestety skutki takiej katastrofy – w przeciwieństwie do winy – nie rozkładają się po równo.

TOMASZ TARGAŃSKI



Amerykański samolot zrzucający nad Wietnamem trujący herbicyd.



Prof. dr hab. **Miloš Řezník** jest od 2014 r. dyrektorem Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Historyk Europy Środkowo-Wschodniej, zajmuje się m.in. problematyką etniczności, narodowości, polityką historyczną. Jego prace dotyczą zwłaszcza historii Polski – m.in. Prus Królewskich, powstań XVIII i XIX w., Galicji, Kaszub. Jest współautorem obszernej czeskiej syntezy historii Polski (2017) i od 2009 r. współprzewodniczącym Niemiecko-Czeskiej Komisji Historyków oraz członkiem Instytutu Kaszubskiego w Gdańsku.

Zdziwienie Polską

O tym, co w Polsce robi Niemiecki Instytut Historyczny, mówi jego szef prof. **Miloš Řezník** po napadzie posła Brauna na siedzibę Instytutu.

JOANNA PODGÓRSKA: – **Od blisko 10 lat jest pan dyrektorem Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Czy przez ten czas wydarzyło się coś podobnego do awantury wywołanej przez posła Konfederacji, Grzegorza Brauna, który przerwał wykład prof. Jana Grabowskiego?**

MILOŠ ŘEZŇÍK: – Nie, to było najbardziej szokujące wydarzenie. Wcześniej nie tylko nie wydarzyło się nic podobnego, ale też nic, do czego można by to porównać. Pytałem nawet pracowników, którzy są

tu dłużej ode mnie, i oni także czegoś takiego nie pamiętają. Zdarzały się podczas wykładów utarczki słowne, ale nikt nie stosował fizycznej agresji, nie rozbił mikrofonów czy głośników.

Jak pan to tłumaczy?

Dla mnie to niewytłumaczalne. Obawiam się jednak, że to może być symptom podziału, który zachodzi w społeczeństwie, nie tylko w Polsce. W Europie i na świecie narastają konflikty i w każdym społeczeństwie są ludzie bardziej podatni psychicznie, by je eskalować.

Pewnie zawsze byli, ale dziś są bardziej widoczni.

Czują, że przestały istnieć pewne bariery, które działały jeszcze kilka lat temu. Jest atmosfera przyzwolenia na tak agresywny konflikt.

Wykład prof. Grabowskiego był zatytułowany „Polski (narastający) problem z historią Holokaustu”. Trudno o lepszą ilustrację tej tezy niż „występ” posła Brauna.

Faktycznie, jeśli ktoś potrzebował dowodu na tę diagnozę, to go dostał. ►

► Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie kończy 30 lat. Jaka była idea jego powołania?

To była inicjatywa środowiska niemieckich historyków, a ostatecznie decyzja państwa niemieckiego, wynikała też z inicjatyw władz politycznych Niemiec i Polski. W tym czasie podpisywano podstawowe dokumenty regulujące stosunki międzypaństwowe. Było przekonanie, że trzeba działać razem, rozmawiać, poznawać się wzajemnie, stworzyć platformę współpracy dla śro-

historyków. Ona także zaczynała od tematów, które ówczesnie nurtowały nasze społeczeństwa, dotyczyły kwestii spornych. Dziś koncentruje się na wielu innych kwestiach, tak by umożliwić wzajemne poznawanie się. Od lat 90. mamy ten problem, że skupiając się na traumach, XX-wiecznych konfliktach i ich przewyciężaniu, paradoksalnie wspieramy nacjonalistyczną wizję historii. A polsko-niemieckie relacje historyczne to nie tylko historia stosunków między dwoma etnicznymi narodami.

Nie, trochę przypadek. Zawsze stawałem się w opozycji do modnych trendów. Rozpocząłem studia w 1989 r., zaraz po przewrocie. Wtedy wszyscy interesowali się historią Anglii, Francji, Niemiec, trochę Włochami, Hiszpanią czy Stanami Zjednoczonymi. Często na zajęciach pojawiał się też temat Rosji. O Polsce, Węgrzech czy Skandynawii mówiło się mało. Polska mnie zainteresowała, bo to było coś nieoczywistego.

Instytut oferuje młodym historykom stypendia. Ostatnio sporo wśród nich nazwisk ukraińskich. To ręka wyciągnięta do naukowców z kraju ogarniętego wojną?

Tak, choć oni pracowali z nami już wcześniej. Sensem naszych stypendiów jest umożliwienie badań na terytorium Polski, więc z definicji są przeznaczone dla osób spoza Polski; choć często są to naukowcy polskiego pochodzenia i z polskim obywatelstwem, którzy się wyprowadzili z kraju. Mieliśmy program stypendialny, który wspiera prześladowanych kolegów z Białorusi, po tym jak zaczął się tam kryzys. A gdy wybuchła wojna w Ukrainie, bardzo szybko ze wsparciem fundacji Maxa Webera uruchomiliśmy specjalny program „Perspektywa badawcza Ukraina”.

A czym jest inicjatywa „Klio in Polen”?

To część naszej działalności wydawniczej, seria, w ramach której tłumaczymy prace historyczne polskich autorów, żeby udostępnić je niemieckiemu czytelnikowi. To po części prace klasyczne, choć wciąż aktualne – takich autorów jak Karol Modzelewski czy Henryk Samsonowicz – które naszym zdaniem niemiecki czytelnik powinien poznać. Choćby niedawno wydaliśmy książkę Jacka Staszewskiego „Polacy w osiemnastowiecznym Dreźnie”, która ma już prawie 40 lat, opowiadającą o unii polsko-saskiej. W Niemczech ta praca była nieznaną, a jest bardzo ważną, pozwala zrozumieć, że nie da się pisać historii Saksonii i oceniać pewnych działań Augusta bez polskiego kontekstu. Wydajemy też książki, które powstały w ostatnich latach, m.in. „Prześnioną rewolucję” Andrzeja Ledera. Naszą drugą serią wydawniczą jest Klio w Niemczech – wydajemy prace historyków niemieckich w tłumaczeniu na język polski. Niedługo zaczynamy podobną serię w języku czeskim.

A czym są organizowane przez was debaty lelewelowskie?

Proponujemy akademickie dyskusje na aktualne tematy historyczne. Jeśli w historiografii toczy się jakaś poważna debata, np. na temat nowej interpretacji absolutyzmu, to ją podejmujemy. Teraz szykujemy debatę o problemach



© MARCIN OBARA/PAP

Dyrektor Miloš Režník (z lewej) podczas niedawnej awantury, jaką wywołał poseł Grzegorz Braun w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie.

dowisk akademickich. W 1993 r. wiele mówiło się o opracowywaniu trudnych tematów historycznych. Wzór stanowiły relacje niemiecko-francuskie i historia ich naprawiania.

Instytut jako forum dialogu?

Po części tak. Z tym że podstawową myślą były badania historyczne obejmujące całe spektrum chronologiczne, od średniowiecza do późnej nowoczesności. Nie chodzi tylko o to, by zajmować się trudnymi politycznie tematami, co do których musimy się porozumieć. W naszych badaniach dominuje podejście akademickie. Obok publikacji i badań dotyczących konfliktów polsko-niemieckich mamy np. studium historii regionu bałtyckiego czy tematy związane z socjologią przestrzeni. To także wynik 30 lat działania Instytutu. Mamy dziś pod każdym względem inną sytuację społeczną, kulturową, historyczną. Od 15 lat pracuję w komisji czesko-niemiecko-słowackiej

Warszawski NIH ma filie w Wilnie i Pradze. To próba spojrzenia na historię naszego regionu w sposób całościowy?

Tak. Badamy historię Polski w kontekście regionalnym, środkowoeuropejskim. Właśnie dlatego powstały te filie.

A jak to się stało, że dyrektorem niemieckiego instytutu w Polsce został Czech?

Poseł Braun, każąc mi się wynosić z Warszawy, też się nie zorientował, że krzyczy na Czecha. Słyszałem, że on nawet zna czeski. Mogliśmy więc sobie porozmawiać. Ale mówiąc serio, to był zbieg różnych okoliczności. Od kilkunastu lat działałem w niemieckim środowisku akademickim. W 2001 r. przeprowadziłem się z Pragi do Saksonii. Zaproszono mnie tam jako eksperta w dziedzinie historii Polski, która była moją specjalnością już w czasach studenckich.

Rodzinne korzenie?

związanych z badaniem historii Rosji w momencie, gdy jej archiwa zostały przed zachodnimi badaczami zamknięte. Chcemy pytać, czy i co da się badać w obecnej sytuacji. Za patrona tych debat przyjęto postać Joachima Lelewela, bo współtworzył polską nowoczesną, narodową historiografię, ale też jako badacz wychodził poza czysto regionalny czy narodowy kontekst. O tym często się dziś zapomina, ale był prekursorem historii porównawczej. A w czasie kiedy nasz Instytut się konstituował, historię porównawczą uważano za bardzo ważną.

Czy na 30-lecie Instytutu szykujecie jakiś specjalny program?

21 czerwca odbędzie się seria dyskusji oraz uroczysty wykład prezydentki Fundacji Maxa Webera, prof. Ute Frevert, dla której będzie to także pierwsza służbowa wizyta w naszym Instytucie od początku jej kadencji, czyli od marca tego roku.

Jakieś środki ostrożności, żeby nie wpadł poseł Braun?

To będzie zamknięta uroczystość, obowiązują zaproszenia. Szykujemy też jubileuszową publikację, do której zaprosiliśmy naszych obecnych i byłych

pracowników, by opowiedzieli o znaczeniu swojego pobytu w Warszawie dla ich perspektywy badawczej.

Instytut powstał po to, by polscy i niemieccy historycy mogli się lepiej poznać, zrozumieć, tworzyć forum współpracy. Wydawało się, że m.in. dzięki temu przez te lata stosunki polsko-niemieckie były coraz lepsze. A teraz okazuje się, że antyniemieckie nastroje bardzo łatwo rozbudzić. Skąd ten regres?

Przez lata politycy mówili, że stosunki polsko-niemieckie są tak dobre jak nigdy wcześniej. I w pewnym momencie okazało się, jak mało wystarczy, by obudzić demony. Tylko pytanie, w jakich dziedzinach i jak głęboko sięga regres. Abstrahując od tego, co dzieje się na poziomie czysto politycznym, wydaje mi się, że na poziomie regionalnym, lokalnym, społecznym, naukowym, gospodarczym czy wreszcie na poziomie stosunków międzyludzkich współpraca nadal układa się dobrze. Chociaż, gdy spojrzeć na to z niemieckiej strony, to mam wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku lat jednak w mediach czy społeczeństwie powracają pewne wyobrażenia na temat Polaków, nie zawsze pozytywne.

Jakie?

Nie mówiłbym o jakichś jednoznacznych antypolskich stereotypach, ale o pewnym zdziwieniu. Czytając niemieckie media, mam wrażenie, że Polska znów jest postrzegana jako kraj, który trudno zrozumieć. Pojawia się ton: was wollen die Polen eigentlich? Czego ci Polacy właściwie chcą? I to jest ważne zadanie dla ludzi kultury i nauki. Znów potrzebujemy wzajemnie się sobie wytłumaczyć; wyjaśnić znaczenie pewnych znaków czy symboli. Nie redukowałbym tej sytuacji do czystej polityki. Przyczyniły się do niej na pewno kryzys migracyjny czy wojna w Ukrainie. Dam przykład z początku 2015 r., gdy nasilił się kryzys migracyjny. Ówczesny polski minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski zaproponował, żeby uchodźcy z Syrii zakładali legiony, które wrócą do kraju, by zwalczać Assada. W Niemczech zapanowało ogromne zdumienie – co za nonsens?! Nie chce powiedzieć, że była to idea realistyczna, ale ważne było, żeby wytłumaczyć Niemcom pojęcie legionów i znaczenia ich tradycji w historii Polski. I to jest zadanie dla historyków.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

REKLAMA



JAK ULżyć GŁOWIE I ZROZUMIEĆ INNYCH



DR EWA WOŹDYŁŁO
psychoterapeutka

wysokieobcasy.pl/zyclepiej



na ekranie

Środek na ulotność 5/6

Asteroid City, reż. Wes Anderson, prod. USA, 105 min

Wymaganie by Wes Anderson nagiął się do reguł gatunkowych albo próba odczytywania jego filmów wyłącznie poprzez pryzmat tego, co zwyczajowo nazywa się akcją, prowadzi na manowce. Im bardziej klasycznych narzędzi interpretacyjnych się używa, tym szybciej rozspjuje się misterna układanka jego poetycko-ironiczno-szkatułkowej narracji. W dojrzałym okresie twórczości (niektórzy mówią o manieryzmie) reżyser coraz chętniej odchodzi od logiki przyczynowo-skutkowej, ufa swojej intuicji każącej mu redukować wątki do szybkiej wymiany zdań albo jednego ukradkowego pocałunku, całą zaś uwagę kierować na rozprasające detale – skrupulatnie wymieniane przez wszechwiedzącego narratora, wtopione w tło wystylizowanej scenografii wyglądającej na wyciętą z kartonu przez uzdolnione dziecko. Strategia Andersona każe mu operować nastrojem

wyczarowywanym z mieszaniny snów, dowcipnych wspomnień, fragmentów scen ukochanych filmów oraz jego pamięć delektującą się samym aktem tworzenia – antidotum na ulotność wszystkiego. W „Asteroid City” nawet i to zostaje wzięte w cudzysłów. Podzielona na trzy części fabuła osadzona równo dziesięć lat po drugiej wojnie światowej – Amerykę właśnie ogarnia szaleństwo na punkcie kosmitów (incydent w Roswell) oraz paniczny strach przed zagładą atomową – sprowadza się z grubsza do skandalu, jakim jest śmierć matki czwórki dorastających dzieci. Owdowiały mąż wiezie jej prochy na pogrzeb, a zatrzymawszy się na pustyni, nie potrafi wyznać córkom i synowi prawdy o tragedii, jaka ich dotknęła. Historia o rozdzierającej serce żalobie oraz chęci przedłużenia beztrudnej młodości podana jest w czasie dokonanym – jako treść sztuki wystawianej właśnie przez jej autora w teatrze Tarkington w Indianie wzorowanym na słynnym Actor’s Studio. W filmie pojawiają się wielkie nazwiska, m.in. Tom Hanks, Scarlett Johansson, Margot Robbie, Edward Norton, Adrien Brody, lepiej jednak nie spodziewać się olśniewających solówek. Grają epizody. Pierwsze skrzypce bezdyskusyjnie należą się Andersonowi z wdziękiem i zręcznością prowadzącemu coraz liczniejszy gwiazdorski zespół.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Nie błyszczysz 3/6

Flash, reż. Andy Muschietti, prod. USA, 144 min

Chyba tylko najwierniejszym fanom superbohaterów nie znudziła się jeszcze koncepcja multiwersum, przerobiona już w serialach spod szyldu „Arrowverse”, w filmach o Avengersach oraz w animacjach o Spider-Manie. Ale i tak dostają kolejną opowieść o podróżach między liniami czasowymi i chaosie, jaki to może wywołać. Tytułowy bohater (**Ezra Miller**), korzystając ze swoich mocy, przenosi się w przeszłość, by ocalić swoją matkę



zamordowaną przez włamywacza. Pozornie odnosi sukces, ale przy okazji doprowadza do katastrofalnych zmian, które może spróbować powstrzymać jedynie przy pomocy samego siebie z alternatywnej rzeczywistości oraz Batmana (którego po 30 latach przerwy ponownie zagrał Michael Keaton). Gęsto tu od autocytatów, aluzji, mikroskopijnych występów gwiazd (lub ich cyfrowych awatarów) i syjących się w zawrotnym tempie fanowskich żartów. I nawet sprawdza się to całkiem

nieźle, choć trafi przede wszystkim do tych widzów, którzy marzyli, by jeszcze raz zobaczyć tę czy inną postać na wielkim ekranie. Scenariusz jest wielkim hołdem złożonym komiksom i ich ekranizacjom – sięga przy tym nawet po archiwalne seriale kinowe z lat 40. – a jednocześnie stanowi próbę zespojenia ich w iluzoryczną całość w ramach multiwersum. Niestety, zapomina przy tym o koherentnej, przekonującej fabule czy wiarygodnych bohaterach. Flash w obu postaciach przykuwa uwagę, Keaton robi, co może, by jeszcze raz tchnąć życie w Batmana, reszta to statyści, którzy służą jedynie pchaniu akcji do przodu. Dla części fanów „Flash” będzie ucztą, dla pozostałych widzów może okazać się testem na wytrzymałość.

JAKUB DEMIAŃCZUK

w telewizji

Uwolnić sutki 3/6

Idol (The Idol), twórcy serii: Sam Levinson, The Weeknd, 6 odc., HBO Max

Trudno oceniać serial po jednym odcinku, zgadując nie tylko, w jaką stronę się rozwinie, ale też co o nim mówi decyzja HBO, by nie udostępniać go dziennikarzom przed premierowo. A mowa o nowej produkcji twórcy głośnej i wzbudzającej kontrowersje „Euforii”. „Idol” też opowiada o zagubionej nastolatce po załamaniu nerwowym i o relacjach pełnych manipulacji, w tym tych seksualnych. Tym razem akcja dzieje się w (cynicznej) branży muzycznej, a Jocelyn (grana przez **Lily-Rose Depp**), gwiazda wzorowana na Britney Spears czy Miley Cyrus, próbuje znaleźć w niej własny głos. Sądząc po pierwszym odcinku, szuka go w nagości i seksie – walcząc z koordynatorem intymności o możliwość pokazania na okładce nowego singla całych piersi, a nie kawałka, oraz fascynując się właścicielem nocnego klubu (muzyk i producent Abel Tesfaye, znany jako The Weeknd), o vibie gwałciela, a może bardziej domorskiego gangstera i alfonsa o ambicjach guru seksualnego rodem z „50 twarzy Greya”. O serialu zrobiło się głośno m.in. z powodu zwolnienia reżyserki i przepisywania scenariusza pod dyktando The Weeknd oraz relacji członków ekipy (w „Rolling Stone”) o kręceniu scen w stylu męskiej fantazji o gwałcie i „torture porn”. Po pokazie dwóch odcinków na niedawnym festiwalu w Cannes recenzje były miażdżące: „soft porno”, „odyszea z Pornhuba”. Tymczasem pilot przypomina teledysk wypakowany obrazami skąpo odzianej nastolatki. O głównych bohaterach i ich motywacjach niewiele wiadomo. Na tym etapie i oni, i obraz branży wypadają bardzo stereotypowo.



ANETA KYZIOŁ

w galerii

Tony na tony 5/6

Tony Cragg. Rzeźby i prace na papierze,

CSW Znaki Czasu, Toruń, do 10 września

Tony Cragg. Alternatywna rzeczywistość,

PGS Sopot, do 15 października



na scenie

Książę z kampera 3/6

Giuseppe Verdi, **Rigoletto**, reż. Romuald Wicza-Pokojski, Opera Bałtycka

Wszystko zaczyna się nie od balu w pałacu księcia Mantui, lecz od pijackiej imprezy w dwóch kamperach. I właściwie nic się dalej nie zmienia – w założeniu reżysera gdańskiej inscenizacji rzecz dzieje się w zamkniętej grupie, w środowisku włóczęgów-koczowników. Książę różni się od swoich kompanów chyba tylko ciemnymi okularami, ale najwidoczniej zdobył sobie wśród nich autorytet. Mechanizmy międzyludzkie w każdym środowisku są podobne, a zło czai się wszędzie – wydaje się mówić ten spektakl. Poniekąd to prawda, ale dobrze byłoby, gdyby tej stosunkowo mało wizualnie atrakcyjnej wizji towarzyszył znakomity śpiew. Jednak na premierowym spektaklu tak nie było: Leszek Skrla jako tytułowy błazen nadmiernie wibrował, Joanna Kędzior, która wcieliła się w jego córkę Gildę, często niestety śpiewała zbyt ostrym głosem. Łukasz Załęski – Książę – też nie był na premierze przy głosie, śpiewał w sposób wyraźnie wysilony. Jasnym punktem wieczoru była orkiestra, znakomicie przygotowana i z wycuciem prowadzona przez swego nowego szefa muzycznego Yaroslava Shemeta, młodszego dyrygenta ukraińsko-polskiego, który od niedawna łączy tę funkcję z kierownictwem muzycznym Filharmonii Śląskiej.

DOTOTA SZWARCMAN

Wtym roku wakacyjna trasa do Sopotu lub okolic prowadzić powinna przez Toruń. Szczególnie jeżeli ktoś interesuje się sztuką. W obu tych miastach, niemal równocześnie, otwarto bowiem wystawy brytyjskiego (choć od 1977 r. mieszkającego w niemieckim Wuppertalu) rzeźbiarza Tony'ego Cragga. To międzynarodowa gwiazda pierwszej wielkości, artysta, który w swoim CV ma ekspozycje praktycznie we wszystkich najważniejszych muzeach i galeriach na świecie. Bywał już i w Polsce, ale tak dużej prezentacji jeszcze nie miał. Podobno jest to druga największa wystawa (po Chinach, z którymi trudno w tej kwestii rywalizować), jaką mu kiedykolwiek zorganizowano. To artysta intrygujący i niepozwalający widzowi na nudę. Nieustannie eksperymentuje, zarówno z materiałem, jak i formą. Właściwie żaden rzeźbiarski materiał nie jest mu obcy czy oporny. Tworzy w brązie, drewnie, ale też w szkłe, gipsie czy materiałach syntetycznych. Jego prace, pełne vitalności i dynamizmu, bliższe są wprawdzie abstrakcji, ale często uruchamiają skojarzenia ze światem biomorficznych bytów. **Wystawa toruńska** jest prawdziwie imponująca i całościowa: na blisko 2 tys. m. kw. pomieszczono 53 rzeźby i 125 rysunków prowadzących przez niemal cały dorobek twórcy. Sopotcka wystawa – skromniejsza, koncentrująca się na pracach ze szkła. Ale jako ekspozycja pokazywana nad morzem ma inny atut – kilka monumentalnych dzieł umieszczono w parku przylegającym do galerii. Świetne dopełnienie do niedawnej wystawy w Orońsku innego brytyjskiego rzeźbiarza – Anisha Kapoora.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Polifonia 5/6

Katarzyna Kubisiowska, **Się żyje. Kora. Biografia**, Znak, Kraków 2023, s. 494

Kolejna książka o Korze. Czy udało się autorce opisać coś, czego do tej pory nie opisano? Były przecież książki Kamila Sipowicza, Beaty Biały, do tego liczne artykuły wspomnieniowe, materiały filmowe, no i piosenki, ciągle słuchane w różnych, i tych oryginalnych, i tych nowych wersjach innych wykonawców zafascynowanych zmarłą pięć lat temu Korą. Najwyraźniej ten pięcioletni dystans wystarczył, by Katarzyna Kubisiowska, specjalistka od dziennikarstwa biograficznego, mogła pójść dalej w odkrywaniu opisywanego życiorysu. Czytamy zatem opowieść o rozderganych emocjach, poważnych związkach, przelotnych miłościach, uniesieniach i smutkach, chwilach szczęścia i kłótniach. O synach, z których młodszy z opóźnieniem się dowie, kto jest jego prawdziwym tatą. A także o umieraniu, co jest najbardziej



przejmującą częścią tej książki. Dowiadujemy się niemal wszystkiego o rodzicach i rodzeństwie bohaterki, o pobycie w sierocińcu, dokąd trafiła wraz z siostrą, bo u matki zdiagnozowano gruźlicę i nie była w stanie należycie zaopiekować się dziećmi. Bieda, potem alkoholizm starszych braci, jeszcze później nastoletnia młodość, hipisowskie praktykowanie wolności w siermiężnych warunkach PRL i wreszcie śpiewanie, muzyka, co stanie się wyborem na całe życie. Kariera muzyczna ciasno splata się z innymi wątkami, tworząc swoistą polifonię. Od razu przychodzi do głowy sławne hasło „sex, drugs and rock’n’roll”. I choć Kora rzeczywiście żyła muzyką od zawsze, w książce Kubisiowskiej muzyka tworzy częściej tło niż pierwszy plan. No, ale o muzyce Kory wiedziliśmy przecież „od zawsze”.

MIROSLAW PĘCZAK



Zakłócenia 4/6

Deesha Philyaw, **Sekretne życie pobożnych kobiet**, przeł. Rafał Lisowski, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 192

Opowiadania, które składają się na tom „Sekretne życie pobożnych kobiet”, nie były na początek pomyślane jako spójny zbiór. Philyaw pisała krótkie fikcje, nie myśląc, że układają się one w całość, do czasu aż jej agentka nie określiła ich „historiami pobożnych kobiet”. To dało pisarce impuls

do napisania kolejnych części i złożenia ich w całość, zorganizowaną konsekwentnie wokół czarnoskórych kobiet, seksu i Kościoła. Fikcje Philyaw wyrastają częściowo z nostalgii i tęsknoty za dzieciństwem na Południu. Głosy czarnoskórych kobiet są głosami jej babć, przyjaciółek, nauczycieli ze szkoły niedzielnej i innych *church ladies*, wśród których autorka dorastała. Philyaw często odbija się od wspomnień, które splata z fikcją, rozwija poprzez eksperyment i wyobraźnię. Na przykład w znakomitej fikcji epistolarnej „Droga siostrzo” za punkt wyjścia pisarka wybiera śmierć własnego ojca i próbę podjęcia przez nią i siostry kontaktu z piątą, przyrodnią siostrą. Pisarkę zajmuje nie tylko zakłócenie istniejących narracji, ale także wynajdowanie form wytrącających z przyzwyczajenia (jedno z opowiadań korzysta np. z formatu instrukcji). Choć efekt nie zawsze jest rewolucyjny, to „Sekretne życie” wypada uznać jeden z ciekawszych w ostatnim czasie zbiór krótkich form.

PAWEŁ JASNOWSKI



Sjesta życia 3/6

Manuela Gretkowska, **Przeprawa**, Znak Literanova, Kraków 2023, s. 297

Czytanie niektórych książek przypomina dziś „scrollowanie” mediów społecznościowych i to jest przypadek „Przeprawy” Gretkowskiej. Przy czym autorka dosłownie przepisuje fragmenty ze swojego profilu na Facebooku. A to o śmierci królowej Elżbiety, a to o Meghan Markle, a to o Stasiuku i zwierzętach. Czy są tak błyskotliwe, że trzeba je było utrwalić? Niekoniecznie. Owszem, wychodzi teraz dużo prozy autobiograficznej, ale nie wszystkie zapiski to już literatura. Annie Ernaux kilkadziesiąt lat szukała formy dla swoich „Lat”. Gretkowska po udanych powieściach, m.in. „Faworyty” czy „Poetka i książkę”, wraca w „Przeprawie” do formy dziennika jak w „Polce” czy „Europejce”. Tylko o czym jest ta książka? Nie o Polsce w czasie trudnym, bo choć wokół szaleje pandemia, a potem wojna w Ukrainie, to niewiele z tego czasu udaje jej się zapisać. Za to jest opowieść o kupowaniu domu w Grecji, życiu na dwa kraje, czyli o „sjeście życia”. Owszem, wielu czytelników prawdopodobnie marzyłoby o takim rozwiązaniu, życie tutaj łatwe nie jest, ale nie tak wielu na to stać. Dostajemy też opowieści o negocjacji z Netflixem, szukaniu pracy córce, nagrywaniu reklamy, pisaniu felietonów do „Newsweeka”, a potem pustce po felietonach. Jeden moment jest bardzo przejmujący: sylwester z matką w Łodzi, kiedy Gretkowska szuka dla niej leku po aptekach. Ale ta opowieść ginie w zalewie rozmaitych opinii. Zresztą sama Gretkowska swoją technikę nazywa „wylewaniem”. Rzeczywistość budzi w niej wściekłość i tę emocję zapisuje. Jednak bezkompromisowość w literaturze to coś innego niż ostre opinie na Facebooku. Bywa też sielsko, oczywiście w Grecji, choć czasem za gorąco. Ta opowieść nie układa się w żadną całość. Widać wyraźnie, że książka jako przedłużenie mediów społecznościowych po prostu nie działa.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

na płycie

Ocaleni 5/6

Foo Fighters, **But Here We Are**, Roswell

Po raz kolejny Dave Grohl ma o czym śpiewać. Po raz kolejny też powody są tragiczne, a efekt równie potężny emocjonalnie co niemal 30 lat temu, kiedy śmierć Kurta Cobaina i kres Nirwany jako jej ówczesny perkusista postanowił zagłuszyć własną muzyką wykonywaną już z gitarą i na czele nowej grupy Foo Fighters. I trzeba przyznać, że jego zespół – przez trzy dekady synonim raczej solidnego rockowego rzemiosła niż odkrywania nowych lądów – nie brzmiał tak przekonująco od swoich prapoczątków. „But Here We Are” rozpoczyna się i kończy



jasnymi (jak sama okładka) odniesieniami do zeszłorocznej tragicznej śmierci Taylora Hawkinsa, wieloletniego perkusisty Foo

Fighters. W tle pojawia się też odejście matki Grohla, Virginii, którą lider oplakiwał ledwie kilka miesięcy później. Tyle że w singlowym „Rescued” opowieść skupia się na tych, którzy przeżyli, a w finałowym „Rest”, lamencie przypominającym utwory Smashing Pumpkins – na pogodzeniu ze stratą. Jeśli dodać do tego długi, 10-minutowy utwór „The Teacher” czy tytułowe „But Here We Are” emanujące energią grunge’u, dostajemy bardzo mocny album, który może zaimponować nawet tym, którzy grupy Grohla na co dzień nie słuchają.

BARTEK CHACIŃSKI

Blues inaczej 4/6

1984, **Projekt Loebli**, Antena Krzyku

Niektórzy uważają, że blues nie musi być smutny, ale teksty poety Bogdana Loebla, dzięki któremu dekady temu blues zaczął brzmieć po polsku, nigdy nie były wesołe. Dziś przypomina o tym płyta zespołu 1984 „Projekt Loebli”. Kapela, która w latach 80. nawiązywała do depresyjnej zimnej fali i współtworzyła rzeszowską alternatywną scenę muzyczną, sięgnęła po teksty Loebla, w duchu i formie bluesowe, by połączyć je z inną estetyką. Idea, by śpiewać o tym, co boli, napędza tęsknotą, przygnębieniem, a czasem przerażeniem,



najwyraźniej pogodziła bluesową specyfikę twórczości Loebla z tym, co zawsze uobecniało się w dokonaniach 1984. Nic dziwnego, że „chłodne” dźwięki tak dobrze

tworzą podkład do tekstu piosenki „Już dopadną zaraz mnie” stanowiącego bardziej drastyczną wersję śpiewanego kiedyś przez Breakoutów bluesa „Oni zaraz przyjdą tu”. I tak samo zgodnie z muzyką wybrzmiał tekst „Czy nasza miłość” – pięknie zaśpiewany przez Almę Bury. Może warto uznać, że sens bluesa to niekoniecznie taki a nie inny schemat rytmiczno-melodyczny i że można zagrać inaczej, nie gubiąc wrażliwości, którą kojarzymy z songami Muddy’ego Watersa, B.B. Kinga czy naszego Tadeusza Nalepy.

MIROSLAW PĘCZAK

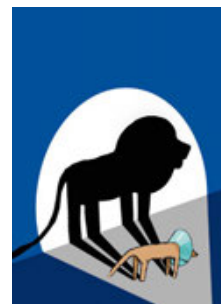
festiwale

Lekko o nielekkim

Międzynarodowa Wystawa „Satyrykon”, cykl imprez 16–18 czerwca, Legnica, wystawa do 30 września

Doczekaliśmy trudnych czasów, a jednym ze sposobów na ich oswojenie jest żart, uśmiech, śmiech. I tu niezawodny okazuje się „Satyrykon” organizowany w Legnicy od ponad 40 lat. To wielka międzynarodowa impreza, na której rysownicy z całego świata (w tym roku z 67 krajów) próbują opowiadać lekko o nielekkich często sprawach. Clou programu pozostaje tradycyjnie planowana do końca września wystawa najlepszych prac, a tytaniczne zadanie wykonuje jury, wybierając na nią sto najlepszych spośród 2,5 tys. nadesłanych na konkurs rysunków. Ale w dniach 16–18 czerwca przygotowano w Legnicy cały minifestiwal złożony z koncertów (m.in. laureata Paszportu POLITYKI Błażeja Króla), pikników, imprez dla dzieci, a także wystaw towarzyszących. I tu pojawia się kolejny redakcyjny akcent, albowiem bohaterem jednej z nich będzie nasz redakcyjny kolega **Marek Kwiatkowski**, który zdobył także II Nagrodę w jednej z dwóch konkursowych kategorii (za pracę „Chory na ego” z okładki POLITYKI 11/2021). Gratulujemy Markowi, a czytelników zapraszamy na niezmiennie piękną Dolny Śląsk. P.S.A.

Szczegóły: www.satyrykon.pl



REKLAMA

Jazz Around Festival

21-22.07.2023

MCK/NO SPR / Katowice

WWW.JAZZAROUND.PL
@f /JAZZAROUNDFESTIVAL



CORY WONG

JACOB BANKS

BENJAMIN CLEMENTINE



THE COMET IS COMING

21.07

INCOGNITO · THE COMET IS COMING · STEPHEN DAY
DOROTA MIŚKIEWICZ FEAT. HENRYK MIŚKIEWICZ
MABASO & KUBA BADACH · OLE BØRUD
MAREK NAPIÓRKOWSKI OKTET STRING THEORY
KLAWO · AFTER 'OURS · MYCHELLE · US09001

22.07

JACOB BANKS · CORY WONG · BENJAMIN CLEMENTINE
BROOKLYN FUNK ESSENTIALS · THEO CROKER
MONIKA BORZYM · MONONEON · MÖRK
TERTIA MAY · CANDLELIGHT FIGUS
KASIA PIETRZKO TRIO / MACIEJ KĄDZIĘLA
/ ANDRZEJ CHYRA „NORWID”

Andrzej Chyra
(ur. 1964 r.) – absolwent warszawskiej PWST (obecnie Akademia Teatralna) w dziedzinie aktorstwa (1987 r.) i reżyserii (1994 r.). Jeden z najwybitniejszych polskich aktorów, znany zarówno z filmu („Dług” Krzysztofa Krauzego, „Komornik” Feliksa Falka, „W imię” Małgorzaty Szumowskiej), jak i z teatru (przede wszystkim Nowy Teatr w Warszawie). Nowy serial „Sortownia”, w którym gra główną rolę, to koprodukcja Canal+ i Polsatu.

Sztuka to nie katecheza

Grany przeze mnie bohater przeżył traumę, która zaburza jego zdolności rozpoznawania dobra i zła. Czy tak jak on Polacy też mają zakłócone zdolności poznawcze? – zastanawia się aktor i reżyser **Andrzej Chyra** przed premierą serialu „Sortownia”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – **Tylko nie o roli, powiedziałaś. To o czym mamy rozmawiać?**

ANDRZEJ CHYRA: – Pretekstów jest mnóstwo.

Więc zaczniemy od wyborów. Co one przyniosą Polsce?

Mam nadzieję, że zmianę władzy. Ale podziały w społeczeństwie zostaną. Po 1989 r. zabrakło nam doświadczenia i wiedzy, czym jest demokracja. Polacy nie ufają politykom, więc nie ma napływu nowych wartościowych ludzi. Wychowały nas zabory, komuna. Cieszymy się, jak cokolwiek dostajemy, bo generalnie niewiele nam się należy – mentalnie pozostaliśmy niewolnikami. A Kościół to usankcjonował i przyklepał na każdym poziomie.

Jak wygra opozycja, też będziemy się dusili w katolickim skansenie?

Oczywiście. Nie rozdzieliliśmy państwa od Kościoła jak zachodnie demokracje.

Bo rządzący Polską po 1989 r. odwdzięczyli się Kościołowi za rolę, jaką odegrał w obaleniu komunizmu.

Tak, ale to myślenie jest oparte na fałszywym założeniu. Dlaczego musimy się odplacać Kościołowi? Jeżeli Kościół chce odgrywać rolę przewodnika duchowego, to ma taką możliwość. Tak się składa, że polski Kościół jest największym posiadaczem. Prowadzi rozległe interesy. Nie podlega polskiej jurysdykcji. Nie płaci podatków. Dzięki konkordatowi jest praktycznie nietykalny. Dla Kościoła najważniejsze jest dobro Kościoła. Dobro dzieci jest również tej zasadzie podporządkowane. Tak było zawsze. Najpierw jest Bóg, potem Kościół i głowa Kościoła, dalej cała hierarchia, a dopiero potem wierni, czyli człowiek – najpierw wierzący, a na koniec ci, którzy nie pójdą do nieba. Jak na obrazach sądu ostatecznego, weźmy Memlinga, bo mamy go w Gdańsku. A ten tryptyk jest naprawdę wart zobaczenia. Zaskakuje m.in. wielką tęczę, która łączy i dzieli niebo z ziemią i życie ze śmiercią.

Czyli nawet jak PiS przegra, to ta mentalność pozostanie.

To się da zmienić?

Najpierw trzeba to sobie uświadomić. Święci katolicy są wielkimi bohaterami Kościoła. Jednak świętość to kategoria nie z mojego świata i nie jest dla mnie żadną wykładnią porządnego człowieka. Jak się ma świętość do pedofilów w sutannach i ich obrońców? Pytasz, co można zrobić. Należy zacząć od edukacji. Nasze szkolnictwo tkwi w XIX-wiecznym paradygmacie. Ocenia negatywnie – stopnie służą poskramianiu uczniów. Ogromna ilość materiału do opanowania nie rozwija samodzielnego myślenia. Nauczyciele, rodzice są zadowoleni, jak dziecko wykuje na pamięć i bezmyślnie powtórzy. Uczyłem kiedyś na wydziale reżyserii pracy z aktorem. Jeden rocznik był stricte polski, drugi międzynarodowy. Miałem wrażenie, że nasi czekają jak ósmioklasiści w ławkach na radę, na pozwolenie. Nie wychylali się z własnymi pomysłami. Ci drudzy wiedzieli, że to do nich należy inicjatywa, mieli fantazję, konkretne wizje, zgłaszali ciekawe rozwiązania. Wiedzieli, że są partnerami w każdej sytuacji.

Może na tym polega demokracja, której musimy się nauczyć.

Tymczasem my powierzyliśmy edukację człowiekowi kompletnie się do tego nienadającemu, który eskaluje konflikty. Tych, którzy przeciwko niemu głosowali, ale również część swojego środowiska, Czarnek ma w głębokiej pogardzie. Ta pogarda wzięła się z nieprzepracowanego u nas feudalnego porządku, z podziału społeczeństwa na kasty. Władza jest tą boską, oświeconą częścią. Ona wie lepiej, więcej może. A ciemny lud ma słuchać.

Powiedziałaś kiedyś, że styl rządzenia PiS nacechowany jest immanentną przemocą.

Widzimy, czym się objawia pogarda, czyli przemoc bierna, w stosunku do nauczycieli, do wymiaru sprawiedliwości, do służby zdrowia, nie mówiąc o intelektualistach i inteligencji. Rozmawiałem o tym niedawno z Andą Rottenberg. Powiedziała,

że niszczenie autorytetów przypomina jej 1933–34 r. Niektórym się wydaje, że władza ma do tego prawo, bo jest władzą. Osiem lat temu patrzyliśmy z politowaniem na Węgrów, którzy nic nie zrobili, żeby powstrzymać Orbána, cieszyliśmy się, że w Polakach jest wola walki. Niestety, również w nas bardzo szybko skończył się zapał. Wytrwałość i determinacja faszystów, nacjonalistów, antysemitów, homofobów nas pokonała. Po wygaśnięciu protestów przeciwko reformie sądownictwa pojawił się jeszcze Strajk Kobiet, który uznał, że nie będzie z nikim wchodził w żadne koalicje, i w odosobnieniu coraz bardziej schodził na margines. A okrzyk Marty Lempart „wypierdalaj” do młodego Rosjanina pragnącego się przyłączyć do demonstracji pod rosyjską ambasadą to dla mnie sygnał, że stało się coś niedobrego.

Czyli?

Skupiając się na stronie kobiecej protestów, feministki ustawiają sobie za wroga mężczyzn. Nie tych, którzy faktycznie im szkodzą, tylko takich, którzy mają miękkie podbrzusza i chcą ich słuchać. I być może w efekcie, zamiast osłabiać, zasilała szeregi Konfederacji tymi odrażonymi facetami, dla których nie mają innej niż to „wypierdalaj” propozycji. Ale śledząc ich, mam wrażenie, że na wiosnę to się zaczęło zmieniać. Wszyscy wracamy na ziemię. A 4 czerwca pokazał, że łączy nas więcej, niż dzieli, i przypomnieliśmy sobie, kto stoi na drodze do naszego nieba tu, na ziemi.

W serialu „Sortownia”, w którym grasz lekarza pracującego na SOR, twój bohater na przemoc odpowiada przemocą.

Wstrzykuje śmiertelną dawkę pavulonu złym ludziom.

Zniszczyć, unicestwić wroga – taką realizuje strategię, która wydaje się pokusą w głowach wielu ludzi. Jesteś blisko eugeniki i faszyzmu.

To tylko serial zrealizowany w konwencji thrillera. Jeśli natomiast próbujemy z tego wyciągać ogólniejsze wnioski, to należy się sprostowania. Stan psychiczny postaci, którą gram, związany jest z tajemnicą funkcjonowania człowieka. Bohater przeżył traumę 20 lat temu i ta trauma, nagle obudzona, zaburza jego zdolności rozpoznawania dobra i zła. Czy tak jak on Polacy też mają zakłócone zdolności poznawcze? Duża część jest zdezorientowana. Prosty przykład: uważamy, że jak kradnie jeden z nas, to w porządku, a jeśli obcy, to się go piętnuje.

Historia uczy, że Polacy nasiąknęli zbieraną od wieków frustracją, grożącą eksplozją w postaci skrajnego niezadowolenia, czy chęcią wymierzania sprawiedliwości różnym, jak powiedziałaś, uprzywilejowanym kastom.

To serial dla dorosłych, stawiający prowokacyjne pytanie: co gdyby posunąć się krok dalej? – jak w klasycznym kinie Peckinpaha. Nie zatrzymywać się tylko na życzeniu komuś śmierci. Pokazujemy drastyczną sytuację polegającą na działaniu wbrew etycznym przekonaniom. Mnie osobiście interesowała w tym niekonsekwencja naszego postępowania i sytuacje, kiedy działamy przeciwko i wbrew sobie.

Rozsądek, kompromis, dogadywanie się w imię dobra wspólnego nie są mocną stroną Polaków. Działamy bardziej pod wpływem emocji?

W kategoriach prawno-moralnych ocena mojego bohatera jest oczywista. Ale sztuka nie jest katechezą! Ciekawsze wydaje mi się, że jego mentalność może faktycznie wpisuje się w jakiś ogólniejszy schemat, chociaż żadne polityczne aluzje w serialu się nie pojawiają.

Uważasz, że żyjemy w społeczeństwie niezbyt racjonalnym?

Absolutnie. Przesąd, zabobon, mądrości ludowe, katecheza są dla sporej części Polaków źródłem wiedzy o świecie i życiu, z czego korzysta władza, bo ma obywatela, który nie będzie się zastanawiał, jak rozwiązywać samodzielnie problemy, za to chętnie wykona płynące z góry polecenia. ►

► **A przemoc w teatrze? Też jest wszechobecna?**

O przemocy w teatrze najwięcej mają do powiedzenia ci, którzy dopiero zaczynają w nim swoją przygodę. Z mojej perspektywy 23 lat spędzonych na scenie wygląda to tak, że działy się różne rzeczy na próbach, również nieprzyjemne. Ale sytuacji czysto przemocowych było niewiele. Na palcach jednej ręki da się policzyć. Gdy zespół próbuje zrobić coś naprawdę dobrego, wiąże się to z dużym wysiłkiem i ryzykiem przełamania granic. Ważne, by dostrzec przestrzeń, by te granice w miarę bezboleśnie poprzestawiać. Ponieważ pracowałem głównie z Grześkiem Jarzyną i Krzyśkiem Warlikowskim, ten eksperyment zawsze był tam wpisany. Nigdy bym jednak nie scharakteryzował go jako naruszający godność czy zagrażający mojemu poczuciu fizycznego bezpieczeństwa. Gdy dzisiaj słyszę, że przed kontaktem z partnerem mam powiedzieć: Przepraszam, zaraz ci położę rękę na ramieniu – cała moja spontaniczność, kreatywność, energia, efekt zaskoczenia, uchodzą ze mnie. Kompletnie nie interesuje mnie taki teatr i taka praca. Nie ma nic gorszego niż z góry narzucona moralna poprawność. To katechizm, nuda, wprowadzanie w świat jednoznaczny, bez półcieni.

Nie da się wyrażać skomplikowanych emocji w bardziej sformalizowany sposób?

Można. Indywidualność artysty polega jednak na tym, że trudno jego ekspresję zamknąć w sztywnych regułach. Mamy bardzo silny ruch antyprzemocowy, który istnieje tylko po naszej stronie politycznej barykady. A ta druga strona jest nie do ruszenia. Moim zdaniem robienie porządku jedynie na swoim poletku w oderwaniu od tego, jakie to skutki wywołuje w szerszym kontekście, może być przeciwnie skuteczne. Potrzebne są działania systemowe. Ale tylko w zdrowym państwie ma szansę to zadziałać. Dlatego zdrowe państwo to jest ten nadrzędny dziś cel.

Wolałbyś, żeby wszystko zostało po staremu, a samooczyszczenie odłożyć na lepsze czasy?

Wszystko zależy od tego, kto oczyszcza i z czego. W przypadku np. Tomasza Lisa nie wiem, jakie są intencje oczyszczających. Czy toczy się jakaś sprawa karna przeciwko niemu? Mam wrażenie, że w środowiskach artystyczno-dziennikarskich często posługujemy się samosądem. Wyłączyliśmy do mediów ze wszystkimi naszymi żalami, oskarżeniami, ale do sądu już nikogo nie podajemy.

Na to trzeba mieć przekonujące dowody.

Skoło się ich nie ma, dla czego mam wierzyć temu, co oskarża, a nie temu, kto się broni?

Kobietom pobitym albo zgwałconym też nie wierzysz?

Wierzę, jasne. Mówimy na inny temat. Można założyć, że niektórzy korzystają z furtki niedopowiedzenia, żeby załatwić jakiś swój interes. Żeby kogoś *skancelować*. Rozmawiałem o tym z dziewczynami z ruchów emancypacyjnych, pytając, dlaczego od razu upubliczniają takie oskarżenia. Bo to jest skuteczne – mówią.

Nie mają racji?

Myślisz, że to naprawia sytuację? Relacje w teatrze wyglądają dziś tak, że staliśmy się wobec siebie nieufni. Najogólniej mówiąc, jeśli 2 proc. środowiska stosowało przemoc, to całeż reszcie też się dostało. Spotykając się z ludźmi, powtarzam, że nie zgadzam się z nadawaniem akcji „Stop przemocy w teatrze” rangi ogólnopolskiej. Przecież w każdej branży może się dziać podobnie. Dlaczego mamy niszczyć rangę teatru, wpisując go w ten brudny nurt, jakby na to rzeczywiście zasługiwał, i to teraz, gdy niszczenie autorytetów i dobrego imienia jest na rękę PiS.

Może taka jest cena tych rozliczeń? Żeby coś nowego zbudować, stary porządek musi być zburzony?

Janusz, zrób coś skutecznego, jeśli wokół siebie masz tylko podejrzliwość i nieufność. Nie da się. Dlatego Warlikowski tak

ostrożnie wprowadza nowych ludzi do zespołu. Takie ekosystemy są bardzo czułe i delikatne. Musimy bronić jakości i wzajemnego zaufania, które wypracowaliśmy przez lata.

Chodzi o inną metodę pracy, nic więcej.

Ja też, jak zaczynałem w tym zawodzie, chciałem innej metody pracy. Okazało się, że jedynie swoją jakością mogłem cokolwiek zmienić. Teraz, gdy ktoś przychodzi, od razu tupie nogą, bo ma wenę i był dobry w szkole. To za mało.

Nie wiem, czemu ciebie dziwi naturalny proces zmiany pokoleniowej.

Ta zmiana jest nieunikniona – mówię o przejmowaniu władzy w teatrze, domaganiu się usunięcia dinozaurów i zajęcia ich miejsca bez względu na cudzy dorobek. To też nie jest reguła, ale może realizuje się właśnie moje marzenie o ludziach z inicjatywą.

A nie jest tak, że najlepsze posady są zabetonowane?

To jest myślenie nacechowane nieufnością i szablonami. Weźmy reżysera filmowego Damiana Kocura, autora świetnego dramatu „Chleb i sól”. Pojawił się ze swoim idiomem wrażliwca. Nowoczesny i profesjonalny. Tworzył już od paru ładnych lat, lecz właśnie teraz przyszedł jego moment. I generalnie myślę, że trzeba tworzyć szanse szybkiego startu. Przed laty na spektakl dyplomowy w reżyserii Tadeusza Łomnickiego „Stracone zachody miłości” Szekspira przyszedł Jerzy Waldorff. Po spektaklu otoczyliśmy go, pytając o wrażenia. Waldorff popatrzył uśmiechnięty na nas i po chwili krótko zrecenzował: Cudownie dużo młodzieńczości. I to było wszystko. A myśmy czekali na peana, bo w naszych oczach byliśmy najlepsi, ale dla człowieka, który całe życie tkwił w świecie sztuki, może tylko ta „młodzieńczość” ma autentyczną wartość. To – jak widzisz – utkwilo mi głęboko. I wtedy też zapamiętałem, że sama młodzieńczość to dla mnie za mało.

Twoja koleżanka Ola Konieczna napisała na Twitterze, że się za ciebie wstydzi, gdy mówisz, że nie chcesz, aby ktokolwiek cię poucał w kwestii właściwego zachowania. Nie przemawia przez ciebie pycha?

Nie. Nie myślę o konkurencji. OK, jestem uprzywilejowany, ale na to zapracowałem. Wystartowałem jako aktor w wieku 35 lat. Swoją pozycję zawdzięczam wyłącznie temu, co zrobiłem. Protestuję przeciwko akcji „Stop przemocy w teatrze”, bo się wkurzyłem na kancelowanie pewnych środowisk bez świadomości, jakie to niesie inne konsekwencje. Sprzeciwiam się temu, a działam emocjonalnie, bo emocjonalność jest we mnie wpisana. Przepraszam, że się unoszę. Ale nie toleruję usankcjonowanej formy przemocy, jaką jest kasowanie ludzi w internecie zamiast oddawania pod prawomocny osąd.

Widzisz z tego jakieś dobre wyjście?

Nie bardzo. Osiem roczników pod rządami PiS opuściło szkoły. Ten, kto zaczynał liceum w 2015 r., teraz kończy studia. Najbardziej formujący okres życia zdarzył mu się w takich okolicznościach. Dopowiedzmy: w przemocowej szkole, która nie uczy partnerstwa, nie stawia na rozwój wewnętrzny człowieka, żąda podporządkowania. Wygoda i lenistwo – to wyuczony cel nowego pokolenia wchodzącego w życie z marzeniami, standardami, które są zupełnie obok tego, co wcześniej obowiązywało w Polsce.

Nie przemawia przez ciebie frustracja starzejącego się artysty? Za rok skończysz 60 lat.

Nie czuję, że jestem już po drugiej stronie, chociaż metrykalnie będę się za chwilę zaliczał do emerytów. Wewnętrznie czuję się młody. Coraz młodszy! Ja to kultuwuję, ale nie dla kogoś, lecz dla samego siebie. Bezcelnie wchodzę we wszystkie dostępne ścieżki, eksperymentuję, konfrontuję moją głowę i wrażliwość z nowymi i starymi, często przerabianymi wcześniej, tematami. Otwieram się na to, co proponują 20-, 30-latkowie. Gram w filmach warsztatowych, dyplomowych, debiutach.

Pierwszy raz od dłuższego czasu grasz główną rolę, w „Sortowni”. Częściej widzimy cię w epizodach, strasznie się rozdrobniłeś.

Trzeba też jakoś zarabiać. W tym roku nie miałem jeszcze ani jednego dnia zdjęciowego. Ale za to mam czas na rzeczy najważniejsze. Na przestrzeń, w której żyję ja, mój syn, moi bliscy, przyjaciele, wszyscy, którzy stąd nie wyjadą. Obserwuję bacznie rzeczywistość, staram się poznawać współczesny język sztuki. Muszę to mieć zapisane na swoim dysku. Mówi się, że bywam trudny na planie, domagam się notorycznie jakości – może dlatego. Jakość to coś, czego również nie lubi nasza władza, bo dla nich najlepiej, żeby wszyscy zadowalali się byle czym. Obniżyć próg akceptowalności naszych działań i jakości – to jest ta pochylnia, po której zjeżdżamy na dno Europy.

Odczuwasz różnicę w pracy z kobietami reżyserkami?

Pomińmy seksistowski kontekst tego pytania. (*śmiech*) Nie uznaję takiego dzielenia. Nie wartościuję, czy mózg męski jest inny od kobiecego. W sztuce to bardzo niewymierne. Liczy się warsztat. Talent jest niezależny od płci.

Późno zostałeś ojcem, czy rodzicielstwo zmienia podejście do pracy?

W ubiegłym roku przez trzy miesiące robiłem film w Gujanie Francuskiej „Les derniers hommes” Davida Oelhoffena. Więc teraz mam czas na budowanie przyjaźni z moim synem. A miłość rodzicielska prowokuje mnie do nowych aktywności. Nie zmienia mojego podejścia do zawodu. Raczej zmusza do większej koncentracji. To, czego sam nie zostałem nauczony w dzieciństwie, czyli świadome partnerstwo, jest jednym z naczelnych tematów.

Psychologowie mówią, że to zaklęty krąg – dzieci powielają wzorce swoich rodziców. Bardzo trudno jest coś zmienić, bo podświadomie dążymy do znanego nam modelu.

Najprawdopodobniej tak jest. Te same błędy polegają jednak na czymś innym. Moje pokolenie nie było tak przebudźcowane, znacznie wolniej wszystko przyswajało. Za to teraz mamy wysyp różnych objawów zespołu Aspergera, ADHD, problemów osobowościowych na wczesnym etapie. Znaleźć ścieżkę dojścia, żeby przepływ był bezpośredni, nie jest więc łatwo. Mnie ciekawi w tym element niespodzianki. A nie efekt, który będzie w pełni satysfakcjonujący i podawany jako bardzo dobry przykład. Tak samo w sztuce. Interesuje mnie eksperyment, twórczy rozwój polegający na tym, że spotykają się wyraziste talenty, które się uzupełniają, napędzają wzajemnie, ubogacają.

I tak masz z synem?

Dokładnie. To mnie chroni w jakimś stopniu przed dziaderstwem, bo dziaderstwo to po prostu zamknięcie w systemie. Niechęć albo niemoc realizowania zmian. Zwłaszcza tych na życzenie. Ktoś mówi do ciebie: Janusz, nie rób notatek w ten sposób, rób tak, jak ja ci każę. Większość ludzi może mieć z tym kłopot, a część w ogóle nie chce tracić swoich zdobyczy albo trudno usualnych nawyków, także tych w sferze mentalnej.

Wolałbyś, żeby piratowi drogowemu nikt nie dyktował ograniczenia prędkości?

Dziaderstwo mają w sobie także młodzi mężczyźni i część z nich postrzega to jako formę kastrowania. Walczmy z przemocą, ale nie maczugą. Zgadza się, że trzeba narzucić nowe reguły gry. Liczy się jednak sposób, w jaki to zostanie przeprowadzone. Nie na rozkaz, trzeba umieć w tym pomagać, dać czas na refleksję. Inaczej



Andrzej Chyra jako lekarz na SOR w serialu „Sortownia”.

faceci się wypną i powiedzą: bawcie się same. Mówię to wszystko nie żeby mieszać, tylko żeby włączyć mężczyźni jakimś pozytywnym przekazem. Może wystarczy przyjazny uśmiech.

A jak go nie dostaniesz?

Poradzę sobie. Nie jestem leniem. Angażuję się w działania obywatelskie, myślę o przyszłości syna. Chcę, żeby Polska była dla niego miejscem przyjaznym. Tymczasem jest miejscem przepełnionym przemocą.

A ty nie jesteś przemocowy?

Nie jestem, zdarza mi się powiedzieć czy zrobić coś gwałtownego, jak każdemu. Kto bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem. Płakać, rozpa-

czać nie mam zamiaru. Powtórzę: tylko działanie daje prawo do krytyki. A tym działaniem w skali społecznej jest obowiązek uczestnictwa w wyborach. Dziś, zwłaszcza po 4 czerwca, jest jasne, że nie powinniśmy szukać różnic, tylko podobnych wartości.

Stąd twoje zaangażowanie w Tour de Konstytucja?

Zaangażowałem się w ten ruch, by namawiać do wzięcia udziału w wyborach. Jego naczelnym celem jest ochrona i popularyzacja konstytucji jako źródła prawa cywilnego, karnego itd. Mało kto zna konstytucję i zdaje sobie sprawę z konkretnych zapisów. Zgłosiłem postulat, by wpisać ją do kanonu lektur. Całości nie trzeba czytać, choć to zaledwie 30–40 stron. Najważniejsze są prawa i obowiązki obywateli, reszta to sprawy systemowe. Chodzi o to, by wiedzieć, do czego można się odwoływać w razie naruszenia naszych wolności. Nie symbolicznie, tylko praktycznie. Zacytuję, bo może to kogoś przekona do przypomnienia sobie. Np. artykuł 72 brzmi: „Rzeczpospolita Polska zapewnia ochronę praw dziecka. Każdy ma prawo żądać od organów władzy publicznej ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją”. Po takiej lekturze łatwiej będzie zrozumieć, na czym polega łamanie konstytucji lub niespełnianie jej standardów. Bo konstytucja jest w gruncie rzeczy podręcznikiem demokracji.

Po tylu doświadczeniach i przekroczeniu smugi cienia dowiedziałeś się, na czym polega sens życia?

Na konfrontacji z nim. Na korzystaniu z życia. Na jego smakowaniu. Życie składa się z przygód. Patrząc wstecz, wspominamy: ta była fatalna, bo wpadłem w poślizg i prawie się zabiłem, tamta była cudowna, bo wlałem na palmę i znalazłem się blisko gwiazd. Nie da się mieć samych dobrych przygód. Lecz na niektóre możemy mieć wpływ. Ten minimalny gest przewyższający lenistwo, który w moim mniemaniu może wydawać się marginalny, bez którego jednak nic się nie wydarzy – to się liczy. Żeby nikt oprócz nas nie kierował i nie żył naszym życiem.

A miłość?

Różnie bywa definiowana. To bardzo skomplikowane. Kiedy przychodzi miłość ojcowska, to kompletnie inne uczucie. Nie czuje się uniesienia jak podczas zakochania. Lubię takie odurzenie, choć coraz rzadziej mi się zdarza. Natomiast coraz głębiej się we mnie zagnieżdża potrzeba miłości w najszerszym rozumieniu: od platońskiego do erosowego. Jako swego rodzaju stan oświecenia prowadzący do kontaktu z metaświatem. Nie wiem, jak się to osiąga: praktykami medytacyjnymi, traumą? Musi nastąpić zmiana w chemii mózgu. To jednak przeżywają prawdziwie wierzący, wytrenowani w wierze nawet tego nie kontrolują. Ja szukam takiego stanu, żeby w przeblasku paradoksu i oczywistej oczywistości znaleźć natchnienie.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI



Bólem w ból

Najpierw stała się sławna dzięki fotografowaniu. A później także dzięki protestowaniu. Na ekrany kin wchodzi doskonały film dokumentalny o artystce nieprzeciętnej – **Nan Goldin**.



Nan Goldin podczas protestu w White Plains przeciw producentowi OxyContinu. Powyżej i na sąsiedniej stronie: artystka w swoim obiektywie, fotografie z lat 80.

© DZIEKI UPRZEJMOSCI NAN GOLDIN (2), ANDREW LICHTENSTEIN/CORBIS/GETTY IMAGES

Z jej sztuką mieliśmy w Polsce do czynienia praktycznie raz i jest to wspomnienie, które przywołuje mieszane uczucia. Otóż 20 lat temu w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie otworzono obszerną (500 zdjęć) i reprezentacyjną wystawę artystki. Niestety odbyło się to w dalece niezdrowej atmosferze. Ówczesny dyrektor placówki Wojciech Krukowski tuż przed wernisażem zdecydował, że wstęp na ekspozycję będą miały wyłącznie osoby pełnoletnie. Artystka, która osobiście nadzorowała przygotowania, zaprotestowała. Ostatecznie skończyło się na cezurze 16 lat i zgodzie na wejście młodszych pod opieką rodziców. Chwilę później wpłynęła poselska interpelacja skierowana do ministra kultury. Jej autorem był poseł Ligi Polskich Rodzin Stanisław Papież, dotychczas „propagowania na wystawie treści pornograficznych”.

Tym razem Nan Goldin wraca do Polski w poświęconym jej filmie „Całe to piękno i krew”. Reżyserką obrazu jest Laura Poitras, która odebrała już niegdyś (2014 r.) Oscara za film o Edwardzie Snowdenie. Tym razem skończyło się na nominacji, ale wcześniej film otrzymał Złote Lwy na Międzynarodowym Festiwalu w Wenecji. Dwugodzinna opowieść o Goldin poprowadzona jest szerokim nurtem: począwszy od powracających wspomnień z dzieciństwa, poprzez losy jej zawodowej kariery, a skończywszy na historii kruczaty, jaką podjęła przeciwko konserwnemu farmaceutycznemu Purdue Pharma. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że wszystkie te wątki splatają się ze sobą.



Dzieciństwo to przede wszystkim wielka trauma związana z samobójczą śmiercią starszej siostry Barbary, która, mając 16 lat, rzuciła się pod pociąg (urodzona w 1953 r. Nan była od niej o 7 lat młodszą). Wydaje się, że rodzinna tragedia i jej korzenie – społeczny i rodzinny ostracyzm związany z seksualnością Barbary – mocno zaciążyły na losach artystki. Z mieszczańskiej rodziny uciekła, mając 14 lat, i szybko związała się z różnymi społeczno-artystycznymi subkulturami, początkowo Bostonu, a później Nowego Jorku. Przyjaźniła się i mieszkała z drag queens, włączyła się w kulturę gejowską i postpunkową scenę muzyczną, uczestniczyła w życiu klubowym nowojorskiej bohemy. Nie kryła się ze swą biseksualnością, eksperymentowała z narkotykami.

A przy tym wszystkim cały czas fotografowała otaczający ją świat. Tajemnic

warsztatu uczyła się w prywatnej School of the Museum of Fine Arts w Bostonie, ale to nie uczelniana wiedza była jej najsilniejszym atutem, tylko autentyzm zdjęć. Można powiedzieć, że z determinacją uwieczniała na kliszy wszystko, co się działo w zasięgu jej wzroku. Początkowo był to głównie świat społecznie wykluczonych i kontestujących, ze wszystkimi jego – wydawałoby się wstydliwymi – zakamarkami. Królował tam seks, namiętności, używki, niekiedy przemoc, beztroskie, ale i wyniszczające życie, na którym coraz silniej ciążyło fatum AIDS. To ten świat ułoży się później w najsłynniejszy cykl prac artystki „Ballada o seksualnej zależności”, gromadzący zdjęcia z lat 1979–86.

Z czasem ów obserwowany przez obiektyw świat się poszerza o mniej niepokojącą codzienność: hotele, picie kawy, pikniki, kąpiele w morzu. Ale to, co pojawia się na zdjęciach, w gruncie rzeczy się nie liczy (nie bez powodu ulubionym przez Goldin sposobem prezentowania swoich prac był pokaz szybko zmieniających się slajdów). Ważna staje się dopiero sekwencja, summa, na którą składa się rozpoczęta w wieku kilkunastu lat i kontynuowana przez kolejne dekady prywatna opowieść, zapis doświadczeń. Jej fotografie nie są doskonałe, bo i nasze życie jest zazwyczaj niedoskonałe. I bywają, jak codzienność, irytujące, pociągające, odrażające, obojętne, cudowne, niezrozumiałe, brutalne. Kolejne stopklatki upływającego życia.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że Goldin miała szczęście żyć w ciekawych czasach, miejscach i otoczeniu malowniczymi postaciami. To już w punkcie startu dawało jej przewagę nad innymi. Inna sprawa, że Goldin zawsze potrafiła z owych życiowych okoliczności wydobyć, ile tylko się da. Może dlatego, że poprzez zdjęcia nie ►

REKLAMA

TORI I LOKITA

REŻYSERIA
BRACIA DARDENNE

W KINACH

FESTIVAL DE CANNES
NAGRODA SPECJALNA
NA 75-LECIE FESTIWALU

GF
Krajowa Sieć Kinowa
MEDIA

wyborecza.pl
KINO
FILMWEB
Krajowa Sieć Kinowa
C Cannes
noworocne

► próbuje niczego udowodnić. Może dlatego, że nie dobiera starannie planów, nie aranżuje przemyślanych wcześniej sytuacji, nie fotografuje z ukrycia, ale utrwala wszystko w sposób jak najbardziej naturalny.

To właśnie ów autentyzm utrwalaonych w kadrze sytuacji nadaje im owej magnetycznej siły niepozwalającej oderwać od nich wzroku. Ujęcia nieoposłanego łózka czy wchodzącej do wanny przyjaciółki są równie intrygujące, co najbardziej wyszukane kadry, także dlatego, że równocześnie są dziwnie znajome i bliskie, jak i niedopowiedziane oraz tajemnicze. Nic więc dziwnego, że Goldin bardzo szybko „kupiła sobie” krytyków. „Zmieniła nasze wyobrażenie na temat piękna” – pisała Elizabeth Lebovici. „Jej twórczość można uznać za jeden ze zwrotów, które dokonały się w sztuce ostatniego stulecia” – zauważyła Lisa Liebmann.

Jej nowe, zaskakujące spotkanie z życia zaczęło się całkiem przypadkowo, gdy skończyła już 60 lat. W 2014 r. przyplątało się artystce bolesne zapalenie ścięgna nadgarstka. Lekarz zapisał jej przeciwbólowy lek opioidowy OxyContin. Kurację zaczęła od dwóch pastylek, by po dwóch latach łykać ich już 18 dziennie (kupowanych na czarnym rynku). W 2017 r. przeszła intensywną terapię, wyszła z nałogu i niemal natychmiast podjęła krucjatę przeciwko tym, którzy – jak pisała – „wyplukiwali pieniądze z krwi, przez sale muzeów i uczelni na całym świecie”. I to owa podjęta przez nią walka jest głównym leitmotiwem filmu.

Po drugiej stronie barykady znaleźli się producenci wspomnianego leku. Formalnie: firma Purdue Pharma. Faktycznie – mająca korzenie w Polsce – rodzina Sacklerów, jedna z najbogatszych w USA. Według szacunków jej majątek wynosił około 13 mld dol., co czyniło ją 19. najbogatszą rodziną w USA. Znaną, szanowaną, przed którą stały otworem wszystkie salony. Nie tylko zamożną, ale też przez blisko pół wieku pracującą na opinię jednego z najhojniejszych mecenasów kultury. Klasyczny pojedynek Dawida z Goliatem. Po jednej stronie determinacja i wiara w słuszność sprawy. Po drugiej – siła i pewność siebie. Była narkomanka przeciw uzbrojonym w najlepsze kancelarie adwokackie, powszechnie szanowanym filantropom. Epicki bój, którego wynik pewnie byłby z góry przesądzony, gdyby nie fakt, że Goldin postanowiła toczyć go na swoich warunkach. Zatem

polem, na którym doszło do konfrontacji, stało się to, co bliskie było obu stronom: świat sztuki.

Sacklerowie zaczęli wprawdzie niewinnie, od sprzedaży środków przeczyszczających, ale prawdziwy majątek zbili właśnie na OxyContinie, leku wprowadzonym na rynek w 1996 r., który tak silnie uzależnił Nan Goldin. Po latach okazało się, że Purdue Pharma zatajała przed organami nadzoru farmaceutycznego, lekarzami i opinią publiczną dane świadczące o wielkim ryzyku uzależnień i nadużywania (prowadzącego do zgonu) tego leku. Szacuje się, że w samych Stanach Zjednoczonych środek doprowadził do śmierci ok. 600 tys. osób, a kolejne 1,2 mln tak silnie uzależniło się od jego zażywania (ale też sięgania po heroinę), że ich los wydaje się przesądzony. Dziś w sądach stanowych i lokalnych USA zalega kilka tysięcy pozwów przeciwko firmie.

Im bardziej Sacklerowie brudzili sobie ręce nieszczęściem przyjmujących ich uzależniający lek pacjentów, tym skrupulatniej dbali o budowanie swojego szlachetnego wizerunku. W filmie pojawia się w pewnym momencie wypowiedź jednego z trzech braci, którzy stworzyli potęgę rodzinnej firmy, Arthura Sacklera. Groteskowo w świetle tego, co się działo, brzmiały słowa, które skierował do swoich dzieci: „Zostawcie świat lepszym miejscem od tego, które zastaliście”. Sacklerowie łożyli olbrzymie kwoty na rozmaite instytucje, głównie związane z kulturą. Ale też dbali, by ich donacje zostały dostrzeżone i odpowiednio uhonorowane. A zatem w kolejnych wielkich muzeach, które wspierali, nazywano ich imieniem skrzydła budynków, pawilony i sale. W jednym tylko Londynie mowa m.in. o takich instytucjach, jak Victoria&Albert Museum, Tate, National Gallery, Serpentine Gallery, Kew Gardens, Museum of London, National Portrait Gallery. Sama muzealna elita. A przecież miliony w zamian za „symboliczny gest wdzięczności” przyjmował także Luwr, Muzeum Żydowskie w Berlinie, a za oceanem m.in. Metropolitan Museum of Art i Guggenheim Museum. Długo by zresztą wymieniać, bo listę uzupełniają słynne teatry i szkoły artystyczne.

Nan Goldin nie próbowała, jak filmowa Erin Brockovich, walczyć o odszkodowania (tym zajęli się inni). Postanowiła uderzyć w czuły punkt, tam, gdzie potężna rodzina nie bardzo mogła się bronić: w jej wizerunek, wymierzyć policzek najbardziej przyjaznej światu twarzy Sacklerów. W 2017 r. z inicjatywy artystki powstał P.A.I.N. (Prescription Addiction

Intervention Now), czyli ruch obywatelski. Do czynów Goldin przeszła w 2018 r. Film otwiera dokumentalny zapis z akcji zorganizowanej w nowojorskim Metropolitan Museum of Art w marcu owego roku. A później były kolejne: Harvard, Paryż (Luwr), Londyn (Victoria&Albert Museum, National Gallery). Wszędzie podobne rekwizyty i scenariusz: rozrzucone atrapy fiolek po lekach, ulotki, kopie recept i poplamione krwią pieniądze oraz banery, transparenty, skandowane hasła i symulowanie śmierci.

Goldin miała dwa cele. Zmusić muzea do rezygnacji z darowizn od rodziny Sacklerów oraz do usunięcia napisów dedykowanych darczyńcom. Żadnych „sal Sacklerów”. Prawdziwym testem okazała się sytuacja w londyńskiej National Portrait Gallery. Muzeum zaproponowało artystce prestiżową, dużą wystawę retrospektywną. Goldin zgodziła się, ale pod jednym warunkiem: placówka zrezygnuje z liczyonych w milionach darowizn Sacklerów. I – ku dużemu zaskoczeniu obserwatorów artystycznej sceny – tak się stało. „Mam nadzieję, że zadziała efekt domina” – stwierdziła lapidarnie Goldin. I zadziałał. W ślad za londyńczykami poszły nowojorskie potęgi: Metropolitan Museum, Guggenheim Museum i Muzeum Historii Naturalnej, a także Luwr. Historia Purdue Pharma miała swoją dalszą, dziejącą się poza światem sztuki, część. Sąd przyznał ofiarom łączne odszkodowania w wysokości 9 mld dol., a sam koncert ogłosił upadłość. Ale Sacklerowie wytransferowali z niego większość zysków i uchronili się przed bankructwem (nigdy zresztą nie przeprosili za wyrządzone szkody).

Wszystkie wątki potraktowane są w filmie z jednakową uwagą. Ale najważniejsze pytania pozostawiono otwarte. Czy trauma po śmierci siostry wpłynęła na życiowe decyzje Nan Goldin? Czy z kolei jej życiowe doświadczenia wpłynęły na walkę, którą podjęła? I dlaczego to uczyniła? Kierowana osobistą zemstą za odebrane jej lata? A może Sacklerowie stali się dla niej symbolem dominującego porządku społecznego, który w pewnym sensie zabił jej siostrę, a później wielu przyjaciół?

Film kończy się sceną-pętłą, w której po czterech latach aktywiści P.A.I.N. ponownie spotykają się w Metropolitan Museum. Już nie po to, by protestować, ale by świętować sukces. Nad wejściem nie ma już napisu „The Sackler Wing”. Dawid pokonał Goliata.

PIOTR SARZYŃSKI

BRITTEN

PETER GRIMES

KLAUZA / TRELIŃSKI / KUDLIČKA

PREMIERA: 23 / 06 / 2023 | SPEKTAKLE: 25, 27, 29 / 06 / 2023

Mecenas Teatru / Partnerzy Akademii Operowej

Partnerzy

Patroni medialni

Partner medialny

Odurzony

Ten zbiór piosenek, które mają w tytułach narkotyki, ich nastrój, oniryczny klimat wynika z doświadczeń lat 90., pierwszej dekady wolnej Polski – mówi **Jan Emil Młynarski** przed premierą najnowszej płyty.

Jan Emil Młynarski (ur. w 1979 r.) – multiinstrumentalista, wokalista, kompozytor, producent muzyczny, dziennikarz radiowy i popularyzator polskiej muzyki popularnej z lat 1918–49. Studiował w katowickiej Akademii Muzycznej i Drummers Collective w Nowym Jorku. Założyciel i lider Warszawskiego Comba Tanecznego, współtwórca Jazz Bandu Młynarski-Masecki. Właśnie ukazuje się jego płyta „Narkotyki” nagrana z zespołem Brass Federacja. Prywatnie syn zmarłego w 2017 r. piosenkarza i poety Wojciecha Młynarskiego.

MIROSLAW PĘCZAK: – Skąd wziął się pomysł na album „Narkotyki”, zbiór utworów sprzed stu lat o używkach?

JAN EMIL MŁYNNARSKI: – Pomysł generalnie nie jest taki nowy, bo idea re-dystrybucji piosenek sprzed wieku pojawiła się u mnie już dawno temu. A jeśli chodzi o sam temat, to on się wykluwał sukcesywnie wraz z natrafianiem na konkretne piosenki, takie z narkotykiem w tytule. Mam przeróżne zbiory tematyczne, bo tych starych polskich piosenek jest zatrzęsienie. Myślę, że w krwiobiegu muzycznym krąży ich może 10 proc., a pewnie nawet mniej, a w popkulturze to jakiś promil. I to, co mamy na „Narkotykach”, to jeden z takich zbiorów. A jeśli chodzi o temat używkowy, to oczywiście też jest ich dużo więcej niż to, co zawarłem na płycie. Oczywiście najwięcej o alkoholu, o wódce głównie, zaś sam wątek narkotykowy wydał mi się ciekawy, bo jest szokujący: oto mamy do czynienia z tym starym, dystygowanym światem, a tu nagle narkotyki! Ale jeśli ktoś się trochę interesuje kulturą międzywojnia, a nawet Młodej Polski, jeśli liźnął Witkacego, to nie będzie dla niego jakieś specjalne novum.

Mimo wszystko, jeśli tematem piosenek są używki takie jak kokaina, niejednen potraktuje to w charakterze historycznej sensacji.

Tytuł „Narkotyki” jest oczywiście wieloznaczny i nie ułatwia sprawy, bo zamyka mi szereg drzwi. Ktoś zapyta: promujesz narkotyki? Więc liczę się z różnymi

piosenkami

trudnościami, ale to mi się nawet podoba, że trzeba się przy tym przedsięwzięciu mocniej postarać, bo nie zawarłem tu żadnego kompromisu ani ze sobą, ani z nikim innym. A tytułowe narkotyki to są także te piosenki – jestem odurzony, od lat uzależniony od nich i wszystkiego, co się z nimi wiąże.

W jednym z wywiadów radiowych zwierzyłeś się ze swoich własnych problemów z używkami. Czy jest jakiś związek między nimi a tematyką piosenek zamieszczonych na płycie?

Wiedziałem, że to pytanie padnie. Chciałbym jednak podkreślić, że ta płyta nie miała być pretekstem do rozmowy o narkotykach. Chociaż jakiś sugerowany w twoim pytaniu związek jest. Bo jestem osobą po czterdziestce i nie zdecydowałem się na taką płytę, nie zrozumiałbym tego wszystkiego, gdybym był dużo młodszy. Ta płyta jest też sumą doświadczeń pozamuzycznych. Czasami w takich sytuacjach przypomina mi się Johnny Cash, który przez całe swoje życie był w stanie tak mocno przemówić do odbiorcy piosenkami, które śpiewał.

Ocierałem się w życiu o różne rzeczy. Jestem reprezentantem pokolenia, które dopiero zaczyna być opisywane. Lata 90. w Polsce, zwłaszcza w Warszawie, na moim tzw. podwórku, były niełatwe dla nas. Jako nastolatki na początku tamtej dekady byliśmy poddawani wielu próbom. Zderzyliśmy się z tym niespodziewanym „dobrem” dzikiego kapitalizmu, który przyniósł dostępność wszelkich rzeczy. Wyobraź sobie 13-latkę, który znalazł się na koncercie Rage Against The Machine na Torwarze. Za tymi fascynacjami, marzeniami poszły różne rzeczy, choćby twarde narkotyki, których wcześniej nikt nie znał, a nagle stały się doświadczeniem moich różnych kolegów. Kilku z nich już nie żyje.

Więc ja to czuję, i pamiętam. Lata 90. nas naznaczyły. I dla mnie ten zbiór piosenek, które mają w tytułach narkotyki, oniryczność, aranżacje, instrumentarium – wszystko to jakoś wynika z doświadczeń tamtego czasu, pierwszej dekady wolnej Polski.

Uderzyło mnie, że piosenki z „Narkotyków”, może oprócz „Alkoholu i miłości”, utworu zaśpiewanego ze znakomitą Anią Rusowicz, są przeważnie melancholijne

albo wręcz depresyjne, nawet ta poświęcona kokainie.

Myślę, że to wynik wspomnianej sumy doświadczeń: tych miłości, różnych dołków czy uczucia – które dobrze znam – osamotnienia, zarówno osobistego, jak i pokoleniowego. Byłem wiele razy sam sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Ten walc „Kokaina”, o którym wspomniałeś, jest muzycznie moim faworytem na tej płycie, bo jest to piękna melodia, bardzo romantyczna, na wskroś polska, wschodnia. Ważny jest tu liryzm melodii korespondujący z tekstem i stanem na następny dzień po kokainowych przygotowaniach. Gdybym chciał, aby ta piosenka odnosiła się do stanu kokainowego „spida” od razu po zażyciu, miałaby dwa razy szybsze tempo. W ogóle myślenie o tych piosenkach wiązało się też z moim własnym samopoczuciem i z tym, co widzę dookoła, w czym żyję, co odczuwam jako taki rollercoaster, w którym bardzo szybko lecisz do góry i jeszcze szybciej spadasz. I musisz sobie radzić na każdym etapie tej podróży – wzlotów i dołowania. Abstrahując od treści tych piosenek, które są bardziej lub mniej błahe, poczułem, że mogę za ich pomocą opisać to, co jest tu i teraz.

I temu służy też ten depresyjny nastrój. Przynałeś się też do własnych problemów z depresją.

Tak, walczę z tym.

I okazuje się, że jest to problem społeczny, a w odniesieniu do ciebie i twoich rówieśników – pokoleniowy.

Zgadza się. Ale mam dzieci i myślę, że one mają jeszcze trudniej, ale to może temat na inną rozmowę. W tym roku jestem jedną z twarzy depresji – biorę udział w kampanii społecznej organizowanej przez Fundację „Twarze depresji”. Zrobiłem to dlatego, żeby móc powiedzieć o tym, że chorować na depresję to nie jest żaden wstyd, że to nie wstyd nie uśmiechać się, źle się czuć w większej grupie ludzi, nie umieć patrzeć pozytywnie na świat. Biorę w tym udział nie dla sławy, ale po to, by pomóc tym, którzy uważają, że to minie albo że sobie z tym sami poradzą, albo że jak zaczną coś z tym robić, to będzie jeszcze gorzej. Dziś depresja to jest plaga, epidemia. Zazdroszczę ludziom, którzy nie mają z tym problemu. A ja mam zdiagnozowaną depresję od dziecka. I wchodząc teraz w ten błahy temat, jakim jest muzyka ▶

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

OPERA RARA KRAKÓW

Franco Fagioli

Capella
Cracoviensis

Jan Tomasz
Adamus

27.
06.2023

Teatr
Słowackiego

Mozart Sacrum Profanum

Exsultate jubilate
wybór arii operowych
Symfonia 34

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

capella
cracoviensis

Teatr
w Krakowie

Radio
Kraków

Radio
Kraków
Kultura

► – mogłem zrobić zupełnie inną płytę z zestawem zupełnie innych piosenek, natomiast bardzo mnie dotknęło, jak to zaczęło pięknie współgrać z dobranym przeze mnie instrumentarium. Dość nieoczekiwanie, bo te dęciaki, te blachy to przecież nie jest instrumentarium romantyczne, to jest instrumentarium marszowe...

Jak na nowoorleańskich marszach pogrzebowych...

Dokładnie. Zespół, z którym tu gram, Brass Federacja, odwołuje się do tradycji nowoorleańskiej, natomiast moje wyobrażenie dotyczyło polskiej orkiestry dętej pogrzebowej. W dawnych czasach w wielu rejonach Polski, np. na Kielecczyźnie, orkiestry dęte grały na wsiach, a jak była jakaś ważna okazja, to przyjeżdżali strażacy i grali np. na pogrzebach. Oczywiście jest jeszcze Śląsk. Uwielbiam to brzmienie. Wiedziałem, że chcąc uzyskać ten nastrój, ten ciemny, tajemniczy kolor, o którym była mowa wcześniej, trzeba wykorzystać dęte instrumenty blaszane. I Piotrek Wróbel, lider Brass Federacji, bardzo dobrze odczytał moje intencje.

W zeszłym roku obchodziłeś 25-lecie działalności artystycznej. Prześledzenie twoich dokonań pokazuje bardzo szczególną drogę twórczą: klasyczna edukacja muzyczna, kariera muzyka sesyjnego, zainteresowania jazzem, rockiem, wspólne granie z wielkimi gwiazdami, jak Jon Lord czy Gordon Haskell, paroletni epizod z muzyką alternatywną i nową elektroniką, no i wreszcie polska międzywojenna muzyka rozrywkowa. A była też płyta, na której skonfrontowałaś się z wiejską muzyką ludową. Krańcowo różne klimaty.

Mam kilku kolegów, z którymi jestem od lat 90. na tej mojej drodze muzycznej i ta nasza droga jest właśnie taka rozstrzelona. Niektórzy już tak mają, że uwierają ich jedne buty. Mnie fascynuje uniwersalna prawda zaklęta w przeróżnych stylach. Styl jest tu tylko narzędziem. Jest to rodzaj takiej nieopisywalnej, metafizycznej wręcz relacji, którą możesz uzyskać z melodią, z energią rytmu, a na wielu etapach mojego życia bywało to dziełem przypadku. Przez wiele lat interesowało mnie tylko granie na bębnach i wydawało mi się, że muszę sobie i wszystkim dookoła udowodnić, że jako perkusista potrafię wszystko. Stąd skakanie z kwiatka na kwiatek, granie różnych rzeczy, bo muzycy sesyjni z Ameryki, których zawsze obserwowałem, dokładnie to robili. A później, pod

koniec pierwszej dekady XXI w., pojawiły się ciągoty do zafunkcjonowania na własny rachunek. I związanie się z grupą osób myślących podobnie.

Masz na myśli środowisko wydawnictwa muzycznego Lado ABC?

Tak, środowisko Lado miało tu kluczowe znaczenie. Dołączyłem do Lado poprzez wejście do zespołu Baaba Bartka Webera. Tak się akurat stało, że Macio Moretti z tego zespołu odszedł, ja przyszedłem w dobrym momencie, bo zespół był w formie i szybko nagraliśmy płytę, i ten właśnie zespół był dla mnie dziurką od klucza, kontaktem z tzw. niezalem, i okazją do uświadomienia sobie, na czym polega walor swobodnej wypowiedzi muzycznej i artystycznej niezależności. W pewnym momencie zacząłem się czuć muzycznie niespełniony, wręcz nieszczęśliwy. Zastanawiałem się nawet, czy w ogóle powinienem grać. To było w 2008 r., po przyjeździe z Nowego Jorku, gdzie przez dwa i pół roku uczyłem się w szkole dla perkusistów [Drummers Collective – M.P.], z nastolatkami, którzy byli dużo lepsi ode mnie, mieli te naście lat zapasu, nie byli po tych trasach, po tych busach, tych płytach, imprezach, kontaktach ze starszymi kolegami uzależnionymi od wszystkiego, co się da. Ja po prostu strasznie wcześniej zacząłem grać, miałem jakieś 18–19 lat. No i nagle w tej szkole zrobiłem kilka kroków w tył, paradoksalnie, by osiągnąć należyty poziom.

Trudno było, jak w filmie „Whiplash” o męce młodego perkusisty w relacji z chorobliwie wymagającym nauczycielem?

O, to właściwie nie był film o muzyce, ale mogę powiedzieć, że amerykańscy nauczyciele, oczywiście nie tak sadyści jak ten z „Whiplash”, pomagają w osiągnięciu muzycznego oświecenia. W muzyce jest też trochę tak, szczególnie w rozrywkowej, ale i w klasyce, że tak jak na akademii medycznej na pierwszym roku kroi się trupy, to i tu najgorsze męki trzeba przejść na początku. Wtedy dokonuje się selekcja – zostają ci, co się nadają.

Granie z Marcinem Maseckim, a teraz bez niego, dawnych polskich piosenek wydaje się w twoim przypadku czymś zupełnie innym niż prostym odtwarzaniem czy graniami coverów. To chyba bardziej precyzyjna rekonstrukcja, poprzedzona wnikliwą analizą muzykologiczną, choć mówiłeś w wywiadach, że nie tworzycie grupy rekonstrukcyjnej.

To leży u podstaw naszej działalności, bo pokazuje, dlaczego właśnie

w to wierzymy i to robimy. No bo dlaczego się spiknąłem akurat z Marcinem, dlaczego mam takich, a nie innych muzyków w moim zespole Warszawskie Combo Taneczne? Otóż my nie postrzegamy tych piosenek wyłącznie w kategoriach zabytkowych bibelotów. Owszem, one są z jednej strony biletem do podróży sentymentalnej, ale z drugiej jest to materiał, który można porównać do standardów amerykańskich – jest symbolem kultury, z którą ja się identyfikuję i z której wychodzę. „Czysta” rekonstrukcja powstaje tylko tam, gdzie uważamy, że jest niezbędna. Jest fantastyczna w przypadku nagrań Warszawskiego Combo, bo jesteśmy bardziej „purytańscy” niż np. w jazz bandzie z Marcinem Maseckim. A to dlatego, że założyłem sobie, że chcę mieć zespół tradycyjny, warszawski. Chodzi o odtworzenie brzmienia dawnej warszawskiej ulicy. Mamy do tego odpowiedni aparat wykonawczy, odpowiednie instrumentarium, słuchamy tych, którzy byli przed nami. Dziś Warszawa wybrzmiewa zupełnie innymi dźwiękami i gdybyśmy chcieli robić w duchu tradycji warszawskiej coś zupełnie aktualnego, to gralibyśmy na ulicy, na zupełnie innych instrumentach, piosenki Sanah.

Na większości nagranych przez ciebie płyt jesteś wokalistą. Na płytach Jazz Bandu Młynarski-Masecki twój wokal brzmi jak śpiew przedwojennego croonera, trochę inaczej jest na płycie z piosenkami Grzesiułki czy na „Narkotykach”.

Najtrudniejsze było dla mnie samo podjęcie decyzji o publicznym śpiewaniu, bo prywatnie śpiew towarzyszył mi od zawsze – w podstawówce śpiewałem najładniej z całej klasy. No a teraz to jest proces, który trwa naście lat, i kiedy chodzi o ten aspekt bycia bardziej w salonie albo bardziej na ulicy, to jest tu odwołanie się do tradycji, dysponowanie odpowiednimi środkami wyrazu. Warto wiedzieć, że przed wojną byli śpiewacy, którzy nagrywali tysiące piosenek, bardzo różnych. Mam tu swoje inspiracje, jednym z moich idoli wokalnych jest Adam Aston, a z czasem ten arsenał został wzbogacony przez Grzesiułkę, którego piosenki znałem od dzieciństwa. I właściwie nikt nie tłumaczył, na czym polega ich fenomen, choć moi rodzice wywodzili się z tradycji warszawskich i mieli je we krwi. Ale dobrze jest też do pewnych rzeczy dochodzić samodzielnie.

ROZMAWIAŁ MIROSLAW PĘCZAK

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Sebastian Kaleta z tak zwanej Suwerennej Polski świętuje 10 tys. obserwujących na TikToku. Brawo. Wieśka, pies Zosi Zborowskiej, ma 123 tys. I też jest bezkrytycznie wpatrzony w swego pana.

Patryk Vega pokazał zwiastun swego nowego filmu o Władimirze Putinie. Tym razem reżyser występuje pod nowym pseudonimem Besaleel, który jest imieniem budowniczego Arki Przymierza. To dobry znak. Arka w pewnym momencie zaginęła.

Jarek Jakimowicz pojawił się 4 czerwca w koszulce przedstawiającej zdjęcia uśmiechniętego Putina i Tuska z podpisem „10 kwietnia 2010”. Wszyscy czasami bywamy idiotami, ale niektórzy traktują to jako sposób na życie.

Skandal na festiwalu w Opolu. Reżyser Mikołaj Dobrowolski komunikował się z artystką Dodą słowami: Wypierd...aj i odpier...l się. Kiedyś kamery monitoringu zarejestrowały Dodę, jak bije swego menedżera. Uwagi reżyserskie miały podobne.

Zmniejsza się widownia programów Michała Rachonia w TVP Info. „Jedziemy” i „Jedziemy dalej” ma blisko 80 tys. widzów mniej. Trudno mówić tu o publicystyce. Bo to tak jakby powiedzieć, że „Ojciec Mateusz” to takie „07 zgłoś się”. Tylko bez radiowozu.

W czasie, gdy przez Warszawę szedł marsz 4 czerwca, premier Mateusz Morawiecki uroczystie otworzył plac zabaw dla dzieci w Dobroszycach. Przy Gminnym Centrum Kultury. W 1655 r. tę miejscowość od von Hengelów odkupił książę oleśnicki Nimrod. A następnie przepisał na żonę.

W celu złagodzenia afery po Krzysztofie Daukszewiczu do grona komentatorów w „Szkle kontaktowym” dołączył kabareciarz Mariusz Kałamaga. Doskonały wybór. Mariusz jakiś czas temu zwracał się do minister edukacji: „Niech się pani pierd...e w łeb”.

TVN szykuje polską edycję holenderskiego formatu „The Traitors”, który przypomina popularną grę „Mafia”. Castingi już wkrótce. Ja bym poczekał do połowy października. Wtedy zaczną mieć wolne ci, którzy są naprawdę dobrzy w te klocki.

Katarzyna Cichopek, naczelną diva TVP, pokazała 4 czerwca zdjęcie z pikniku z podpisem: chwilo, trwaj. Po reakcji jej fanów widać, że czasami trzeba wyjść z domu na łąkę, żeby dojść do granic swojej inteligencji.

Podczas 83. gali KSW, odbywającej się na PGE Narodowym, Artur Szpilka



niespodziewanie znokautował w drugiej rundzie Mariusza Pudzianowskiego. Czym byłoby życie bez możliwości podejmowania głupich decyzji?

Michał Figurski poprowadzi w Polsce nowy program z cyklu bikini-reality pt. „Temptation Island”, w którym pary będą poddawane testom wierności. Znam Miśka nie od dziś. Ma w tej materii doświadczenie.

Strącona gwiazda Bollywood Natalia Janoszek poinformowała media, że zamierza pozwać Krzysztofa Stanowskiego za to, że starał się udowodnić, że całkowicie zmyśliła swoją karierę. A ja uważam, że to sukces. Z półtora miliarda osób w Indiach wybrał właśnie ją.

Były pracownik TVP Łukasz S. został zatrzymany przez policję, żeby odbyć zasądzoną karę pozbawienia wolności za znęcanie się nad swoją partnerką. Co ciekawe, zatrzymano go podczas publicznej degustacji alkoholu. Co chyba tłumaczy, dlaczego wcześniej nie trafił.

TVP Info przygotowało serial dokumentalny Michała Rachonia i Sławomira Cenckiewicza pt. „Reset”, dotyczący relacji z Rosją za rządów PO-PSL. Następnie proponuję dokument o obaleniu obalenia komuny przez Wałęsę i obaleniu jej od nowa przez prawdziwych komunistów.

Monika Richardson zaprosiła do domu szamanekę i jasnowidzkę, by wspólnie odprawić rytuał Smoczego Oddechu. Następnie wyznała, że jest przeciwko instytucji Kościoła. Popkultura. Odpustowy celofan, w który zawija się coraz mniej wyszukane wyroby garmazeryjne.

Cezary Morawski, grający w serialu „M jak miłość” ojca Rafała i Marcina Mroczków, wypowiedział się o ich talencie aktorskim. „Nawet nie grają. Dają się filmować jako Mroczki”. Talent to cenna rzecz. Cezary jako skarbnik ZASP i dyrektor teatru we Wrocławiu też pokazał, że spokojnie mógłby mieć bliźniaka.

W podkaście Onetu **Piotr Gąsowski** wyznał, że w pewnym momencie był z ośmioma kobietami naraz i z każdą miał relację emocjonalną. Gratulacje. Numerologiczna ósemka to osoby skupione na celu. Jak widać, nie zawsze jednym.



Zawilce

Julia Fiedorcuk

Najpierw wspomnienie: jest maj 2021 r. Jedziemy ze Szkołą Ekopoetyki do Puszczy Białowieskiej. Po ciężkich pandemicznych miesiącach izolacji i onlajnów można się wreszcie spotkać bez większych obaw, bo zajęcia odbywają się głównie w plenerze, w otoczeniu jednego z najpiękniejszych lasów świata. Puszcza właśnie się obudziła, patrzymy na eksplozję nowego życia, oglądamy ten moment z bliska, czując, że dotykamy jednej z wielkich planetarnych tajemnic. Na starych, rozkładających się kłodach-piastunkach wyrastają młode drzewa, gniazdują małe gryzonie i ptaki, życie żywi się śmiercią. Majowa Puszcza jest tak zielona, że aż prawie fosforyzująca; pamiętam upojenie, jakby chlorofil uderzał nam do głów, pamiętam entuzjazm i radość uczenia się – z naukowcami, poetkami i znawcami regionu – o tym bezcennym skrawku Ziemi.

Po powrocie do Warszawy (także pięknej w maju, choć inaczej) czytam „Topielca” Leśmiana, ten wiersz o wędrowcu, który w „niecierpliwiej żałobie” zapragnął „zwiadzić duchem na przełaj zieleni samą w sobie” i umarł uwiedziony przez „demonia zieleni”. Rozkoszna musiała być ta śmierć, do której biegł „wybrzeżami coraz innych światów/odczłowieczając duszę i oddech wśród kwiatów”. Nie miał żadnych szans w zderzeniu z żywiołem zieleni, ale też niczego innego nie pragnął, niż tylko poddać się „wszechleśnemu powiewowi” i tej sile, o której Walt Whitman pisał w „Pieśni o sobie”, iż jest ona „płodnym impulsem świata”. Przychodzi mi do głowy, że Leśmianowskie neologizmy, wykorzystujące żywotną plastyczność języka, naśladują pomyślność samej ewolucji. Wiosna to czas, kiedy najłatwiej zaobserwować światotworzenie – może dlatego Światowy Dzień Poezji obchodzi się u jej progu.

Ale minęły dwa lata i dziś zupełnie inaczej wybrzmiewa dla mnie ten wiersz. Puszcę przecina mur. Zaburzająca naturalne migracje dzikich zwierząt zapora powstała, żeby powstrzymać ludzi, którzy przez Białoruś i naszą wschodnią granicę próbują dostać się do Polski i dalej do któregoś z krajów Unii Europejskiej. Uciekają przed wojną, prześladowaniami, głodem albo

w poszukiwaniu lepszego, godniejszego życia. Dla siebie, dla swoich dzieci. Mur nikogo nie powstrzymał, rzecz jasna, poza najstarszymi i najbardziej bezbronnymi. Tej wiosny ludzie w lesie jest szczególnie wielu, organizacje pomocowe wielokrotnie w ciągu dnia odbierają wezwania. Puszcza jest w wielu miejscach rozjeżdżona przez samochody służb państwowych, ściółka uszkodzona. Miejsce kojarzące się nam z dzikością jest w rzeczywistości polityczne – porańone, nie pierwszy raz, przez ścierające się ze sobą ludzkie racje.

Tej wiosny rośnie też, niestety, liczba śmiertelnych ofiar tak zwanego kryzysu na granicy. W lutym w pobliżu uczęszczonej drogi pod Hajnówką znaleziono ciało 28-letniej Mahlet Kassa z Etiopii. Jej towarzysze, którzy zdecydowali się szukać pomocy, zostali wypchnięci na Białoruś, pozostawiona w lesie kobieta zmarła z zimna i wycieńczenia. W następnych dniach i tygodniach odkrywano kolejne ofiary, między innymi mężczyznę w wieku ok. 30–40 lat (bez dokumentów) w podmokłym lesie w pobliżu wsi Istok (w gminie Dubicze Cerkiewne). Aku-

rat znowu byłem w Puszczy: kwiecień to czas anemonów, kiedy cała fotosynteza pospiesznie odbywa się przy ziemi, bo liście na drzewach dopiero zaczynają się rozwijać i słońce dociera na samo dno lasu. Mężczyzna znaleziony pod Istokiem umierał na zawilcowym dywanie. Był 43. potwierdzoną ofiarą kryzysu na granicy, przyczyna śmierci – hipotermia. W głębokiej hipotermii ludzie zaczynają czasem czuć, że jest im bardzo gorąco i ostatkiem sił zdejmują z siebie ubranie. We wcześniejszych stadiach występują: stany otępienne, omamy, dezorientacja, lęk; dopóki ciało walczy – dreszcze i uczucie przenikliwego zimna.

Pretexstem dla mojej ostatniej wyprawy na Podlasie był festiwal „Poezja w Puszczy” zorganizowany przez Stowarzyszenie na rzecz Dialogu Tropinka. Zaproszone poetki czytały swoje wiersze w wiosennym lesie. Wśród osób, które przyszedły posłuchać, znalazły się uchodźczynie z Ukrainy, którym pomogła Tropinka – i las; bo jeśli człowiek nie jest zmarznięty i głodny, Puszcza ma silne działanie terapeutyczne. Dużo rozmawialiśmy o tym, czy organizowanie festiwalu poetyckiego w przestrzeni, w której rozgrywa się – niepotrzebnie – ogromny ludzki dramat, jest stosowne. Ale poezja towarzyszy ludziom nawet w najtrudniejszych momentach. Jest obecna w ogarniętej wojną Ukrainie, a także w Puszczy, bo wśród ludzi w drodze, tak okrutnie potraktowanych przez nasz kraj, zdarzają się również poeci. Jednym z nich był Umed Ahmed z Kurdystanu, wielokrotnie więziony i represjonowany w Irbilu. Tułając się na polsko-białoruskim pograniczu, napisał wiersz w dialekcie sorani, w którym przeproszał swój kraj i tłumaczył: „przechodzę tylko na drugą stronę/żałoby i radości, prawdy i kłamstwa/by je odróżnić od siebie” (przeł. Joanna Bocheńska).

Odczytaliśmy ten wiersz w pięknym, dzikim, wiosennym lesie. Liście na drzewach dopiero się rozwijały, było chłodno, świeciło mocne kwietniowe słońce, kwitły zawilce.



Julia Fiedorcuk – pisarka, poetka, tłumaczka, wykłada literaturę amerykańską i ekokrytykę w Instytucie Anglistyki UW i Szkole Ekopoetyki przy Instytucie Reportażu. Nominowana do nagrody Nike za powieść „Nieważkość” (2015), laureatka nagrody im. Wisławy Szymborskiej za tom „Psalmy” (2017). Ostatnio wydała powieść „Pod Słońcem” (2020).



13 tysięcy kroków

No tak, też żeśmy byli, we czwórce. Wsiadliśmy w autobus na początku trasy, zaraz za pętłą. Sporo ludzi już jechało, wszyscy ubrani stosownie do pogody i okoliczności. Niektórzy mieli emblematy z poprzednich okazji. Wyblakłe sądy. Lekko sprane konstytucje. Czerstwe żarty o gorszym sortcie. Jeszcze na Dwernickiego komus udało się dosiąść. Potem zrobiło się naprawdę ciasno. Na przystankach stały tłumy z flagami. Autobus zwalniał i zaczynały się negocjacje.

- My już ubici – wołał ktoś ze środka.
- Chociaż jedna osoba – apelował ktoś z zewnątrz.
- Niech próbuje.
- Prosimy na kolanka! – rzucił ktoś figlarnie.
- Gdzie z tą hulajnogą!

W środku panował nastrój pogodnej ekscytacji. Trochę jak w drodze na szkolną wycieczkę. Jakbyśmy się wszyscy wybierali na koncert plenerowy albo wspólnie planowali jakiś kawal.

No, trochę żeśmy się kłócili przed wyjściem. Nawet na facebookowej grupie absolwentów wybuchły spory. Nie pamiętałem, że taka grupa istnieje. Ożyła nad ramię, momentami bardzo zaciekrzewiona.

Tusk nie jest progresywny. – Nie idziemy dla Tuska – mówiliśmy. Wyliczaliśmy inne powody. Wyliczaliśmy w skrócie, bo nie było siedmiu i pół roku, żeby wymienić wszystkie.

Czytaliśmy artykuły, że polaryzacja, że mniejsze partie, że ich upokorzeni przywódcy, że kanibalizacja i przepływy elektoratu. Że próg wyborczy i scenariusz napisany na Nowogrodzkiej.

Jakoś dojechaliśmy na to Rozdroże.

– Grochów wysiada – ktoś zawołał. Drzwi nie chciały się otworzyć. Uwięzły między tlokiem i tłumem. Zatrzeszczały kości. Bezimienny bohater pozwolił się sprasować, żeby inni wysiedli.

W końcu dotarliśmy aż do Marszałkowskiej. Przeszliśmy przez plac Zbawiciela i przez Łatawiec. (Przejście przez Łatawiec zawsze mnie wprawia w stan urbanistycznej euforii).

No, a dalej to już staliśmy. Godzinę, dwie. Śródmieście się zatkało. Byliśmy nadmiarem, który nie zmieścił się w leжку. Wylaliśmy się jak woda z przepełnionej koneyki. Jednakowoż stało się dość miło. Cień, drzewo, towarzystwo. Tylko internet przestał działać. Zdjęcia przedstawiające stłoczone plecy i rozlewisko czapek (podpis: „Tu nieźle. Jak u was?”), zamiast dotrzeć do znajomych, tkwiły razem z nami w folderze „Niewysłane”.

Pozbawieni internetu staliśmy analogowo. Mocniej zaangażowani w przestrzeń i odświeżeni niewirtualni. Od czasu do czasu na drugim piętrze otwierało się okno. Z okna wychylał się mężczyzna i lżył Platformę Obywatelską. Ulica klaskała z radości, że wreszcie coś

się dzieje. Czasami proponowała, żeby poszedł z nami (co byłoby trudne, ponieważ wciąż staliśmy w miejscu). Czasami lżyła partię władzy. Lżyliśmy powściągliwie, ale nie da się ukryć, że mogło nam się wyrwać jakieś patoskandowanie.

A przecież władza ostrzegala. Władza zawczasu się martwiła, żebyśmy nie wpadli w złe towarzystwo. Żebyśmy się nie otarli o jakiegoś degenerata, agenta lub sędziego. Żebyśmy nie wylądowali w jednym kadrze z wulgarną aktywistką.

Władza jest czujna. Ma zapisane wszystkie winy. Nie przepuści żadnego pijackiego tweeta. Zawsze wypatrzy niestosowny transparent, napiętnuje niewłaściwy strój. Przez ostatnie dni przypominała obrazy z Auschwitz. W kolejnych spotkach dorzuciła zdjęcia spod Jastrzębskiej Spółki Węglowej oraz monologi celebrytów. (I to ma być ta ich walka z postmodernizmem?).

Władza ostrzegala „On będzie na marszu” albo „Czy na pewno chcesz iść pod tym hasłem?”. Wiadoma rzecz: „Łatwiej, niż sądzisz, zgubić duszę/Przez niewłaściwe towarzystwo”.

Ten argument bywa skuteczny. Zwłaszcza że czasy mamy takie moralne i porywcze. Każdy się pilnuje, żeby nie zejść ze słusznej ścieżki. Żeby gdzieś nie podłapać niesłuszności. Niesłuszność przeskakuje z człowieka na człowieka jak wirus. Łatwiej tropić odszczepieńców niż kaptować współników. Więcej dziś żalu do osób sojusznicznych niż niechęci do wrogów.

No, ale w końcu ruszyliśmy. Szliśmy długo. Smartfon naliczył 13 138 kroków. (Więcej niż wynosi dzienna norma spacerów zalecana przez WHO). Czasem dołączaliśmy do głównego nurtu, czasem chowaliśmy się w cieniu. Gdzieś na trasie spotkaliśmy znajomych. Gdzieś wypiliśmy kawę. Na koniec wysłuchaliśmy historycznej mowy. Z daleka, bo nie dało się dopchać do sceny. Głos dobiegał aż na Mariensztat. Dźwięk się sprzęgał. Historyczna mowa, gdy dotarła do naszych uszu, brzmiała: – Nikt nas nie za! Głuszy-uszy-uszy! Demo-emo-emo-emo! Kra-ra-ra-ra! Cjaaa! Tiu! Polek-olek-olek! Ek-ek-ek! Aków-aków-aków! Ów! Cięży-ęzy-ęzy! Myyy! Piuuu!...

Wracaliśmy metrem. Wracaliśmy jak z majówki, zmęczeni i zgrzani. Ktoś z pasażerów odczytywał tytuły TVP Info. Ktoś zachichotał. Inni kręcili głowami.

– Z tego wszystkiego najfajniej było rano w autobusie – powiedziała osoba z naszej wycieczki. Też odniosłem takie wrażenie.

W takim 523 nie jesteśmy jedną rodziną. Nie jesteśmy jednością. Większością pewnie też nie jesteśmy. Każdy wiezie własne poglądy, sprawy i cele. Ale mamy akurat jakiś powód, czasem kilka, żeby jechać razem. I nawet wysiąść na tym samym przystanku.

MARCIN WICHA

Małe wielkie gesty



Kochani, przestańmy się dzielić”, mówią ci, którzy chcieliby widzieć Zjednoczoną Opozycję na najbliższych wyborach. Pytanie, czy da się zmienić narrację i zacząć podkreślać wspólne doświadczenie i wartości? Życzliwość zamiast nieustających pretensji? Brzmi to jak hippisiarska piosenka, a tymczasem prezes organizuje konferencję prasową na tle muru wzniesionego na granicy z Białorusią. Jakże znamienny obrazek.

Mur spełnia określone zadanie, przede wszystkim symboliczne. Ma dzielić ludzi – na schowanych za nim i na tych, których piętnuje się jako „innych”. W domyśle: gorszych. Zapewne niebezpiecznych czy wręcz dzikich. Brzmi to jak stara, kolonialna narracja, taka, której echa wybrzmiewają w „W pustyni i w puszczy”. Powieść Sienkiewicza dziś wydaje się rasistowską skamieliną. I taką niech zostanie, ku przestrodze, opatrzoną posłowiem, tłumaczącym kontekst społeczno-historyczny sprzed ponad stu lat. Odbierana bez tego historia Stasia, Nel i ich dziwnie niekumatych czarnych towarzyszy w afrykańskiej przygodzie (ach, ta egzotyzyzacja!) przemyca obraz świata z końca XIX w., nieprzystawalny do roku 2023.

Obecny rząd odwołuje się do tych przebrzmiałych wartości. Najważniejsza jest hierarchia – Pan Prezes, Pani Dyrektor, Ksiądz Prałat – szał wielkich liter, ukłonów i czapkowanie. Pogarda dla pozostałych, bo kto nie z nami, ten przeciw nam, jakby nie istniała zasada złoto-środku. Swoją drogą, na pogardę PiS akurat nie ma monopolu, ale usilnie do niej podzega. Uporczywie ryte podziękowań wśród ludzi widać w niesieniach: my jesteście oświeceni i dobrzy, nasza bajka (w TVP) to ta prawdziwa. Poczucie wyższości pompuje się z wykorzystaniem najgorszych stereotypów.

Tymczasem pod wschodnią granicą umierają ludzie. W dniu pisania tego tekstu było ich już czterdzieścioro pięcioro. Przez politykę nie mogli przejść kilkunastu metrów, które dzieliły ich od przetrwania. Polskie społeczeństwo jest oczywiście podzielone, jedni uważają, że należy pomagać osobom w drodze (uchodźcom, imigrantom), inni są przekonani, że trzeba wysłać na granicę jeszcze więcej jednostek straży granicznej. A są i tacy, którzy odwracają wzrok, żeby nie patrzeć na tych, co śpią w zimnym lesie, stoją za płotem i błagają o jedzenie lub choćby wodę. Osoby, które dostarczają jedzenie i udzielają pomocy medycznej, narażone są na ataki słowne i fizyczne, w tym jawne nawoływanie do przemocy. Tweet Rafała Ziemkiewicza nie pozostawia wątpliwości: „Každemu nachodźczy przed wypchnięciem z powrotem do Łukaszenki powinno się spuszczać taki wpie*dol żeby mu się odechciało nawet myśleć o kolejnej próbie”. Sąsiedzi mieszkający w pasie przygranicznym nie mówią sobie „dzień dobry”, wiedząc, kto jest zaangażowany w pomoc po „niewłaściwej stronie muru”. Podziały i nienawiść, jak węzeł gordyjski. Do tego

badania, liczby, statystyki i analizy polityczne, obojętne na fakt, że ci, którzy utkwili w śmiertelnej pułapce między państwami, mają imiona, rodziny, tożsamość.

Niewinni ludzie stoją na szachownicy, a politycy przesuwają nimi jak pionkami. Wokół podżegacze i tłum, jeden na drugiego ujada w zacietrzewieniu. Kazik z Kultu śpiewał: „moja ulica murem podzielona/ świeci neonami prawa strona/lewa strona cała wygaszona/zza zasłony obserwuję obie strony”. Tyle że coraz trudniej przyjąć postawę „pomiędzy”. Bo co z empatią, miłością? Ci, którzy niosą pomoc humanitarną, nie dają się rozgrywać. Na granicy spotykają się katolicy, ateści, Żydzi, muzułmanie, którzy nie patrzą na pochodzenie czy wyznawaną religię – po prostu pomagają.

Entuzjazm na spektaklu „1989” opowiadającym o micie transformacji świadczy o tym, że tęsknimy za jednością. A przynajmniej za wspólną pracą na rzecz zmian. Potrafimy wzruszyć się strajkiem w Stoczni, represjami opozycji czy wygranymi wyborami. Ostatnia demonstracja 4 czerwca, która zgromadziła blisko pół miliona obywateli i obywateli, pokazała, jak wielka drzemie w nas siła. Oby determinacji wystarczyło do jesiennych wyborów.

Pomoc innym może mieć wymiar lokalny czy wręcz osobisty. Pokazuje to film „Houria” w reżyserii Mounie Meddour. Dawno nie było w kinie tak mocnego, pełnego siostrzeńskiej siły obrazu. Wszystko w tym filmie gra: elektryzująca bohaterka (w tej roli Lyna Khoudri), muzyka, choreografia oraz hasło filmu, trawestacja tego ze Strajku Kobiet: „nigdy nie będziesz tańczyła sama”. Ciekawy jest również wątek dotyczący migracji. Przyjaciółka głównej bohaterki wyrusza do kraju bezpieczniejszego niż jej ojczyzna Algieria podzielona wojną domową. Nie mogąc zdobyć wize, decyduje się na przeprawę pontonem. Jak tysiące ludzi na całym świecie ryzykuje życie, bo nie ma innego wyjścia. To wstrząsający obraz determinacji, którą trudno pojąć z perspektywy ciepłych i bezpiecznych domów.

Houria stara się walczyć o sprawiedliwość tam, gdzie nawet strach o tym wspomnieć. Być może jest to działanie głównie symboliczne, ale czy nie jest symbolem (podziałów) mur na granicy? W mnogości siła, jednak liczy się każdy pojedynczy gest. Na marszu 4 czerwca również wybrzmiały głosy poszczególnych osób, w Warszawie wrażenie zrobiła wspaniała pani z Koła Gospodyń Wiejskich. Parlament to ważne miejsce, ale i poza nim da się zmieniać, działając w organizacjach pozarządowych, w swojej miejscowości czy na osiedlu. Inicjatywa, by w powiecie sochaczewskim przeciwdziałać ubóstwu menstruacyjnemu oznacza, że wielu dziewczynom oszczędzi się upokorzenia. Takie działania łączą. Małe sprawy są wielkie.

SYLWIA CHUTNIK, GRAZYNA PLEBANEK



Sztuka trzeźwienia

Coś by pan przeczytał?” – zapytała sąsiadka, dołączając do mnie przed szybą księgarni.

„Nie wiem, ale te dwie bym kupił” – skinałem brodą na miętową i różową okładkę.

„To po co je kupować, jak nie do czytania? Chyba że pan jest zbieraczem” – spojrzała na mnie podejrzliwie.

„Kiedyś czytałem więcej, teraz musi mi wystarczyć kupowanie, trzymanie w ręce i czytanie po kilka stron dziennie kilku książek naraz, bez nadziei, że je kiedyś skończę” – tłumaczyłem się nie wiedzieć po co.

„A może mniej seriali i mniej internetu?” – zasugerowała złośliwie. I jakby jej było mało, dodała: „A ma pan jeszcze w ogóle jakąś przyjemność z czytania, jeśli pan tak wciąż przerywa?”.

Kiedy jako student polonistyki pracowałem przez miesiąc w pewnej państwowej wytwórni wódek gatunkowych, doznałem dwóch objawień. Pierwsze uświadomiło mi, że wśród najważniejszych alkoholi tylko „wódka” ma rodzaj żeński. Drugie, że literatura nie jest pisana z myślą o literaturoznawcach, podobnie jak elektryczności nie produkuje się dla elektryków. To ostatnie przyszło do mnie w postaci Heńka, który o mało nie sprawił, że rzuciłem studia. Obaj byliśmy nowi w tej robocie, ale on, starszy na oko z 10 lat, zaliczył już parę innych miejsc. Pracowaliśmy razem przy rozładunku brudnych butelek, które szły do myjni. Już pierwszego dnia, jak tylko dowiedział się, co studiuje, zaczął się nade mną pastwić. „Pamiętasz jak się nazywał ten Krzyżak, co się powiesił?” – rzucał od niechcienia. „Ciekawe czy wiesz, kto kupił place od Niechciców” – dreczył. Albo niby z ciekawością pytał: „Czytam teraz »Krakowskie przedmieście...« Rudnickiego – lubisz go? Bo ja wolę Brandysa. Ale Mariana bardziej niż Kazika. A ty?”. I tak dzień w dzień od godziny 6 do 14. Skończył trzyletnią budowlankę, ale jego odczytanie było większe niż któregokolwiek ze znanych mi studentów. Dziś wiem, że od wielu wykładowców także. Po kolejnym dniu z Heńkiem wychodziłem z roboty podwójnie zmordowany i upokorzony. I coraz bardziej przekonany, że to on powinien przejąć mój indeks studenta filologii polskiej, a ja zająć już na zawsze jego miejsce przy wyładunku i myciu butelek. Uratowała mnie wódka.

Kiedy wszedłem pierwszy raz na halę, gdzie rzędy sunących butelek napępniały się żytnią, sliwownicą paschalną lub adwokatem, zwróciło moją uwagę, że pracują tam same kobiety. Wkrótce pani Jadzia, moja mentorka, wyjaśniła mi, że faceci nie wytrzymują tu trzech dni, a najtwardsi dają radę tydzień. „Každy wcześniej czy później upija się jak świnia i wylatuje” – skwitowała z podejrzanym uśmiechem. Zrozumiałem jego sens, kiedy ta oddziałała Kirke zaprowadziła mnie na moje miejsce pracy i powiedziała, żebym dał jej swój kubek na herbatę: „Należę ci, bo zmarniesz tu przy tych butelkach”. Była siódma rano, pierwszy dzień pracy, nie miałem swojego kubka, piłem głównie piwo i bardzo chciałem wytrzymać miesiąc do wypłaty. Podziękowałem więc uprzejmie, że jutro wezmę sobie termos

z herbatą i jakoś dam radę. Nie rozumiała. Facet może nie chce napić się za darmo?! Pracowała w kontroli i godzinami spogląda-

ła na przesuwaną się butelki. Jeśli któraś nie była pełna, zdejmowała ją z taśmy i wlewała z powrotem do zbiornika. Lub do kubka. Z Heńkiem musiało jej pójść lepiej. W kolejnym tygodniu zaczął chodzić na drugą zmianę, a w połowie miesiąca pani Jadzia oznajmiła mi, że Heniek już nie pracuje, bo w nocy o mało nie wpadł do myjni.

Choć nie zobaczyliśmy się nigdy więcej, Heniek został ze mną długo jako wyzwanie dla początkującego filologa, który dostał lekcję pokory od robotnika-erudyty. I wciąż jego sylwetka mający mi w tle pytań o stan czytelnictwa w Polsce; o to, ile trzeba przeczytać, żeby być dobrym czytelnikiem? Co czytać, kiedy już wiemy, że nie przeczytamy nawet drobnej części literatury światowej? Oraz kiedy wreszcie będę wiedział na pewno, jak czytać i po co?

Splacając po latach lekcję, jaką dał mi Heniek, powiedziałbym, że dobry czytelnik musi trzeźwieć. Upojenie lekturą to stan pomiędzy ekstazą a błogością. Kto raz go doświadczył, ten będzie próbował bez końca. Nie oznacza to jednak, że pochłaniając kolejne książki, stajemy się czytelnikami. Dobrymi czytelnikami. Taki rodzi się, kiedy – niczym latająca ryba – potrafi wynurzyć się z pochłaniającej go lektury i zobaczyć, że to, w czym pływa, jest napisane.

Dlatego czytanie książek jest tak ważne w ogólnym kształceniu obywatela, ponieważ żadna inna mowa nie potrafi nas omamić skuteczniej niż literatura. Książka, którą uznajemy za napisaną specjalnie dla nas, choć autor nie miał pojęcia o naszym istnieniu, to niezwykle skuteczna perswazja. Wciąga, uwodzi, narzuca swój obraz świata; sprawia, że milczymy zamiast mówić, a zachwyty blokuje krytykę. Czytając w zapamiętaniu, przypominamy dzieci i szczury podążające za głosem fletu Szczurołapa. Upajanie się naturalne. Sztuką jest trzeźwieć w środku upojenia.

Dobry czytelnik potrafi dokonać krytyki własnego zachwyty, zobaczyć i zrozumieć anatomie swoich gustów i uprzedzeń. Rzadko potrafimy to zrobić sami. Pomaga dobra szkoła, a później, żeby czytanie nie stało się łagodną socjopatią, trzeba o swoich lekturach rozmawiać, dzielić się nimi, znosić ich krytykę. Słowem, pozwolić innym, aby pomogli nam otrzeźwieć z odurzenia lekturą.

Niedawno w Wiśle podczas festiwalu literackiego Granatowe Góry Andrzej Drobik zapytał mnie o jedną z ważnych pisarzy. Kiedy skończyłem wymieniania, zwrócono mi uwagę, że jest tam tylko jedna kobieta. Otrzeźwiony, ujrzałem zakodowany w mojej głowie szowinistyczny schemat męskiej kultury literackiej, przesłaniający pisarki, które zrobiły ze mnie nadal czytelnika: Emily Brontë, Agatha Christie, Maria Dąbrowska, Ananda Devi, Emily Dickinson, George Eliot, Annie Ernaux, Astrid Lindgren, Dorota Masłowska, Krystyna Miłobędzka, Herta Müller, Anaïs Nin, J.K. Rowling, Mary Shelley, Wisława Szymborska, Olga Tokarczuk, Virginia Woolf... Wystarczy, trzeźwiejcie.

RYSZARD KOZIÓŁEK

• OKIEM KISSINGERA • WARSZAWA PA RUSKI

Istnieje
od 1965

FORUM



N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

nr 13 (16-29.06.2023) Cena 12,99 zł (w tym 8% VAT)

RAMMSTEIN Mroczna strona metalu



DZIECI DŻUNGLI
Cudem ocalone

TECZOWY MEKSYK
Podryw na kowbojki

SKAZANI NA SKANSEN
Las dla Mansów

PICKLEBALL ZBLIŻA
Moda na pseudotenisa

WIEJ NA KOMORY
Niszczą slumsy na Majotcie

W ODMĘTACH
Jak zostać syrenką?

GLEBA ZAMIAST URNY
Metoda na zwłoki

POGADAJMY
Tajniki negocjacji

ELLY SCHLEIN
Gwiazda włoskiej polityki

Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata
NOWY NUMER FORUM W SPRZEDAŻY OD 16 CZERWCA



Po co nam sztuczna inteligencja opracowywana na nasze podobieństwo?

Chciałabym odnieść się do rozmowy Marcina Rotkiewicza z prof. Przemysławem Kazienko opublikowanej w POLITYCE nr 15 oraz dalszych artykułów dotyczących sztucznej inteligencji.

Obawa ludzi przed sztuczną inteligencją, której dość zaawansowaną formę reprezentuje ChatGPT, sprowadza się do obawy o to, że zacznie ona przejawiać najgorsze i zarazem świetnie nam znane cechy ludzkie. Człowiek bowiem świadomie wykorzystuje ogromne możliwości swojego mózgu, takie jak zdolność abstrakcyjnego myślenia, uczenia się i odczuwania szerokiej gamy emocji, na różne sposoby, w tym do działań skierowanych przeciw innym ludziom, szkodliwych, destrukcyjnych, a nawet prowadzących do śmierci innych osobników tego samego gatunku. My antropomorfizujemy ChatGPT, spodziewamy się więc, do czego może być zdolny, i to budzi lęk, który jest lękiem przed tym, że będzie on poczynił sobie tak, jak to ludzie potrafią...

Ten lęk jest uzasadniony, biorąc pod uwagę, że Chat ma wprowadzoną wiedzę z terabajtów książek w wersji elektronicznej, co daje mu okazję do zapoznania i przyswojenia mechanizmów ludzkiego postępowania, również tego, które jest motywowane nienawiścią, pazernością, egoizmem. Jeden podręcznik do historii wystarczy, aby dowiedzieć się, do czego ludzie są zdolni.

Nasuwa to więc pytanie, czy nie byłoby lepiej opracować sztuczną inteligencję w wersji wyidealizowanej, z ogromnymi możliwościami intelektualnymi, ale wolnej od ludzkiej nikczemności? Tworzenie programów czy – idąc dalej – androidów ze wszystkimi naszymi, ludzkimi wadami i przypadłościami niczemu nie służy. Liczba ludności świata, czyli ludzi, którzy borykają się z indywidualnymi i globalnymi problemami powstałymi często wskutek ich własnej działalności, przekroczyła już 8 mld. Po co nam więc sztuczna inteligencja opracowywana na nasze podobieństwo? Niezwykły wysiłek włożony w tę kreację

można by ukierunkować na wytworzenie nieznannej formy inteligencji, która by nam służyła.

Jednak tak się nie stanie, ponieważ już słyhać z różnych stron zacieranie rąk przed wizją wykorzystania sztucznej inteligencji do ludzkich, partykularnych celów, czyli przeciw innym ludziom. Idąc dalej tym tropem, może to sztuczna inteligencja powinna się bać nas, a nie tylko my jej?

AGATA ZDYB, LUBLIN

Ireneusz Szuniewicz



© IRENEUSZ SZUNIEWICZ

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;

Mahwina Dziedzic (redaktor działu Opinie)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jedrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZYSTY

Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Marek Henzler,
Rafał Kalukin, Adam Krzemiński,
Paweł Reszka, Ewa Siedlecka,
Adam Szostkiewicz, Wiesław Władyka,
Jacek Żakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.), Zbigniew Borek,
Joanna Cieśla, Juliusz Świeliuch,
Edyta Gietka, Marcin Kołodziejczyk,
Violetta Krasnowska, Wojciech Markiewicz,
Marta Mazus, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Paweł Tamowski (kier.),
Joanna Solska (z-ca kier.),
Adam Grzeszak, Czeczary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY

Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domosławski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winiecki

współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczuk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKTPULSAR.PL

Karol Jajołowski (kier.),
Katarzyna Czarnecka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORICZNY

Marian Turski (kier.), Tomasz Targarski

STALI FELIETONIŚCI

Jan Hartman, Sławomir Mizerski,

Daniel Passent, Stanisław Tym

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Zofia Lesniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyr.)
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Żelazńska (z-ca, media społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner
WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (kier.)

DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)

KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89,

Jadwiga Kucharczyk (dyr.)

Halina Cibor (gt. księgowo)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85

Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA

Marcin Paśnicki (kier.),
tel. 22 451-61-92

PROMOCJA

Dominika Nowak-Kajtowska,
tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT

Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY

RECEPCJA tel. 22 451-61-36,

e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),

Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU

POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.klep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Kaliszuk-Radźko,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-75-80,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA

BGŻ BNP Paribas S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Maciej Domagała,

tel. 22 451-61-25,

e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad88

PBC

PRINTED IN POLAND

www.izbaprasylp.pl

IZBA KONTROLI PRASY



Pandemia wymieszała prywatne z publicznym i zostawiła nam w spadku luźniejszy dress code i luźniejszą gumkę w spodniach.

Na miękko

Podział na pracę i dom jest w modzie bardzo prosty – do tej pierwszej zakładamy ubrania zrobione z mniej lub bardziej sztywnych materiałów, to samo dotyczy butów. Strój nie musi być wygodny, a nawet dobrze, jeśli w niewielkim stopniu krępuje ruchy, ograniczając zbyt spontaniczne, emocjonalne reakcje. Środowisko profesjonalne to wszak intelekt i procedury, oczywiście nieco inne w banku i w urzędzie. Miękkie tkaniny i luźne kroje to domena domu – tutaj to ubrania się dopasowują do nas, a nie my do nich.

Pandemiczna trzylatka zniosła te podziały, i niejednemu poważny profesjonalista na spotkania na Zoomie „przychodził” ubrany w sztywną na miarę marynarkę nałożoną na T-shirt albo wręcz górę od piżamy. Hybrydowy styl pracy wzmocnił jeszcze wymianę przestrzeni, bo raz praca jest w pracy, a raz w domu. Dlaczego więc nie iść do biura w tym samym, w czym siedzieliśmy niedawno we własnym salonie? Kto po miękkości dresu

lub leginsów miałby ochotę przestawić się na sztywne spodnie od garnituru lub wąską spódnicę? Z tej perspektywy nawet opięte dzinsy wydają się dziś lekko opresyjnym wyborem.

Moda, wierna towarzyska społecznych ruchów, nie mogła pozostać na to obojętna i stara się dopasować kształt do potrzeb. Jak pisze konsultantka Allison Shapira w „Harvard Business Review”, dress code stał się bardziej niż kiedykolwiek przestrzenią do negocjacji i sztywne – dosłownie i w przenośni – zasady zmiękły. Doradza jednocześnie, aby kroki w balerinach czy wręcz w adidasach stawiać ostrożnie i obserwować reakcje współpracowników. Opisuje, jak sama na ważną i poważną konferencję założyła zamiast czarnych, klasycznych szpilek brokatowe sneakersy i zebrała mnóstwo komplementów – nawet od bankierów, uważanych za strażników stylowego konserwatorstwa. Podpytywali, czy teraz można już w takich butach chodzić na co dzień... Shapira donosi też, że lepiej mogła się skupić na mowie, którą wygłaszała, bo nie zastanawiała się, czy zaraz obcas nie ugrzęźnie między deskami sceny. A więc jej stylowy eksperyment powiódł się lepiej, niż tego oczekiwała. Na podstawie rozmów ze współpracownikami stwierdza wręcz, że moda korporacyjna – symbol konformizmu i ujednolicenia – stała się dziś na tyle elastyczna, że można przemycać do niej ubrania lub dodatki, które podkreślają osobowość.

Poluzowanie podchwycili nawet politycy, którzy na zeszłorocznym szczycie G7 wystąpili bez krawatów. Z jednej strony był to ruch na rzecz wygodny, z drugiej jednak strategiczny – panowie chcieli dzięki większej swobodzie podkreślić, że są bliżej zwykłych obywateli. Trudno się temu dziwić – w tej grupie to, co prywatne, musi być polityczne.

Miękość i luz na pewno poprawiają komfort życia zawodowego, ale jest i druga strona tej stylowej monety. Spróbujmy wrócić pamięcią do ery BC (*before covid* – przed covidem). Gdzie widywaliśmy wtedy dresy? Siłownie, tereny do biegania, imprezy dla bohemy artystycznej, która nawet na oficjalne okazje założyła to, co „czuje”, a nie to, co nakazuje dress code. Tak, zgadza się. A w trakcie pandemii miękkie spodnie, często z dopasowaną do nich bluzą z kapturem i kieszenią kangurką zdominowały przestrzeń pozadomową. Były wygodne, niekoniecznie estetyczne, szczególnie po kilku spacerach i praniach, wszak bawełna lubi tracić formę w wyniku przedłużonego kontaktu z człowiekiem. Gdy pandemia na chwilę odpuściła i skończyły się długie lockdowny, krytycy mody i stylu zaczęli narzekać, że komfort (własny) za mocno wdarł się do przestrzeni dzielonej z innymi ludźmi niż domownicy. Szczególnie widoczne stało się to na lotniskach, gdzie część podróżników wygląda, jakby na odprawę stawiała się prosto z łóżka. Dziś taki nadmiernie prywatny styl nie zaskakuje (choć wciąż niekiedy szokuje) i czasem tęskni się za czasami, gdy ludzie na weekendowe zakupy stroili się jak do galerii, a nie jak do centrum handlowego. ■



Ola Salwa – absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Heklowanie na ekranie

Dzierganie to już nie tylko babcine hobby. Dzięki mediom społecznościowym moda na rękodzieło rozlewa się i wciąga młode pokolenia. A także przenosi się z internetu w miejsca publiczne. Jak w ostatnią sobotę, kiedy po raz 19. obchodzono Światowy Dzień Dziergania w Miejscach Publicznych.

Jednym z największych stereotypów jest przekonanie, że rękodzieło wymaga dużej cierpliwości i opanowania. Tymczasem niejedna dziewczynka przyznaje, że jest choleryczką, a mimo to przerabianie oczek pomaga jej się zrelaksować i złapać balans (no, chyba że trzeba pruć!). Bo odtwarzanie wyczynów, powtarzalnych ruchów „pozwała się wyłączyć”. Nie bez powodu heklowanie i sztrykowanie (gwarowe odpowiedniki szydełkowania i robienia na drutach) porównywane jest do jogi lub medytacji. Tu też kluczowa jest praktyka, a im dalej w las, tym lepsze efekty.

Jedną z najbardziej znanych propagatorek dziergania jest Michelle Obama. Druty pomogły jej przejść przez trudny czas, jakim była dla niej nie tylko pandemia, ale i – ugruntowana na podsycaniu strachu i niepewności – prezydentura Trumpa. Opowiada o tym w swojej najnowszej książce („Światło, które niesiemy”) oraz w rozmowie z Oprah Winfrey, od niedawna dostępnej na Netflixie. „Gdy problemy wydają się tak ogromne i tak bardzo nie do rozwiązania, trzeba skupić się na tym, nad czym mamy kontrolę” – podkreśla.

Ale poza zaletami natury psychicznej dzierganie to także świetny sposób, aby sprawić komuś niebanalny prezent: własnoręcznie wykonaną maskotkę, sweter czy też zabawkę dla psa lub kota. A kiedy już obdarujemy wszystkich bliskich, warto też zrobić coś dobrego dla innych. Fundacja Małych Serc, wzorem duńskich społeczników, zachęca do przyłączenia się do akcji Ośmiorniczki dla Wcześnieiaków („Badania pokazały, że macki tych maskotek przypominają wcześnieiakom pępowinę”). Wystarczy szydełko, motek bawełnianej włóczki i trochę kulki silikonowej do wypełnienia. Schemat i filmik instruktażowy są w sieci. A opanować należy ledwie parę chwytów – głównie robienie półsłupków, dodawanie i odejmowanie oczek. Bułka z masłem.

Co więcej, dziergać można praktycznie wszędzie: w pociągu, na plaży czy choćby czekając na posa w Sejmie. Choć pewną walijską radną narażiło to na zarzut „naruszenia powagi urzędu” – jej koleźce nie spodobało się, że robiła na drutach podczas



TREND



Malwina Dziedzic

– dziennikarka i redaktorka POLITYKI. Zajmuje się polską polityką. Po godzinach (i podczas kolegium) dzierga swetry i zabawki – jak te na fot.

wideokonferencji. Rachel Garrick tłumaczyła potem, że choruje, a dzierganie pomaga jej odciągnąć uwagę od bólu i skupić się na spotkaniu. Radną wsparli naukowcy, tłumacząc, że ruchy małej motoryki wspomagają koncentrację i nie rozpraszają tak, jak choćby przeglądanie w czasie zebrania mediów społecznościowych. Zatem lepiej dziergać, niż skrolować.

Chociaż naukę najlepiej zacząć właśnie od sieci. W internecie znaleźć można mnóstwo schematów: od łatwych i darmowych, po bardziej skomplikowane i płatne. Bo dla wielu młodych dziewczyn – choć na Zachodzie również panowie chwytają za „igły” – szydełko lub druty to także sposób na życie. Rzucają korporacje, zakładają firmy, sprzedają gotowe projekty lub wzory, tworzą tutoriale i wirtualne warsztaty.

Rynek także wyczuł nową modę (McDonald’s przedział nawet swoją restaurację w Ustroniu w gigantyczny dziergany sweter). Oprócz bogatego asortymentu włóczek i narzędzi (ceny zaczynają się od kilkunastu złotych, a kończą nawet na tysiącu za zestaw) pojawiło się mnóstwo gadżetów – mniej lub bardziej potrzebnych, za to efektownych i ładnie prezentujących się na instagramowych relacjach. Są więc fikuśne znaczki rządów, specjalne zatyczki do drutów, miarki lub mininożyczki w kształcie zwierzątek. A do tego kolorowe igły, designerskie torby, dziewczarskie notatniki... Można się bez tego obejść (do zabezpieczenia drutów wystarczy gumka recepturka, a do zaznaczania rządów – kawałek włóczki lub mała agrafka), ale czasem trudno nie ulec pokusie. Bo jest w tym coś zaraźliwego. ■



Okulary do czytania ludzi

Kiedy nie możesz usłyszeć tego, co ktoś mówi, **XanderGlasses** pomogą ci to zobaczyć” – mówi Alex Westner, współtwórca, wraz z Paulem Traversem z firmy Vuzix, okularów, które na jednym ze szkiełk wyświetlają w czasie rzeczywistym zapis wypowiedzi rozmówcy. Tekst, którego rozmiarem i miejscem można nawigować, pojawia się na czarnym tle, na zasadzie ekranu nałożonego na realny świat. XanderGlasses wyglądają jak zwykłe okulary korekcyjne i nie zwracają na siebie uwagi. Wyposażone są w mikrofony, które zbierają dźwięk z otoczenia, co sprawia – jak zapewnia Travers – że sprawdzają się nawet w miejscach, w których jest głośno i słychać wiele odgłosów. Urządzenie umożliwia dostęp do chmury, co ma pozwolić na korzystanie z innych usług, np. tłumaczenia z jednego języka na drugi. Okulary działają samodzielnie i nie trzeba ich łączyć z inną elektroniką.

Zastosowanie takich okularów może być bardzo szerokie: od ułatwienia komunikacji osobom mającym problemy ze słuchem, poprzez miejsca pracy z wysokim poziomem hałasu, aż po edukację. Alex Westner przez 20 lat

zajmował się technologią dźwięku, chciał wykorzystać swoje dotychczasowe doświadczenia, by pomóc osobom z niedosłuchem, a Światowa Organizacja Zdrowia przewiduje, że do 2050 r. utrata słuchu dotknie 2,5 mld ludzi, czyli jedną na cztery osoby na całym świecie.

XanderGlasses po raz pierwszy pokazano szerokiej publiczności na tegorocznych targach technologicznych CES. Zanim okulary trafią do regularnej sprzedaży, testowane są w amerykańskich klinikach na weteranach, którzy – jako starsze osoby – są bardziej narażeni na ubytki słuchu. Według twórców okulary mogą wspomóc osoby, które korzystają z aparatów słuchowych, a być może w przyszłości nawet zastąpić te urządzenia. Czy taki gadżet to też dobre rozwiązanie dla osób niesłyszących? – *Technologie rozpoznawania mowy są coraz lepsze, ale nie są doskonałe i potrafią wygenerować tekst z błędami* – wyjaśnia Bartosz Marganiec, działacz na rzecz praw Głuchych [pisane dużą literą oznacza tożsamość, a małą określenie stanu zdrowia – red.]. Dodając: – *Ta społeczność nie jest jednorodna. Są osoby, które znają język polski bardzo dobrze, takie, które go w ogóle nie znają, oraz całe spektrum pomiędzy. Takie okulary i napisy mogą pomóc np. osobom słabo słyszającym czy Głuchym dobrze znającym język polski, ale nie zastąpią one wykwalifikowanych tłumaczy polskiego języka migowego.* Sam korzysta z rozpoznawania mowy w aplikacji MS Teams w czasie pracy, ale odbywa się to w warunkach ciszy i spokojnej rozmowy. – *Głusi w razie potrzeby korzystają z rozpoznawania mowy na smartfonach, gdy potrzebują się szybko porozumieć, do dłuższych konwersacji jednak wygodniej jest skorzystać z usług tłumacza PJM* – zauważa.

JOANNA TRACEWICZ

TECHNO

Marzę o samarze

Młoda artystka o pseudonimie **Bambi**, sądząc po najnowszej piosence, ma plan na życie: „Wielki świat, a w nim sama ja/Wielki talent, a nie chowam go po samarach”. Samara to tutaj nie model Lady, czy nazwa miasta nad Wołgą. To torebka. Ale nie firmy Gucci albo Louis Vuitton, tylko mała torebka foliowa z zatraskującym się paskiem, na co dzień dobrze znana w rapowym środowisku, które o Gucci rapuje („Każda ma na sobie Gucci, ale nie ma mowy o dostępie do mojej duszy” – słychać w nowym utworze Maty, po którego zesłono rocznym aresztowaniu prasa informowała o znalezieniu „samary”), ale na co dzień trawkę transportuje właśnie w foliowym, zapinanym woreczku.

Fachowo chodzi o torebkę z zamkiem typu minigrip. Na ten wynalazek, przydatny w pasmanteriach i innych sklepach z drobnymi przedmiotami – ale też w kręgach dilerów – w krajach anglosaskich mówi się ziplock bag (od firmy Ziploc), u nas – torebka strunowa. Słowo „samara” powstało



niezależnie od tego wygodnego wynalazku, w gwarze więziennej. Oznacza brzuch (stąd powiedzenie „Nic tak chłopa nie upiększa jak samara coraz większa”), ale też worek i właśnie torbę. A ponieważ twarde prawo antynarkotykowe stale łączy ulicznych sprzedawców narkotyków z zakładami karnymi, samara od lat jest rozpoznawalnym określeniem i tu, i tu. Czasem łącząc jedną i drugą sferę. Jak pod zdjęciem pewnego polityka o długiej i pełnej (także narkotykowych) przegrodzie przeszłości, które komentowano: „I dwie samary pod oczami”. Niezależnie od wieku można mieć plan na życie. Tylko w rzeczywistości, nie tak jak w piosence, jego realizacja oznacza wory pod oczami.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Teraz to ja rozdaję karty, baby/Bambi in real life
Bambi, IRL, 2023 r.
IRL = in real life = w prawdziwym świecie

SŁOWO



RELACJE

Zmiany społeczne, za którymi tęsknimy, mogą zacząć się w łóżku, a z pominięciem łóżka nie udadzą się na pewno. Bo tam zaczyna się negocjowanie relacji, nauka wzajemnego poważnego traktowania się przez obie strony.

Seks się liczy

Z seksem jest jak z demokracją: prawo do głosu i poważnego traktowania powinno należeć się wszystkim stronom. A nie tylko tym uprzywilejowanym, które mają dostęp do pieniędzy, władzy czy kontroli. Nie wyobrażam sobie społecznej sprawiedliwości bez seksualności. Jeżeli nie jesteśmy równi w łóżku, nie jesteśmy równi wcale.

Pomimo tego, a raczej właśnie dlatego, kobietom powtarza się, że seks nie ma dla nas aż takiego znaczenia. Według najbardziej rozpowszechnionych podpowiedzi zarówno z kolorowych magazynów, komedii romantycznych, filmów porno, jak i kościelnych kazań dla kobiety ważniejszy jest wygląd oraz zdobycie i zatrzymanie przy sobie partnera/męża niż zadowolenie ze swojego życia seksualnego. Zawsze są inne, jakoby ważniejsze sprawy niż nasze

prawo do przyjemności w przestrzeni seksualnej. Wiadomo: Bóg, honor, ojczyzna, mężczyzna.

Na pytanie, które zadaje jako edukatorka seksualna i trenerka relacji intymnych regularnie od lat, co dla ciebie oznacza dobry seks, większość kobiet odpowiada: bez bólu i uczucia dyskomfortu. Mężczyźni zaś opisują dobry seks jako specjalnie dla nich urozmaicony. Według światowych badań marki Durex panowie mają orgazm cztery razy częściej niż ich partnerki. Prawo do sięgania do łechtaczki, zarówno w czasie zabawy solo, jak i w duecie, brzmi jak fanaberia, rozrywka dla niewyżytych kobiet. A zajmowanie się tematem kobiecej seksualności jest takie wulgarne i niepoważne, prawda? Wywołuje niesmak i ma się ochotę jak najszybciej wrócić do prawdziwych problemów i istotnych spraw. Czyli jakich?

Wkurza mnie powtarzanie toksycznych bajek o tym, że jakoby seks się nie liczy. Mamy w nie wierzyć, siedzieć cicho i nie interesować się zbytnio „tymi sprawami”. Tak, żeby nie przeszkadzać nieczułym kochankom, drańskim księżom i pyszałkowatym konserwatywnym politykom w eksploatowaniu naszych ciał i wzmacnianiu naszym kosztem ich pozycji społecznej i politycznej. Oscar Wilde powiedział, że w życiu zawsze chodzi o seks, tylko w seksie chodzi o władzę. I jeżeli, droga czytelniczko/czytelniku, uważasz, że sprawa cię nie dotyczy, bo przecież masz dostęp do porno, to uwierz, że porno ci w tej batalii o prawo do przyjemności i równouprawnienie dla nas i dla tych, które/którzy przyjdą po nas, nie pomoże.

Seks jest ważny. Jest sprawą prywatną i polityczną. Przyzwolenie seksualne i polityczne wzajemnie się wzmacniają. Poszukiwanie bardziej ludzkiego podejścia do władzy i zakończenie seksualnej tępoty jest ważną bitwą przeciwko toksycznym, męskim przywilejom. W łóżku bowiem zaczyna się negocjowanie relacji, nauka poważnego traktowania się przez obie strony. Ludzie, którzy to potrafią, swoją otwartość przenoszą na inne pola relacji społecznych. Zmiana się uda, jeżeli obalimy świętoszkowatych drani i przemocowych predatorów, którzy rozpychają się w naszych głowach, w naszych sypialniach i na naszych ulicach. Kto ma seks, ten ma władzę. Nie dajmy sobie odebrać ani jednego, ani drugiego.

Dlatego tak ważne jest, żebyśmy nie bali/nie bały się kwestionować utartych przekonań na temat seksu. Szukajmy w przestrzeni seksualnej odpowiedzi na cztery ważne pytania. Pierwsze: Czy w mojej relacji erotycznej jest miejsce na to, czego ja sama/sam naprawdę chcę? Drugie: Czy mogę przy partnerze/partnerce śmiało i swobodnie sięgać do łechtaczki? Trzecie: Czy jego wytrysk oznacza koniec także dla mnie, bez względu na to, w jakim momencie podniecenia jestem? Czwarte: Czy moje fantazje i pragnienia erotyczne zaciekawia go/ją, czy też zostaną wykorzystane jako pretekst do wyśmiania i odrzucenia? Jednym ze sposobów na wymknięcie się blokującym nas ograniczeniom jest podążanie za swoimi potrzebami. Jeżeli czujesz, że coś jest ciekawe, dobre i przyjemne, rób to. Jeżeli jakaś rzecz wydaje ci się fałszywa lub wymuszona, zaufaj sobie i wycofaj się. Bądźmy napalone, ale na swoich własnych zasadach. ■



Joanna Keszka – edukatorka seksualna, aktywistka oraz autorka poradników i książek o seksie („Grzeczna to już byłam”, „Potęga zabawnego seksu”). Píše o seksualności na portalu Barbarella.pl, prowadzi warsztaty i szkolenia.



Spełniona dziecięca fantazja o byciu samurajem czy mozolna droga duchowego rozwoju? Czym będzie praktyka kendo, wywodząca się ze średniowiecznej Japonii sztuka szermierki, zależy głównie od ćwiczącego.

Duchem i mieczem

By zacząć, nie potrzeba wiele. Wystarczy znaleźć okoliczny klub (tych jest w Polsce kilkadziesiąt, funkcjonują w niemal każdym większym mieście), wyciągnąć z szafy dres i wydać kilkadziesiąt złotych na bambusowy miecz (*shinai*) – lub pożyczyć z klubu. Tyle wystarczy, by móc zapoznać się z zasadami etykiety (*reiho*), nakazującej przed wejściem na salę (*dojo*) pokłonić się, czy podziękować po treningu starszym stopniem, oraz przyswoić kilka podstawowych cięć. W kendo, jak przystało na dyscyplinę sportową, zdobywa się punkty – w tym przypadku, trafiając w konkretne części ciała: głowę (*men*), dłoń (*kote*), tors (*do*) i krtań (*tsuki*). By obyło się bez ofiar, krytyczne

miejsca chroni wzorowana na samurajskiej zbroja (*bogu*), która w połączeniu z grubą bawełnianą bluzą (*keikogi*) i szerokimi spodniami (*hakama*) tworzy zestaw absorbujący większość trafień i przydający ćwiczącemu szyku i powagi.

Treningi (*keiko*) w zbroi są esencją kendo, a przy tym punktem praktyki, w którym wielu początkujących daje za wygraną. Nie dość że ogranicza ona ruchy i widoczność, to dodatkowo utrudnia oddychanie, co jest odczuwalne przy intensywnym wysiłku. Kencocy mają na to sposób – przy każdym ataku wydają głośny okrzyk (*kiai*), czym pobudzają swego ducha i dodatkowo się dotleniają. Odgłosy z sali treningowej wiernie oddają więc atmosferę prawdziwego pola bitwy, szczęśliwie zbroja tłumi także hałasy.

Jest więc głośno, pot leje się litrami, a na głowie ćwiczącego co chwila ląduje bambusowe ostrze partnera. A jednak warto. Poza oczywistą poprawą sprawności ciała kendo oferuje też poważne walory wychowawcze, stanowiąc obowiązkowy punkt edukacji szkolnej w Japonii. – *Dla mnie najważniejsze jest to, jak kendo uczy szacunku do drugiej osoby: partnera na treningu, przeciwnika w walce. Każde pamiętać, że bez niego nie jesteś w stanie ćwiczyć, rozwijać swoich umiejętności i tym samym stawać się coraz lepszym* – mówi Alina Yearwood z Warszawskiego Klubu Kendo, wielokrotna mistrzyni Polski i aktualna wicemistrzyni Europy.

Bez rozwoju wewnętrznego praktyka kendo po prostu staje w miejscu – poza szlifowaniem techniki i siły fizycznej kluczowym jej elementem jest bowiem doskonalenie umysłu (*kokoro*). Moriji Mochida, jeden z ostatnich wielkich mistrzów uhonorowanych 10. danem, czyli „czarnym pasem” (dziś przyznaje się ich osiem), mawiał, że opanowanie podstaw kendo na poziomie ciała zajęło mu 50 lat. Dopiero wtedy zaczął „prawdziwy trening”, obejmujący pracę nad duchem i umysłem. Hiroshi Ozawa, autor klasycznego podręcznika do kendo, tajemniczy tej sztuki upatruje w osiągnięciu „oderwanego od myśli stanu wiecznej pustki, w którym działasz jak wiatr, nie zostawiając śladów”.

Postrzegane w ten sposób kendo staje się wręcz formą medytacji w ruchu, nie trzeba być jednak mistrzem zen, by czerpać korzyści z treningów. Kendo z powodzeniem praktykują dzieci i seniorzy, kobiety i mężczyźni, dbający o linię i popuszczający pasa. W Polsce regularnie ćwiczy dziś blisko 600 osób, a w tym roku przypada 50. rocznica założenia w Łodzi pierwszej krajowej sekcji. – *Miecze łamały się jak zapalki, nasi szermierze walczyli wtedy jak polscy rycerze, tnąc z całej siły. Dzisiaj kendo w naszym wykonaniu jest lżejsze, bardziej dynamiczne, fajniejsze* – wspomina Krzysztof Brzeski z Gdańskiego Klubu Kendo Bushido, jeden z pionierów polskiego kendo. To zatem dobry moment, żeby postawić pierwszy krok na „drodze miecza” (to dosłowne znaczenie słowa „kendo”). I sprawdzić na sobie, czy rzeczywiście, jak twierdzi Ozawa, „trening duchowy i poprawne, z wigorem wykonane *keiko*, przydają szlachetności ludzkiej naturze”. ■



Michał Klimko

– w Fiszkach POLITYKI pisze o świecie i polityce, w samej POLITYCE o muzyce i popkulturze. Lubi wodę, las i tradycje Wschodu – duchowe i kulinarne.

Piknikowe placuszki à la taco

Pikniki i kolacje pod drzewem lub na trawie nie muszą być wyszukane. Dobrym pomysłem jest przygotowanie kilku mniejszych dań, którymi swobodnie można się będzie dzielić.



KUCHNIA

Taco z fasolą, guacamole, sałatką z młodej kapusty i salsą ze szczawiu:

Tortilla (na 8–10 placuszków):

1 szklanka mąki pszennej
1/2 szklanki mąki kukurydzianej
do 1/2 szklanki wody
4 łyżki oleju
duża szczypta soli

Fasolka:

400 g ugotowanej czerwonej fasoli
3 łyżki oleju
1 cebula
3 łyżki przecieru pomidorowego
1/2 łyżeczki chili
1 łyżeczka słodkiej papryki
1/2 łyżeczki wędzonej papryki
2 łyżeczki oregano
1/4 łyżeczki gałki muskatołowej
2 łyżki sosu sojowego
sok z 1 limonki
szczypta soli
3 łyżki posiekanej kolendry

Salsa:

pełny szczawiu
sok z 1 limonki
skórka z 1 limonki
5 małych pomidorów
1 ostra papryczka chili świeża
lub w płatkach
sól, szczypta cukru
do 1/2 szklanki oliwy
dobrej jakości

Guacamole:

2 awokado
1 czerwona cebulka
sok i skórka z 1 limonki
sól

Sałatka:

1/4 główki młodej kapustki
sok z 1/2 cytryny
szczypta soli

Sposób

przygotowania: W misce połącz obie mąki, sól i olej. Powoli dodawaj wodę, zagniatą ciasto. Powinno być zwarte i sprężyste. Zawiaj kulę z ciasta w folię i zostaw na minimum 30 minut.

Z ciasta formuj mniejsze kulki o średnicy około 3–4 cm. Rozwałkuj je na cienki, okrągły placek o średnicy ok. 13 cm. Smaż na suchej, rozgrzanej patelni z obu stron.

Rozgrzej olej. Wsyp posiekaną cebulę. Kiedy cebula zmięknie, dodaj ugotowaną fasolkę, a później wszystkie przyprawy oraz przecier i sos sojowy. Przy pomocy widelca zgnieć fasolę. Dodaj sok z limonki oraz posiekaną kolendrę. Spróbuj i dopraw do smaku.

Szczaw drobno posiekaj. Nie blenduj! Użyj noża. Można dodać też resztki kolendry. Przełóż do miski. Dodaj ostrą papryczkę, posiekane na kawałeczki pomidory oraz skórkę z limonki. Zalej sokiem z limonki i oliwą. Salsa powinna być płynna, nie za sucha. Dopraw solą i cukrem. Przed podaniem przemieszaj.

Przełóż do miski miąższ awokado. Dodaj szczyptę soli i sok z limonki. Zaczynaj ucierać, a potem dodaj bardzo drobno posiekaną cebulkę. Wymieszaj i dopraw solą do smaku.

Kapustę poszatkuj. Skrop sokiem z cytryny i posól. Zagniatą rękami, aż kapusta zmięknie. Wszystko przenieś do osobnych pojemników. A potem, już w plenerze, układaj na placuszkach. Smacznego!



Alicja Rokicka

– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Zaczną od kontrowersji. Chodzę na pole i uwielbiam jeść na polu! Z dziecięcą niecierpliwością oczekuję pierwszych ciepłych dni. Wyższe temperatury to częstsze i dłuższe spacerowanie oraz – co jeszcze ważniejsze – pikniki i jedzenie na świeżym powietrzu. Otoczenie ma ogromny wpływ na odbiór potrawy, a przebywanie na zewnątrz wyostreza zmysły, aromaty potraw wydają się intensywniejsze podkreślone przez ciepły wiatr. Na tle zielonej trawy nawet zwykła kanapka będzie wyglądać bardziej apetycznie. A letnia kolacja na balkonie może być równie przyjemna jak wizyta na działce czy wyjazd za miasto.

W plenerowych sytuacjach świetnie sprawdza się przygotowanie kilku mniejszych dań, którymi swobodnie można się będzie dzielić. Wszak nic tak nie zbliża, jak krążące jedzenie podawane z rąk do rąk. Niech biesiadnicy wymieniają się miseczkami i układają własne kompozycje. Pszenne placuszki à la taco będą idealne w takich okolicznościach. Niczym na talerzyk, można nakładać na pszenne placek wszystkiego po trochu.

Oprócz dobrze doprawionej ostrej fasolki będzie pasować świeża zielona salsa lub awokado. Ale pomysłów na to, co może znaleźć się na placuszkach, jest więcej, to m.in. grillowane lub surowe warzywa, sałata skropiona octem, hummus lub inna ulubiona pasta. Wszystko to można włożyć do pojemników, spakować do lnianej torby, pod pachę zawinąć koc i iść na pole, na dwór, pod drzewko, na ławkę w parku lub plażę. Będzie bosko!

W „Plusie Minusie” Kataryna ćwiczy wyobraźnię: „Wyobrażam sobie, że komisja – już po zmianie władzy i wymianie jej składu – zechce sprawdzić, czy bracia Karnowscy, publikując w swojej gazecie obszerny wywiad z rosyjskim ambasadorem chwilę po tym, jak Rosja zaatakowała Ukrainę, nie działali pod wpływem rosyjskim. Wszak dziennikarze sami przyznali, że oferta wywiadu z przedstawicielem zbrodniarza przyszła do nich od »pośrednika«, ale każdy, kto wywiad czytał, musiał się zastanawiać, czyj interes realizuje gazeta, oddając 11 stron ambasadorowi kraju, który właśnie napadł nam na sąsiada”. Bracia już nic nie pamiętają.

O powołanej przez PiS komisji pisze także Jan Piński („Najwyższy Czas!”): „Ta ustawa pokazała, że władza PiS jest przerażona. Nie ma pomysłu na utrzymanie się przy stołkach. (...) Cała komisja pisowska jest pomyślana jako jedna wielka »śluzka«, przez którą mają wyciekać notatki, analizy i materiały z inwigilacji, aby było czym atakować i pomawiać ludzi opozycji o zdradę. Kaczyński jest dziś w bardzo trudnej sytuacji. Poza atakiem i próbą zniszczenia opozycji medialnie, bezprawnymi działaniami służb i prokuratury, nie zostało mu nic”. Nadmierny optymizm.

C ałą prawdę o komisji ujawnia Rafał Ziemkiewicz w „Do Rzeczy”: „Rzekome »lex Tusk« to tak naprawdę »lex Konfederacja«. W walce z PO i jej przystawkami wiele dać nie może (...). Ale poza obozem PO PiS ma jeszcze jeden problem: jest nim coraz bardziej realna perspektywa zdobycia przez Konfederację w przyszłym Sejmie »pakietu kontrolnego«, ponad 40-osobowego klubu poselskiego. (...) nie chodzi bynajmniej o »próbę wyeliminowania Tuska z życia publicznego« (...) chodzi o rzucenie mu koła ratunkowego w chwili, gdy jego przywództwo w obozie antypisu zaczęło się chwiać”. Koło ratunkowe z betonu.

Komentator „Tygodnika Solidarność” Karol Gac przyznał, że firmowany przez PiS spot wykorzystujący tragedię Auschwitz do bieżącej gry politycznej to „O jeden most za daleko”: „Tak, można było zareago-

wać [na nieprzemysłany tweet Tomasza Lisa], ale po prostu nie w ten sposób. Zresztą w PiS-ie chyba szybko się zorientowano, że nie o takie reakcje chodziło, bo nastąpił paniczny odwrót. Nic dziwnego, że nikt się do tego nie przyznawał, ale i nie bronił, co tylko potwierdza, że jeśli PiS ma z kimś przegrać, to sam ze sobą. A ostatnio idzie mu w tym względzie całkiem dobrze”.

A szef sztabu wyborczego PiS Tomasz Poręba tryaska optymizmem, gdy mówi o planach kampanii („Sieci”): „Mamy to bardzo precyzyjnie rozpisane. Sukcesywnie będziemy odkrywać kolejne karty naszego programu, równie mocne, trafiające w oczekiwania społeczne. Pod koniec czerwca odbędzie się kolejne duże wydarzenie. Chcemy jeszcze mocniej pokazać, że jesteśmy gotowi na trzecią kadencję, chcemy te wybory wygrać”.

Gdyby szukać spiskowego wyjaśnienia, można by uznać, że stworzenie komisji jest najpiękniejszym prezentem, jakiego sami Rosjanie mogliby sobie życzyć – Łukasz Warzecha, „Do Rzeczy”.

Tę gotowość do dalszego rządzenia komentuje w „Newsweeku” Marian Banaś, szef NIK-u: „W roku 2021 skierowaliśmy łącznie 112 zawiadomień do organów powołanych do ścigania przestępstw, wykroczeń i innych czynów, które dotyczyły 725 zdarzeń i 115 osób. Żadne z tych zawiadomień nie zakończyło się wniesieniem aktu oskarżenia. (...) Utrudniają nam pracę na różne sposoby. Praktycznie cały czas mamy u siebie wszystkie instytucje kontrolne – od CBA, ABW, przez Inspekcję Pracy, Inspekcję Sanitarną po Archiwum Państwowe. Przepytują naszych pracowników

na okoliczność podejrzenia o naruszanie prawa. Chcą zstraszyć albo utrudnić nam wykonywanie obowiązków”. Mają w tym wprawę.

Z kolei Wojciech Kuczok odnosi się w „Przełądzie” do piśmowskiej chęci zwycięstwa: „Kaczyński uznał, że nie ma sensu dłużej udawać ani też ryzykować wolnych wyborów, celem jest utrzymanie władzy za wszelką cenę (...). Zwycięstwo musi pozostać niezagrożone, bo jak już sam prezes ogłasza wprost, »wygrana opozycji będzie końcem Polski«. Nie wiem, czy wszyscy z należytą uwagą wsłuchali się w te słowa. (...) Szef partii rządzącej właśnie ogłosił, że albo Polska będzie pisowska, albo wcale jej nie będzie. To nie jest przekaz dnia, to jest przekaz ostateczny”.

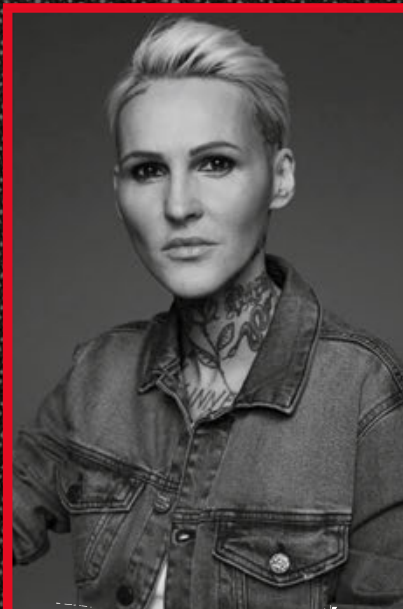
Pisujący do „Rzeczpospolitej” inwestor Paweł Konzal wybiega w przyszłość: „Kolejny Sejm ma szansę składać się z reprezentacji wszystkich partii startujących w wyborach, z których żadna nie będzie mieć pozycji dominującej. Społeczeństwa, które widzą szansę tam, gdzie inni widzą zagrożenia, są tymi, które wygrywają przyszłość. W najbardziej zróżnicowanym od przeszło 20 lat Sejmie zobaczymy więc szansę na zlepienie na powrót naszego społeczeństwa. Konstytuanta może być bowiem mediatorem społecznego podziału, szansą na budowę nowego konsensusu tam, gdzie jest to możliwe, i kompromisu tam, gdzie jest to konieczne. Świat i kraj będący w punkcie przesilenia wymaga aktualizacji reguł. Nadszedł czas na konstytucję XXI wieku napisaną przy udziale Polek i Polaków urodzonych w wolnej Polsce. Czas na V RP”. Nie najgorsze hasło. Ale co na to IV RP?



JAROCIN ^{'23} 13-16 LIPCA festiwal



SOULFLY



AGNIESZKA CHYLIŃSKA



T.LOVE

× SOULFLY × AGNIESZKA CHYLIŃSKA × NOSOWSKA ×

× TOMEK LIPIŃSKI + GOŚCIE × ZALEWSKI SPIEWA NIEMENA × T.LOVE ×

× LECH JANERKA × RENATA PRZEMEK × MOSKWA 40-LECIE ZESPOŁU ×

× STRACHY NA LACHY × PROLETARYAT × VOO VOO × GA GA ZIELONE ŻABKI ×

× LUXTORPEDA × WALUSKRAKSAKRZYYS × MYSLOVITZ × RITA PAX ×

× FISZ EMADE TWORZYWO × CLOSTERKELLER 35-LECIE ZESPOŁU × BIG CYC 35-LECIE ZESPOŁU × ŻURKOWSKI ×

× ANIELI × THE BULLSEYES × MASALA SOUNDSYSTEM ×

× MASTURBATOR × WRONA × IZZY & THE BLACK TREES × BAIKA ×

× CINEMON × CARNAL × HAPPY PILLS × 1125 × LOCKDOWN ×

× BLUES MONKEY × STORO × STAHOO ×

HALE NAMIOTOWE PROJEKTOWANE NA DEKADY SZYBKI MONTAŻ W KILKA DNI

www.pol-plan.com.pl

Nawet
25%
KOSZTÓW
TRADYCYJNEJ
HALI!

Hale
przemysłowe

Magazyny
z dokami
załadunkowymi

Izolowane
hale z dachem
pompowanym
Lokalne obciążenia
wiatrowe i śnieżne
nawet
do **300kg/m²**

Do
60m
rozpiętości

POL-PLAN
HALE NAMIOTOWE